

MIESIĘCZNIK
SPOŁECZNO-
KULTURALNY

SLASK

CENA 10 ZŁ (w tym 5% VAT) ISSN: 1425-3917 NR INDEKSU 33328X www.slaskgtl.pl Nr 2 (329) • ROK XXIX • LUTY 2023



DWA DOPY:
UKRAIŃSKI I POLSKI

ISSN 1425-3917



9 771425 391707

fot. Arkadiusz Lawrywianiec



Od samego początku rosyjskiej napaści na Ukrainę, władze polskie aktywnie włączają się w pomoc zaatakowanym sąsiadom. Nie inaczej wygląda sytuacja na szczęblu organów samorządowych. Rok po rozpoczęciu trwającej wciąż wojny wyjaśniamy, co w naszym regionie udało się zrealizować w tej materii oraz jakie wyzwania stoją przed samorządowcami. Na zdjęciu punkt recepcyjny dla uchodźców wojennych z Ukrainy w instytucji Katowice Miasto Ogrodów.

Szczegóły str. 4, 6, 8, 46

fot. archiwum



Jak podczas wojny w Ukrainie zmieniła się specyfika działalności tamtejszych bibliotek? O wkładzie tych placówek w wysiłek wojenny Ukrainy, a także o dostosowaniu ich statutowej roli do ekstremalnych warunków wojny opowiada Larysa Luhova, dyrektorka lwowskiej obwodowej biblioteki dla dzieci. Na zdjęciu ukraińskie dzieci podczas zajęć organizowanych dla najmłodszych czytelników w jednej z bibliotek.

Szczegóły str. 12

fot. Dorota Koperska



7 stycznia miała miejsce kolejna premiera w bielskim Teatrze Polskim – tym razem to interesująca adaptacja *Skapca* Moliera. Reżyserem jest Paweł Aigner, który ma dobrą rękę do kreślenia teatralnych portretów ludzi przyciśniętych przez los, nieprzystosowanych, pogubionych w codzienności. Co jeszcze dzisiaj zainteresowało twórców w tym odalonym o wieki tekście? Jakie motywy, wątki, treści stały się inspiracją, by stworzyć kolejną adaptację?

Szczegóły str. 44

fot. Grzegorz Sztolter



Powrót w szkolne mury po latach to okazja do wielu wspomnień, wzruszeń i spotkań. Dla absolwentów pszczyńskiego Liceum im. B. Chrobrego, najstarszego na Górnym Śląsku, okazją do takich przeżyć były obchody 280-lecia tej szkoły, które miały miejsce w ostatni weekend listopada ubiegłego już roku.

Szczegóły str. 76

Nr 2 (329). Rok XXIX. LUTY 2023

WYDAWCA
GÓRNOŚLĄSKIE TOWARZYSTWO
LITERACKIE W KATOWICACH

WSPÓŁWYDAWCA

MARIAN KISIEL
Redaktor naczelnyANDRZEJ JARCZEWSKI
Zastępca redaktora naczelnegoTOMASZ BIENEK
Sekretarz redakcjiMARIA KORUSIEWICZ
Kultura, sztukaTOMASZ KOWALSKI
Redaktor technicznyKATARZYNA DZIUBAŁA
KorektaBOGUMIŁA CYROŃ
Kierownik biura

Stali współpracownicy:

EWA BARTOS
JAROSŁAW KAPSA
WOJCIECH LIPOWSKI
ZBIGNIEW LUBOWSKI
PAWEŁ MAJERSKI
KATARZYNA NIESPOREK-KLANOWSKA
JERZY PASZEK
KS. HENRYK PYKA
BOGNA SKWARA
HENRYK SZCZEPAŃSKI
GRZEGORZ SZTOLER
JOANNA WAROŃSKA-GEŚIARZ
AGNIESZKA ZIELIŃSKAFelietoniści:
MARIAN.G. GERLICH
PIOTR GRELLA
RYSZARD JASNORZEWSKI
ZBIGNIEW KADŁUBEK
KRZYSZTOF ŁĘCKI
JAN MALICKI
JAN MIODEKADRES REDAKCJI
40-036 Katowice, ul. J. Ligonia 7
slask.miesiecznik@gmail.comDruk: Zakład Poligraficzny Moś i Łuczak Sp.j.
ul. Piwna 1, 61-065 Poznań tel. 61 633 71 65Materiałów niezamówionych nie zwracamy.
Redakcja zastrzega sobie prawo skrótów, poprawek i zmian
tytułów w tekstach przyjętych do druku oraz skracanie
korespondencji. Wydawca nie przewiduje honorariów
za publikowane materiały prasowe.Warunki prenumeraty:
Bezpośrednio w Biurze
Górnośląskiego Towarzystwa Literackiego
40-036 Katowice, ul. Ligonia 7, p. 120
Wpłaty należy dokonywać na konto:
GTL – redakcja miesięcznika „Śląsk”
Santander Bank Polska S.A.
35 1090 1186 0000 0001 3487 3929Prenumerata roczna – 120 zł, półroczna – 60 zł, kwartalna
– 301 zł. Pismo w prenumeracie jest dostarczane pod
wskazany adres bez dodatkowych opłat.Prenumerata zagraniczna: poprzez Dział RUCH SA
Infolinia 0800 120 029. Tel. +48 022 532-87-31
www.ruch.com.plCena egzemplarza – 10 zł (w tym 5% VAT)
ISSN: 1425-3917 Nr indeksu: 33328XEgzemplarze archiwalne
slask.miesiecznik@gmail.comCzasopismo
„Śląsk. Miesięcznik społeczno-kulturalny”
dostępne w wersji elektronicznej na www.sbc.org.pl
oraz na www.slaskgtl.pl
Nakład: 1000 egzemplarzy

W NUMERZE

PUBLICYSTYKA

- 2 *Marian Kisiel* CZWARTA NAD RANEM
4 *Waldemar Szymczyk* ZDAJEMY EGZAMIN Z CZŁOWIECZEŃSTWA. ROZMOWA Z MARCINEM KRUPĄ, PREZYDENTEM KATOWIC
6 *Waldemar Szymczyk* WSPIERAMY, A NIE WYRĘCZAMY ROZMOWA Z KAZIMIERZEM KAROLCZAKIEM, PRZEWODNICZĄCYM ZARZĄDU GÓRNOŚLĄSKO-ZAGŁĘBIOWSKIEJ METROPOLII
8 *Waldemar Szymczyk* BYLIŚMY NARODEM UŚPIONYM. ROZMOWA Z KS. ŁUKASZEM STAWARZEM, DYREKTOREM CARITAS ARCHIDIECEZJI KATOWICKIEJ
12 *Jan Malicki* CZY BIBLIOTEKI SĄ POTRZEBNE W CZASIE WOJNY? ROZMOWA Z LARYSĄ LUHOVĄ, DYREKTORKĄ LWOWSKIEJ OBWODOWEJ BIBLIOTEKI DLA DZIECI
14 *Radosław Kobierski* SIECI I MOSTY
18 *Anna Gurbicz, Witold Turant* DZIENNIK ZDRUZGOTANEGO ŻYCIA (7)
22 *Wilhelm Szewczyk* PAMIĘTNIK (12) *Z rękopisu opracował Marian Kisiel*
25 *Radosław Kobierski* SZTUKA JAKO SCHRONIENIE
26 *Ks. Henryk Pyka* DZIEDZINIEC POGAN
31 *Agnieszka Zielińska* POWSTANIE STYCZNIOWE W ZAGŁĘBIU
44 *Wojciech Lipowski* UWIKŁANY W NIEŚMIERTELNOŚĆ
46 *Weronika Górka* INTEGRACJA POPRZECZ RĘKODZIEŁO I MUZYKĘ
48 *Henryk Szczepański* ZAPOMNIANA KATOWICKA „GAZETA LUDOWA”
52 *Zbigniew Lubowski* OD OPERETKI DO BIG-BEATU
56 *Marian Sworzeń* OPIS UKRAINY GOGOLA
58 PO-GWARKI PROFESORA *Jerzy Paszek* MOWA ERUDYTY I POLIGLOTY
66 *Tadeusz Miczka* URSZULA ŻYDEK-BEDNARCZUK 30 KWIETNIA 1952 – 24 GRUDNIA 2022
68 *Maciej Szczawiński* ROZPOZNAWALNE NA TLE
74 *Jolanta Tambor* EDUKACJA REGIONALNA W KOLEJNEJ ODSŁONIE
76 *Grzegorz Sztoler* POLSKI KRÓL W PRUSKICH MURACH. Z HISTORII PSZCZYŃSKIEGO LICEUM IM. B. CHROBREGO
80 *Andrzej Jarczewski* 100-LECIE PO TARNOGÓRSKU

PLASTYKA, MALARSTWO, FOTOGRAFIA

69 GALERIA: *Ewa de Julis Błaszak* – MALARSTWO

POEZJA I PROZA

- 3 *Daryna Hładun Łesyk Panasiuk* WIERSZE
10 *Marcin Halaś* WIERSZE
16 *Andrzej Szuba* WIERSZE
28 *Karl Wunster* CZARNA STUDNIA (1) *Przełożyła Nina Nowara-Matusik*
38 *Juliusz Wątroba* PROZA
54 *Jolanta Mafa* WIERSZE

FELIETONY

- 30 *Zbigniew Kadłubek* LUDZIE Z INNEJ PLANETY (2)
34 MUZYKA MOJA MIŁOŚĆ *Krzysztof Korwin-Piotrowski* SALONY SZTUK ZE „ŚLĄSKIEM”
37 ŚLĄSKA OJCZYZNA POLSZCZYŻNA *Jan Miodek* BUNCLOKI, BAMBRY I WULCE
41 ZAPISKI REZONERA *Krzysztof Łęcki* „MODNE BZDURY”
42 BIAŁE KRUKI *Jan Malicki* CZY KSIĄŻKA MOŻE ZABIJAĆ?
47 NOTATNIK SPORTOWY *Ryszard Jasnorzewski* GORZKA PRESJA POWROTÓW
73 JEZYK W STRUNACH *Piotr Grella-Możejko* GRAJMY!

KSIĄŻKI

- 62 *Weronika Górka* WAFELKOWY LENIN JAKO LIDER NEKROKOMUNIZMU
63 *Andrzej Handzlik* RATUNEK PRZED SAMYM SOBĄ
64 *Piotr Skowronek* SPOKOJU ZAZNAM DOPIERO PO ŚMIERCI
65 *Nina Jarzyńska* STAŁY ELEMENT GRY

Na okładce:

„Bezpieczne Miejsce” – mural Bogdany Davydiuk inspirowany wierszem Julii Musakovskiej – ulica Macieja w Katowicach. Praca zrealizowana w ramach projektu Ukraine in the City of Gardens – współfinansowana ze środków European Culture Foundation. Fot. Arkadiusz Ławrywianiec Szczegóły str. 27

Pismo wspierane
finansowo przez:Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
NarodowegoWojewództwo
Śląskie

WSPÓŁPRACA – KATOWICE MIASTO OGRODÓW



Czwarta nad ranem

1
24 II 2022 – 24 II 2023.

2
Czy człowiek umarł? – W 1946 roku na konferencji UNESCO André Malraux wypowiedział zdanie niezwykle: „Problem, który staje się dzisiaj przed nami, to pytanie, czy na tej starej europejskiej ziemi człowiek umarł, czy nie”. Zauważmy: autor *Czasu pogardy* mówi „staje się”, a nie „staje”, to znaczy, że problem zaczyna istnieć, tworzy się, rośnie i pęcznieje, a nie, że jest przedmiotem salonowego sporu. Skończyła się II wojna światowa, kiedy ludzka bestia uczyniła Zło bardziej monstrualnym niż podczas Wielkiej Wojny. Malraux mówił, że pytanie o śmierć człowieka na europejskiej ziemi zrodził wiek XIX, który „pokładał niezmierną nadzieję w nauce, w pokoju, dążeniu do godności człowieka”. A przecież: „Problem Zła nie zawsze był obcy XIX wiekowi. Kiedy stawia się znowu przed nami, to nie tylko przez tajemnicze i tragiczne marionetki ożywione przez psychoanalityków; zjawia się znowu nad światem wielki i ponury archanioł z Dostojewskiego i powtarza: «Odmawiam zgody, jeśli śmierć niewinnego dziecka zadana przez ludzką bestię ma być okupem za świat». Malraux mówił: „Ponad tym wszystkim, co widzimy, ponad widmami i ponad ruinami miast rozciąga się nad Europą jeszcze straszliwsza obecność: spustoszona i brocząca krwią Europa nie jest bardziej spustoszona i nie bardziej broczy krwią niż człowiek, którego spodziewała się stworzyć”. I stawiał pointę: „Było na świecie cierpienie takiej miary, że dźwiga się przed nami nie tylko dramatycznie, ale i metafizycznie, i człowiek dzisiaj musi odpowiadać nie tylko za to, co chciał zrobić, nie tylko za to, co chciałby zrobić, ale jeszcze za to, czym sądzi, że jest”.

3
Zagłada. – W słowniku totalitaryzmów 24 lutego 2022 roku zapisano nowe określe-

nie: „operacja specjalna”. Oswoił się już z Szosa, Holokaustem i „eksterminacją”, którą dla stylistycznej elegancji przywołujemy w charakterze zamiennika. Ale w słowniku języka polskiego od wieków przeraża inne słowo, które zapisał pierwszy leksykograf nowoczesności Samuel Bogumił Linde. To – „zagłada”. Odnosi się do całości, a nie do fragmentu, do liczby mnogiej, a nie do pojedynczej. „Zagładzenie, zgładzenie, wyniszczenie, wniweczenie, zaguba, zaginięcie” – tak definiował je Linde, dodając jeszcze okrutniejsze znaczenia słowa „zagładzić”: „zgładzić, wygładzić, wygubić, zagubić, wytepić”. I wreszcie: „zagładzić z pamięci, wypuścić z pamięci, oddać niepamięci”. – „Operacja specjalna” to nic innego jak pragnienie szaleńca, by „zgładzić z pamięci” wolny i dumny naród ukraiński.

4
„Zimne światło telewizji”. – Jean Baudrillard, pisał w eseju *Holokaust*: „Niepamięć o Zagładzie sama stanowi jej część, gdyż jest ona w równym stopniu zagładą pamięci, historii, społeczeństwa itp.”. Stwierdził, że w naszych czasach, za sprawą telewizji, to co się wydarzyło naprawdę (Holokaust) powtarza się, estetyzuje i traci swoje znaczenie. Nie ma różnicy między rzeczywistością zagłady a „zimnym światłem telewizji”, emitującej obrazy udające zagładę i „nieszkodliwe dla wyobraźni”. Dowodził: „Zapomnienie, unicestwienie, które osiąga w ten sposób wymiar estetyczny – swój kres znajduje w stylu retro, wyniesione tutaj ostatecznie do swego wymiaru masowego”. I kategorizował: „Ten sam proces zapominania, likwidacji, eksterminacji, to samo unicestwienie pamięci i historii, to samo dośrodkowe i implozyjne promieniowanie, to samo pochłanianie bez możliwości jakiegokolwiek odbicia, ta sama czarna dziura jak Auschwitz”. – Jakże blisko jest francuski filozof znaczeniu słowa „zagłada”, które definiował Linde. Ale nie o podobieństwo semantyczne tu chodzi, ale o to, że „zimne światło telewizji” wyręcza mnie w działaniu, sprzeciwie i empatii. Nie zapominajmy, że dzisiaj za ekranem telewizora toczy się prawdziwa walka o ciebie i o mnie, o nas żyjących na starej europejskiej ziemi.

5
Mord i dyplomacja. – 27 kwietnia 1992 roku proklamowano powstanie nowej Jugosławii, faktycznie sankcjonując rozpad starej federacji. Obserwowaliśmy przez „zimne światło telewizji” jak bośniaccy Serbowie stworzyli obozy koncentracyjne dla muzułmańskiej ludności, jak za kolczastych drutów patrzyły na nas szkielety postaci, nierozumiejących dlaczego u kresu szczęśliwego stulecia znów ludzka bestia wyrwała się spod kontroli świata. Słyszeliśmy o gwałtach na kobietach i dzieciach. Pytaliśmy: dlaczego państwa zachodnie nie powstrzymały ludobójstwa w Srebrenicy i Sarajewie, w całej Bośni i Hercego-

winie, dlaczego nie zareagowały stanowczo na mordy, grabieże, czystki etniczne? Odpowiadała nam elegancka dyplomacja biurokratów. Już nikt nie pamiętał pytania Andrégo Malreaux: „czy na tej starej europejskiej ziemi człowiek umarł, czy nie”.

6
Zło. – Przeczytajmy na nowo esej Barbary Skarga *Pytać o zło*. Czym jest zło? Pytania św. Augustyna, Leibniza, Heideggera przenoszą nas na teren dociekań intelektualnych, filozoficznych. Ale zło ma przede wszystkim wymiar moralny. „Zło się czyni, zło jest zadawane, i tylko ręką człowieka”. Skarga przywołuje tu Lévinasa, który mówi, że „zło odślania swe prawdziwe oblicze wówczas, gdy uderza w innego. To twarz innego, tego, który cierpi i tym cierpieniem mnie oskarża, zmusza do uważnego spojrzenia i pojęcia, że nie moje cierpienie, lecz jego jest złem. «W zło, które mnie dotyka – pisze Lévinas – dosięga mnie zło cierpiane przez innego człowieka». I dopiero wówczas, gdy biorę na siebie to zło, chcę ponieść zań odpowiedzialność, pragnę cierpiącego zastąpić, pojawia się przebłysk dobra”.

7
Nadzieja. – Barbara Skarga, *Jak pytać o nadzieję*: „Patrzmy na otaczające nas zło, cierpienia, winy, zbrodnie i popadamy w zwątpienie. Toteż szaleńcza wydaje się nadzieja, która w tragicznej sytuacji każe jeszcze wierzyć w możliwość przezwyciężenia zła, możliwość wyjścia z matni. Czasami się jednak ona budzi i zapewne silniej w krytycznych sytuacjach, tych sytuacjach granicznych, niż w innych momentach życia. Jest to bowiem nadzieja wyzwolenia. Ona pozwala zrozumieć, a równocześnie daje wolę oporu, czerpie soki z pragnienia zwycięstwa mimo rzeczywistości niedającej szans. W tej heroicznej nadziei człowiek jest sam, sam z siebie musi wydobyc siłę do walki, która może być walką o życie, a może być, co nieraz trudniejsze, o zachowanie tego, co dla każdego człowieka jest najcenniejsze – bo stanowi o nim samym – własnego swego ja istoty wolnej. [...] Nadzieja heroiczna może się wydać nierozumna, ale bez niej spotykalibyśmy nie ludzi, którym dane było w cudowny sposób opuścić Oświęcim czy Gułag, lecz strzępy istot bez woli i bez twarzy”.

8
Myśl miesiąca. – „Dopóki rosyjskie barbarzyństwo nie zagrażało Europie, dopóki nie ogłosiło siebie jedyną i wyłączną cywilizacją, jedyną i prawdziwą religią, nie ruszono go; ale od kiedy pojawiło się przed obliczem Europy jako siła moralna i polityczna, Europa musiała zgodnie przeciwko niemu powstać”. – Piotr Czadajew, *Fragmenty filozoficzne*, w moim przekładzie z rosyjskiego.

Marian Kisiel

||u||nas||znowu||alarm||

każdego uczcić
minutą ciszy
czy wystarczy
czasu

29.04–03.05.2022

||24||lutego||

dziecko się śmieje
bo zaczęła się wojna

myśli że wybuchy i echa ulicznych walk za oknem to odgłosy
fajerwerków na jakimś niespodziewanym święcie

skacze po pokoju
krzyczy radośnie: hura, idziemy idziemy na święto
słyszycie?
szarpie rodziców
!święto!
gdzieś obok nas

i śmieje się
śmieje się tak promieniście tak mocno i tak

strasznie

!hura!

01–03.05.2022

||3073||148||

wybuch namalował na asfalcie słońce
mamę tatę i dwoje dzieci

21.07.2022

Daryna Hładun (1993) – ukraińska poetka, tłumaczka, artystka i badaczka z Buczy. Autorka zbiorów wierszy „Rubaty derewo” (2017) i „Iz tyni krasowych czerwonych chłopczykiw” (2020), „Радіо «Війна». Radio «Wojna»” (2022, przekład Janusz Radwański, dwujęzyczna edycja wydana przez Bibliotekę Śląską w Katowicach). Jej wiersze zostały przełożone na 22 języki. Laureatka nagrody literackiej wydawnictwa „Smołoskyp” (2014–2016) oraz „Koronacja słowa” (2014–2016). Stypendystka Prezydenta Ukrainy (2019) i Staromiejskiego Domu Kultury w Warszawie (2022). Uczestniczka rezydencji literackich, festiwali i projektów w Chinach, Bangladeszu, Kanadzie, Norwegii, Łotwie, Niemczech i in. W Polsce teksty Daryny Hładun ukazały się w „Gazecie Wyborczej”, czasopiśmie „Wizje”, miesięczniku „Teatr”, w „Dwutygodniku”, „Post Scriptum”, „Stronie Czynnej”, „Babińcu Literackim”, poetyckim zinnie „Poetki ukraińskie” i antologii „Ukraińska nadzieja” w przekładach Janusza Radwańskiego, Anety Kamińskiej i Iwony Stodolskiej.

Łesyk Panasiuk – poeta, tłumacz, grafik i performer. Autor trzech tomików poetyckich: „Kamiń doszczu” (2013), „Sprawżnie jabłuko” (2014) oraz „Kryky ruk” (2018). Jego wiersze przełożono na 19 języków, publikowano w ukraińskich i zagranicznych czasopismach oraz antologiach, a oddzielne tomiki wierszy ukazały się w tłumaczeniu na rosyjski oraz rumuński. Zajmuje się przekładem współczesnych autorów z różnych języków na ukraiński. Tłumacz i współtłumacz zbiorów poetyckich Walżyny Mort, Siarhieja Pryłuckiego, Dmitrija Kużmina, Artioma Werlego i trzech antologii literatury białoruskiej. Laureat licznych konkursów literackich. Otrzymał stypendium dla pisarzy od prezydenta Ukrainy (2019). Uczestnik i stypendysta międzynarodowych rezydencji dla pisarzy i tłumaczy na Łotwie (Windawa, 2019) oraz w Polsce (Warszawa, 2021). Uczestnik wielu festiwali oraz akcji artystycznych w Ukrainie oraz za granicą.

Czy docierały do Pana informacje z rządu, jeszcze przed wybuchem wojny w Ukrainie, że trzeba przygotowywać się na napływ uchodźców, do sytuacji nadzwyczajnej?

Marcin Krupa, prezydent Katowic:
– Sytuacja związana z wybuchem wojny w Ukrainie była bardzo dynamiczna. Wiele się mówiło, pojawiały się różne informacje w mediach, jednak gdy doszło do ataku wojsk rosyjskich na wolny, europejski kraj – każdego te informacje jednak zaskoczyły. Wielu ruszyło od razu z pomocą, my też jako samorząd rozpoczęliśmy szereg działań. One nie były wcześniej zaplanowane.

Jak wyglądały w Urzędzie Miejskim pierwsze dni wojny pod względem przygotowań do przyjęcia dużej liczby Ukraińców?

Wszystko działo się wtedy bardzo szybko, a impuls do działania dali sami mieszkańcy Katowic. Zaczęli dzwonić do Urzędu Miasta deklarując, że chętnie przekażą dary, przyjmą uchodźców. Wspólnie zaczęliśmy działać. Uruchomienie punktów pomocowych, punktów zbiórek, nawiązanie współpracy z przedsiębiorstwami, a także bieżący kontakt z innymi miastami Polski, by wymieniać się doświadczeniem, były na początku kluczowe. Pamiętajmy, że nikt z nas nie miał zabezpieczonych na tę pomoc środków, a wszyscy chcieliśmy solidarnie pomóc. Tymczasem jako miasto musimy działać zgodnie z przepisami prawa. Najważniejsze było oczywiście to, by pomóc uciekającym przed wojną, ale rozwiązania prawne też były niezwykle istotne, szczególnie w takich przypadkach, gdy potrzebna była pomoc medyczna. Pierwsze dni to także kontakt z naszymi przyjaciółmi z Ukrainy, na bieżąco rozmawiałem np. z merem Lwowa o ich potrzebach i sytuacji.

Jakie instytucje, ilu ludzi brało udział w tej pomocy?

Tysiące mieszkańców, przedsiębiorców, wolontariuszy, urzędników i pracowników jednostek miejskich, katowickich radnych, sektora NGO, a także wszystkie osoby, których wymienić nie zdołam. Wiele z tych osób jest nadal zaangażowanych w pomoc Ukrainie na różnych płaszczyznach. Przyjeżdżający do Katowic uchodźcy z Ukrainy mają szansę żyć w godnych warunkach, otoczeni opieką i wsparciem. Jako prezydent jestem dumny, że możemy powiedzieć, iż w Katowicach zdajemy ten niezwykle trudny, ale i ważny egzamin z empatii i człowieczeństwa.



Marcin Krupa i Witalij Kliczko

Jako prezydent jestem dumny, że możemy powiedzieć, iż w Katowicach zdajemy ten niezwykle trudny, ale i ważny egzamin z empatii i człowieczeństwa.

Zdajemy egzamin z człowieczeństwa

Z MARCINEM KRUPĄ, prezydentem Katowic,
rozmawia WALDEMAR SZYMCZYK

Jakie środki finansowe miało miasto przygotowane na pomoc?

Pomoc dla Ukrainy, którą zrealizowaliśmy w Katowicach, szacujemy już na poziomie 44 mln zł, z czego rezerwa celowa z zakresu zarządzania kryzysowego w budżecie miasta wynosiła ponad 2,5 mln zł. Reszta środków pochodziła z budżetu państwa – 39 mln zł oraz darowizn i pomocy finansowej GZM. Dzisiaj

mogę powiedzieć jeszcze o środkach w wysokości 46 mln zł z UNICEF, które pozwolą nam te działania polsko-ukraińskie kontynuować.

Czy skala uchodźców zaskoczyła miasto? Jaka największa liczba Ukraińców przebywała w Katowicach i kiedy to było?

W tym kulminacyjnym momencie według raportu Unii Metro-

lii Polskich w Katowicach mogło przebywać nawet 90 tys. obywateli Ukrainy, w tym 19 tys. dzieci – te dane pochodziły z urzędzeń mobilnych rozszerzone o statystyki z rejestru PESEL. Dzisiaj tych osób jest z pewnością mniej – szacujemy, że około 30 tys.

Co było dla miasta największym wyzwaniem?

To były tysiące osób dziennie przyjeżdżających do Katowic, którym trzeba było zapewnić ciepły posiłek, ubranie, dach nad głową, wsparcie psychologiczne. Pomoc i działanie było potrzebne przez całą dobę. W pierwszych dniach kosztem własnej pracy, zaangażowanych było bardzo dużo osób. Później, ze względu na własne obowiązki, wolontariuszy ubywało. Oddelegowanie urzędników do części dodatkowych działań musiało odbywać się w sposób umożliwiający realizację także bieżących zadań. Ponadto potrzebne były lokale – wiele biur, hal sportowych przekształcaliśmy w miejsca noclegowe, magazynowe. Chyba najtrudniejsza była logistyka tych różnych działań.

Jako jeden z niewielu samorządowców pojechał Pan do Ukrainy...

Byłem dwukrotnie – najpierw wziąłem udział w misji humanitarnej, zawieźliśmy dary do Lwowa. To był początek wojny. W lipcu pojechałem po-

nownie. Naszym celem było wtedy podpisanie Deklaracji Przyjaźni pomiędzy miastem Katowice, a ukraińską Buczą oraz przekazanie darów i wsparcia na rzecz Ukrainy. Podczas wizyty w Buczy mer Anatolii Fedoruk pokazał nam mogiły zabitych przez wojska rosyjskie 400 Ukraińców, gdzie złożyłem kwiaty. Odwiedziliśmy również Kijów, gdzie rozmawiałem z merem Vitalijem Kliczko o sytuacji miasta w stanie wojny. Nasze działania – moje jako prezydenta, Vitalija jako mera miasta, są zawsze ukierunkowane na bezpieczeństwo mieszkańców... Jednak naszej sytuacji nie sposób porównać. Najbardziej wstrząsający widok to domy i całe osiedla, które zostały zbombardowane. Trudno opisać emocje jakie były w nas, gdy widzieliśmy np. zniszczenia w Borodiance.

Kiedy napływ uchodźców zaczął się stabilizować?

Kluczowe były pierwsze miesiące. Końcówka lutego, marzec, kwiecień – wtedy największa liczba obywateli Ukrainy przyjechała do Katowic. Wraz z początkiem wakacji mieliśmy już stabilną sytuację i ruch obywateli Ukrainy zarówno w jedną, jak i w drugą stronę, nie był duży. Uspokoiła się sytuacja w punktach nadawania numerów pesel, punktach pomocy doraźnej. Od tego momentu intensywnie działaliśmy w ramach integracji polsko-ukraińskiej.

Ilu Ukraińców, którzy przewinęli się przez Katowice, chce tu zostać? Ukraińcy, którzy uciekli do Katowic przed terrorem wojny i spadającymi bombami bardzo często zaznaczają, że Katowice zapewniają wysoki standard życia. Pojawiają się pozytywne głosy dotyczące m.in. dużej ilości zieleni w mieście, infrastruktury sportowo-rekreacyjnej, transportu publicznego, dobrych szkół czy też łatwości w znalezieniu pracy. Prawie wszyscy podkreślają też gościnność oraz wielkie serca katowiczian i okazują wdzięczność za pomoc, jaką otrzymali w tak dramatycznych dla nich chwilach. Dlatego nie dziwię się, że ponad 1/4 uchodźców z Ukrainy chce u nas zostać na stałe. To najwyższy odsetek wśród miast objętych badaniem, które zrealizował NBP. Jestem przekonany, że znajdą tu drugi, bezpieczny dom. Wielu Ukraińców podkreśla, że chce się usamodzielnic – szybko znajdują pracę, posyłają dzieci do szkół, uczą się polskiego i czynnie włączają się w życie miasta integrując ze społecznością lokalną. ■

Waldemar Szyczyk – wieloletni redaktor „Gazety Wyborczej” i kwartalnika „Fabryka Silesia”, obecnie dyrektor wydawniczy w Imago PR.



foto Arkadiusz Lawrywianiec

Punkt recepcyjny dla uchodźców wojennych z Ukrainy w instytucji Katowice – Miasto Ogrodów. Wiosna – lato 2022 roku

W jaki sposób Górnośląsko-Zagłębiowska Metropolia włączyła się w pomoc dla uchodźców z Ukrainy w 2022 r.?

W pomoc włączyliśmy się natychmiast po wybuchu wojny. W pierwszej fazie wszyscy byliśmy skoncentrowani na doraźnej – wówczas najważniejszej – formie pomocy. W miastach tworzone były punkty pomocy, miejsca zbiórek podstawowych artykułów, które były pierwszą potrzebą ludzi uciekających z bombardowanych miejscowości.

Przez kilka pierwszych miesięcy obywatele Ukrainy mogli korzystać z bezpłatnego transportu miejskiego organizowanego przez ZTM. Choć w ten sposób chcieliśmy pomóc im w odnalezieniu się w nowej dla nich rzeczywistości, by mogli łatwiej załatwić sprawy urzędowe, które np. pozwalają byby na podjęcie pracy.

Ponadto jako GZM przeznaczyliśmy z własnego budżetu 10 mln zł gminom, które organizowały pomoc dla Ukrainy. Mogły one zostać przeznaczone na zakup pożywienia i podstawowych środków higieny, artykułów medycznych, podręczników, łóżek polowych, pościeli jednorazowej.

W marcu ubiegłego roku Metropolia i gminy przekazały dla Lwowa kilkanaście autobusów komunikacji miejskiej wraz z pomocą humanitarną.

Z czasem, gdy te podstawowe potrzeby zostały zabezpieczone, pomoc zaczęła przybierać inną formę, bardziej wspierającą w usamodzielnieniu się. Dlatego m.in. dzięki współpracy z Uniwersytetem Śląskim, dofinansowaliśmy bezpłatny kurs języka polskiego dla Ukraińców.

Czy jakieś działania związane z pomocą dla Ukraińców są prowadzone nadal?

Tak, nasze miasta są w ciągłym kontakcie m.in. ze swoimi miastami part-



Kazimierz Karolczak

Najważniejsze jest to, by działać wspierająco, a nie wyręczająco. Od samego początku można było zauważyć, że uchodźcy z Ukrainy nie oczekiwali nieustannej opieki i litości. To ludzie, którzy chcieli pójść do pracy, by móc wynająć mieszkanie, opłacić rachunki, zrobić sobie same zakupy.

Wspieramy, a nie wyręczamy

Z KAZIMIERZEM KAROLCZAKIEM, przewodniczącym zarządu Górnośląsko-Zagłębiowskiej Metropolii, rozmawia WALDEMAR SZYMCZYK

nerskimi w Ukrainie. W połowie stycznia 2023 roku przekazaliśmy siedem agregatów prądotwórczych do Lwowa. Sprzęt odebrali przedstawiciele Politechniki Lwowskiej. Agregaty były po-

trzebne, by uczelnia mogła zapewnić studentom ciągłość nauki, bo wiele zajęć odbywa się online. Warto zaznaczyć również, że Lwów jest miastem, które zorganizowało w swoich instytucjach publicznych pomoc dla tysięcy uchodźców.

358 tys. Ukraińców, którzy przyjechali do Polski po rozpoczęciu rosyjskiej inwazji na Ukrainę, znalazło tu pracę – wynika z danych Ministerstwa Rodziny i Polityki Społecznej. Najwięcej miejsc pracy dla uchodźców jest na Mazowszu, Dolnym Śląsku i w województwie łódzkim. Tymczasem w miastach należących do Metropolii mamy do czynienia z depopulacją. Czy pozostanie na stałe części uchodźców choć trochę nie rozwiązałoby tego problemu? Według badań, jedna czwarta z nich nie planuje powrotu do Ukrainy.

To są szalenie złożone zagadnienia. Mówimy o uchodźcach wojennych, o osobach, które ewakuowały się z obszarów bestialsko bombardowanych i niszczonej. W wielu przypadkach, jeśli

fot. Arkadiusz Ławrywianiec



Punkt recepcyjny dla uchodźców wojennych z Ukrainy w instytucji Katowice – Miasto Ogrodów. Wiosna – lato 2022 roku

nie w większości, mówimy więc o rozdzielonych rodzinach, które czekają na to, by móc wrócić do swoich domów, na Ukrainę. Tego wszyscy od niemal roku sobie życzymy. Dlatego też trudno traktować ten nagły przyrost nowych mieszkańców – a według raportu Unii Metropolii Polskich, opublikowanego na początku kwietnia 2022 r., w GZM przebywało wówczas ponad 300 tys. Ukraińców – jako przeciwdziałanie depopulacji naszych miast. Natomiast myślę, że w tym miejscu warto wspomnieć o badaniach dotyczących sytuacji obcokrajowców w województwie śląskim, które zostały przeprowadzone we współpracy ze stowarzyszeniem Pro Silesia. Badania odbyły się co prawda pomiędzy pandemią a wybuchem wojny w Ukrainie, niemniej wynika z nich, że od pewnego czasu mamy do czynienia z odwracającym się trendem migracji: do pracy w Polsce przyjeżdża więcej obcokrajowców niż wyjeżdża z naszego kraju za pracą. Dr Rafał Cekiera, socjolog z Uniwersytetu Śląskiego i autor tego raportu, zwraca uwagę, że ok. 40 proc. badanych chce zostać w naszym województwie na stałe, a więc nie jesteśmy tylko miejscem tranzytowym w dalszej podróży. To całkiem spory odsetek. Dlatego w działaniach związanych z przeciwdziałaniem depopulacji ważna jest ich kompleksowość. A gościnność i otwartość są jednymi z naszych wspólnych cech.

Czy Metropolia miałaby jakąś ofertę dla uchodźców, którzy chcieliby tu zostać?

W tej ofercie najważniejsze jest to, by działać wspierająco, a nie wyręczająco. Od samego początku można było zauważyć, że uchodźcy z Ukrainy nie oczekiwali nieustannej opieki i litości. To ludzie, którzy chcieli pójść do pracy (niejednokrotnie poniżej swoich kwalifikacji ze względu np. na barierę językową), by móc wynająć mieszkanie, opłacić rachunki, zrobić sobie samemu zakupy. Chcieli być w pełni samodzielni.

Czy są miejsca pracy, mieszkania na terenie Metropolii dla Ukraińców?

To obszary, które dotyczą już rozwiązań bezpośrednio stosowanych i dostępnych w miastach, w których uchodźcy znaleźli schronienie. Jako GZM stworzyliśmy m.in. specjalną zakładkę na naszym portalu Info GZM, gdzie Ukraińcy mogą znaleźć pakiet najważniejszych informacji o gminach, w których zamieszkali. Prowadziliśmy też kampanię zachęcającą panie do podjęcia pracy jako kierowcy autobusów komunikacji miejskiej.

A system edukacji jest na to gotowy? 5 proc. Ukraińców chce zapisać dzieci do polskiego przedszkola lub szkoły.

W ubiegłym roku na Akademii WSB gościliśmy dr Megan Hopkins z University of California San Diego, która na co dzień zajmuje się zagadnie-

niami przekształceń systemów edukacyjnych pod kątem wielokulturowości. Mieszka na granicy USA i Meksyku, gdzie szkoły obsługują tysiące dzieci i młodzieży pochodzenia meksykańskiego. Dr Hopkins, która poprowadziła wykłady u nas dzięki Metropolitalnemu Fundusze Wspierania Nauki, podkreślała, że w naszej sytuacji najważniejsze jest to, by ukraińscy uczniowie mogli w naszych szkołach znów poczuć się bezpiecznie. Gdy rozmawialiśmy o tym, czy dzieci powinny zostać włączone wprost do naszej ścieżki edukacji, czy może powinny iść bliższą ich rodzimej, zwracała uwagę, że to nie powinien być wybór „albo-albo”. Że jednym z najlepszych rozwiązań byłoby wspólne wyznaczenie celów, które mogłyby wpisywać się w wielokulturowość i wielojęzyczność.

Jakie Metropolia ma pomysły na zintegrowanie uchodźców z Ukrainy z Polską?

Otwartość, gościnność i nieuleganie przekazom propagandowym, które zwłaszcza na początku działań zbrojnych były ukierunkowane na wzmocnienie negatywnych emocji. Uchodźcy z Ukrainy to ludzie często o tych samych priorytetach co my. Wszystko można sprowadzić do tego, jak my sami chcielibyśmy zostać potraktowani, gdybyśmy to my musieli uciekać przez bombami spadającymi na nasze domy. ■



foto: Arkadiusz Ławrywianiec

Punkt recepcyjny dla uchodźców wojennych z Ukrainy w instytucji Katowice – Miasto Ogrodów. Wiosna – lato 2022 roku.

Caritas Archidiecezji Katowickiej pomagał Ukraińcom od pierwszych dni wojny. Czy był taki moment, że trudno było zapanować nad tym morzem uchodźców?

Ks. Łukasz Stawarz, dyrektor Caritas Archidiecezji Katowickiej: – Nigdy nie było takiego momentu. Działaliśmy elastycznie, na bieżąco dostosowywaliśmy się do potrzeb. 27 lutego, czyli już trzy dni po wybuchu wojny, przyjechał do nas wojewoda Jarosław Wieszczek i zapytał, czy w Domu św. Marcina przy ul. Wita Stwosza możemy otworzyć punkt recepcyjny dla uchodźców. Nie wiedzieliśmy wówczas, czy to będą tysiące uchodźców, czy miliony. Ale jeszcze tego samego dnia przyjęliśmy rodzinę z niepełnosprawnym dzieckiem, która na granicy spędziła w trudnych warunkach ponad 24 godziny. Pojechaliśmy także na Węgry, gdzie spod ukraińskiej granicy zabraliśmy piątkę studentów z Ghany, którzy studiowali na uniwersytetach ukraińskich i ucierpieli w czasie działań wojennych.

28 lutego został otwarty punkt recepcyjny. Pojawili się tu żołnierze, policjanci, strażacy, ratownicy medyczni i pracownicy urzędu wojewódzkiego. Już pierwszego dnia przybyło kilkaset osób i tak było przez wiele tygodni.

Musiał ksiądz być świadkiem wielu dramatycznych sytuacji...

Szczególnie poruszyła nas historia matki z trojgiem dzieci, która już drugi raz w swoim życiu zmuszona była uciekać przed wojną. Po raz pierwszy stało się to w 2014 roku. Doświadczenie wojny dla tych osób wiązało się z ponownym przeżywaniem potężnej traumy.

Punkt recepcyjny z założenia miał zajmować się relokacją uchodźców do miejsc, gdzie czekał na nich dach nad głową. Były z tym problemy?



Ks. Łukasz Stawarz

Byliśmy narodem uśpionym po przejściu z komunizmu do dobrobytu. I nagle zobaczyliśmy, że ktoś obok nas jest w potrzebie, że możemy się podzielić tym, co mamy.

Byliśmy narodem uśpionym

Z ks. **ŁUKASZEM STAWARZEM**, dyrektorem Caritas Archidiecezji Katowickiej, rozmawia **WALDEMAR SZYMCZYK**

Tym zajmował się Urząd Wojewódzki, ale nie było takiej sytuacji, że ci ludzie nie mieli dachu nad głową. W Domu św. Marcina mamy 20 pokoiów na 40 miejsc i mogli z nich skorzystać ludzie

chorzy, starsi, matki z dziećmi. Jeśli ich stan nie pozwalał na relokację, tutaj nabierali sił, mogli się ogrzać, otrzymać pomoc lekarską, zjeść ciepły posiłek. W pomoc uciekającym przed wojną od 2 marca zaangażowało się także Wyższe Śląskie Seminarium Duchowne, gdzie przygotowano ponad 60 miejsc noclegowych. Także w domach rekolekcyjnych przygotowano ponad 200 miejsc.

Do obsługi setek tysięcy Ukraińców było potrzebnych wielu wolontariuszy. Zgłaszali się?

Zgłaszały się tysiące chętnych. Mieliśmy taki luksus, że mogliśmy wybierać w pierwszym rzędzie tych, którzy znali język ukraiński. Do dyspozycji mieliśmy również 1,3 tys. pracowników Caritas. Proszę także pamiętać, że mamy 320 parafie, w których działają kilkadziesiąt grup Caritas – to następne kilka tysięcy osób.

Codziennie na naszym blogu na stronie katowickiego Caritasu i na profilu na Facebooku informowaliśmy, czego w danym momencie potrzebujemy. Raz to było jedzenie i ubrania dla niemow-



Punkt recepcyjny dla uchodźców wojennych z Ukrainy w instytucji Katowice – Miasto Ogrodów. Wiosna – lato 2022 roku

laków, innym razem odzież dla nastolatków, albo leki dla osób starszych. Odzew był natychmiastowy. Tysiące ludzi przynosiło do nas dary rzeczowe. Zaangażowały się także lokalne restauracje. Przynosili nam zupy, kanapki. A w naszym punkcie recepcyjnym musieliśmy być gotowi na przeróżne wyzwania. Pojawili się np. mieszkańcy Tadżykistanu, którzy po zaproponowaniu poczęstunku poinformowali, że są Muzułmanami i nie mogą jeść tego typu posiłków. Szybko przygotowaliśmy dla nich wegańską zupę oraz kanapki z żółtym serem i warzywami.

Kiedy była największa fala uchodźców?

W pierwszych tygodniach. W pewnym momencie okazało się, że w Domu św. Marcina nie jesteśmy w stanie pomieścić chętnych, dlatego punkt został przeniesiony do seminarium. Kiedy okazało się, że i to za mało, zapadła decyzja o przeniesieniu punktu recepcyjnego do Miasta Ogrodów w Katowicach przy pl. Sejmu Śląskiego. Tam mogło przemocować nawet 300 osób.

Dzisiaj uchodźców jest już na szczęście niewiele...

Ale nadal bywają dni, że o pomoc prosi nawet ponad sto osób. W tej chwili

zarządzamy punktem na dworcu PKP w Katowicach i w seminarium. Ale koncentrujemy się na pomocy długofalowej. W tym celu od 11 kwietnia na Wydziale Teologicznym Uniwersytetu Śląskiego działa Centrum Pomocy Migrantom i Uchodźcom. W kraju funkcjonuje 27 takich placówek. Finansują je Caritas Polska i Caritas Internationalis. Zajmujemy się tam kompleksową pomocą dla uchodźców z Ukrainy: prowadzimy kursy językowe, zajęcia kulturowe dla dzieci, uczymy, jak znaleźć dobrą pracę, pomagamy w szukaniu mieszkania, zapewniamy posiłki, ubrania, leki, sprawy urzędowe. Mamy tam zarejestrowanych 5 tys. osób, którymi się opiekujemy.

Da się już oszacować kwotę, jaką Caritas wydał na pomoc dla uchodźców z Ukrainy?

Przygotowujemy właśnie rozliczenie za rok działalności, ale na pewno to kilkadziesiąt milionów złotych. Samo Centrum Pomocy Migrantom i Uchodźcom kosztuje ponad 3 mln zł w ciągu roku.

Skąd pochodzą te pieniądze?

Punkty recepcyjne finansuje Urząd Wojewódzki, Urząd Marszałkowski przekazał nam magazyny i pomoc rzeczową. Już

podczas pierwszej zbiórki w parafiach, kilka dni po wybuchu wojny, udało się zebrać prawie 1,7 mln zł, z Caritas Internationalis otrzymaliśmy 1,3 mln. Wyśleliśmy dzięki darom mieszkańców Śląska 5 tys. paczek do Ukrainy o wartości ok. 500 tys. zł. Z pomocą Węgłokoksu i kliniki na Ochojcu przekazaliśmy dla ukraińskich szpitali sprzęt chirurgiczny o wartości 1 mln zł.

O niezwykłym zaangażowaniu Polaków w pomoc Ukrainie głośno było na całym świecie. Czyba nie znaleźliśmy się wcześniej z tej strony?

Pewnie wiele czynników o tym zdecydowało: nasze doświadczenia narodowe, takie jak utrata niepodległości, okropności wojny... Wiele przeżyliśmy w historii i to nas uwrażliwiło. Poza tym znamy Ukraińców, nie są dla nas czymś abstrakcyjnym, tylko konkretnym narodem, z którym mamy kontakt od wielu lat. Z pewnością pielgrzymki i nauki Jana Pawła II zaowocowały i zostały w ludziach wiele śladów dobroci. Byliśmy narodem uśpionym po przejściu z komunizmu do dobrobytu. I nagle zobaczyliśmy, że ktoś obok nas jest w potrzebie, że możemy się podzielić tym, co mamy. To nas przebudziło i uruchomiło niesamowite pokłady dobra. ■

Punkt recepcyjny dla uchodźców wojennych z Ukrainy w instytucji Katowice – Miasto Ogrodów. Wiosna – lato 2022 roku. Fot. Arkadiusz Ławrywianiec



ARS POLITICA

dla Lesława N.

kiedyś mój kolega poeta pisał wiersze
w których słowem ciągnął
jak kożę na sznurku
księżyc znad drohobycza
mowę wiążaną słomą i tykiem
małwy brodzące w śniegu po szyję
dom pod samborem i ścięte
dachy lwowa

dzisiaj mój kolega poeta jest członkiem
partii postkomunistycznej
może o tym nie wie ale w portfelu
oprócz legitymacji nosi wciąż lepką
krew romka strzałkowskiego
z poznania a także wyrwane paznokcie
wybite zęby zapory pileckiego
i tylu innych

do pracy nie bierze śniadania
je w barze w jakimś starbuksie
albo w lepszej restauracji
i dobrze bo musiałby odwijać z papieru
zrobione przez żonę kanapki przełożone
plasterkiem śmierci którą jak kromka chleba
skosiła dziewięciu górników
z wujka

dzisiaj mój kolega poeta jest członkiem partii
postkomunistycznej wciąż pisze wiersze
ale pracuje jako dyrektor
w firmie kosmetyczno-fryzjerskiej
więc pewnie wie że posiwiła włosy zapory
dałoby się pofarbować znowu na uwodzicielską
czern a w miejsce wybitych zębów wstawić
nowe jak najmodniejsze tipsy

mój kolega nie widzi związku
pomiędzy tym że jest a tym że nosi
bo nosi tę przeszłość metaforycznie
tak jak kiedyś ciągnął kresy niczym kożę
na sznurku w wierszu
mój kolega nie widzi
małwy ścięte małwy płaczą
dziewczynka z zapałkami znowu

podpala dom

MIESZKANIE WE LWOWIE

Mieszkanie zostawione tak, jak opuszcza się dom,
z którego ktoś wyjeżdża na chwilę: raptem na tydzień
albo dwa. W szafce otwarta paczka kawy, gdzieś
w przedpokoju buty, które trzeba zanieść do szewca.

Na łóżku koc złożony nie dość dokładnie, w pralce
dwa ręczniki i garść bielizny. Cebulki lili i w piwnicy
czekają na to, żeby posadzić je w marcu i karpy
dalii. Teraz mieszkają w nim biżencci.

Биженці, czyli uchodźcy. Nie z Syrii,
ale z Kijowa. Miasta, do którego jesienią
lataliśmy tanimi liniami za 39 złotych
– na piwo marki Оболонь.

Jewhen, student z Kijowa, inteligentny
i chorowity, biegle mówi po polsku,
niemiecku i francusku. Czeka na siostrę,
która ma tu dotrzeć. I rodzina z dzieckiem

takoż z Kijowa, gdzie ludzie nocami schodzą
do piwnic, schronów, albo korytarzy metra.
Gdzie wyją syreny na trwogę i słycać eksplozje
w dzielnicy Оболонь. Zostawiliśmy dom

we Lwowie. Czy biżencci posadzą dalię
i przytną róże w ogrodzie? Niech piją
kawę z otwartej paczki na zdrowie.
Na razie słuchają co wokół czują

w nozdrzach. Koniec lutego, mokry
śnieg topnieje w ogrodzie, rozmarza ziemia
i ptaki już się odzywają. Ich głos wciąż
zamiast eksplozji.

27 II 2022

GARBATA

Garbata, waży tyle co piórko, najwyżej 40 kilo, już na emeryturze,
a wciąż codziennie od 6 rano zamiata ulicę, cały kwartał,
wraz z siostrą. Jakby zrosnięta z miotłą dozorczyńni,
konsjerżka, czy jak mówią na Ukrainie: Комунальна служба.

W pomarańczowej kamizelce, zimą odgarnia śnieg.
Garbata nie od miotły, od męża – bił tak aż
uszkodził kręgosłup. Nie mogą się nadziwić czystości
jej ulic, bo przecież jesienią spadają liście.

Jeżeli jest Bóg, to da jej zapewne wieczną nagrodę,
a w niebie niebieskie ulice zamiatać będą aniołowie
skrzydłami, nie ona.

Ale, tak myślę, dobry Panie Boże, może jej warto
jeszcze tutaj, na ziemi, dać coś, czego nigdy nie miała:
7 dni all inclusive w Turcji albo przynajmniej
sanatorium все включено w Truskawcu.

Smak pomarańczy, łyk wina i crème brûlée.
Młodego kelnera, który wszystko przyniesie,
satynową pościel i mydło jednorazowe, pachnące.

O świcie słyszę szuranie miotły.

SZEGINIE, W KIERUNKU MEDYKI

Na tej granicy nigdy nie było tak tłoczno, nawet 30 lat temu, kiedy obywatele dawnego Kraju Szczęścia jechali do Polski sprzedawać

to, co zostało ze szczęścia: wódkę Столичная, elektronarzędzia, wędki, szwarc, mydło, powidło, a nawet żółwie stepowe.

Teraz ich dzieci i wnuki się tłoczą. Koczują, czekają, uciekają od nieszczęścia, które zgotował im dawny Kraj Szczęścia.

Uchodźcy z України, a raczej: czyjaś matka, czyjeś dziecko, czyjaś żona. 1000 km dalej trwa ostrzał. Ludzie w schronach.

Rakiety spadają daleko, ale wojna potrafi dziś kroczyć z szybkością dźwięku. Dlatego na tej granicy nigdy nie było tak

tłoczno. Z jednej strony brakuje toi-toiów, czyli sławojek z plastiku. Z drugiej – nasi celnicy przerzucają pampersy. Człowiek przy człowieku,

ciało przy ciele. I znowu tupot nóg sołdackich

28 II 2022

BOXSER

Bokser patrzy na świat przez szybę okna, w swoim domu na Filipówce we Lwowie, z okna na parterze z widokiem na ulicę i zieleń.

Stary bokser, pan Mietek Słonczyński; na ścianie pokoju wiszą trofea: dyplomy i pasy, złote puchary na półkach. Pan Mietek lubi opowiadać jak kiedyś

sparował z Jerzym Kulejem. Przez lata pan Mietek był trenerem, a jeszcze niedawno chodził na Politechnikę, gdzie uczył studentów nie ciosów,

sierpowych, a budowy łuków, na których opręć się mają mosty, wiadukty. Pan Mietek ma już 85 lat i coraz rzadziej wychodzi na zewnątrz.

Patrzy przed siebie oczami jakby już nie widział ulicy, lecz wszystko, co przeminęło. Czy on Ukrainiec, czy Polak, czy Żyd?

Bokser patrzy na świat przez szybę, jak nieruchomy gad w terrarium albo jak przez bulaję w burcie statku, który właśnie tonie

w najgłębszym czarnym morzu śmierci.

Lwów, 16 III 2022

PROFESOR OD WINOGRON

Nie widziałem go nigdy, ponoć był już stary, złośliwy i chory. Widziałem tylko winny krzew, który zasadził i puścił wokół ogrodzenia domu.

Drewniany wąż po prostu pełznął po siatce, a latem wypuszczał zielone pędy, na których dojrzewały kiście niewielkich cierpkich winogron.

Korzeń i pień zakotwiczały w ziemi gdzieś bardzo daleko, a na drewnianym wężu wybijały liście i łoży owoconośne. Nie widziałem Profesora, ale przecież

on musiał wychodzić ze swojej nory i przycinać te pędy co roku, tak jak nauczył się od ojca, w dalekim Munkaczu na Zakarpaciu, przed laty,

w mieście, które nie jest już węgierskie, ani radzieckie. Profesor uczył na Politechnice budować wiadukty i mosty, ale przywiózł do Lwowa,

który nie jest już polski, ani austriacki umiejętność pielęgnowania winnego krzewu i jego latorośli. Więc rosły cierpkie owoce, we Lwowie,

na Pohulance, pokazując, że nie jest ważny kraj: Węgry, Polska, Austria, Sowiecki Sojuz, lecz życiodajna siła ziemi, sok w zdrewniałych pędach.

Nigdy nie widziałem Profesora, ale poznałem, że umarł, kiedy wiosną wykarczowano dwa winne krzewy wijące się drewnem na ogrodzeniu

i pergoli, tworząc zieloną bramę. Może Profesor przycina już wino na miękkich płotach nieba, gdzieś w górze. Tu została tylko ziemia,

już nieważne czyja.

18 III 2022

fot. Tomasz Bieniek



JAN MALICKI: 24 lutego 2022 roku Ukrainę dotknęła okrutna i skrajnie barbarzyńska inwazja rosyjskich agresorów. Ten niesłychany akt antycywilizacyjności, niszczącego w sposób perfidny a konsekwentny wszystko to, co wiąże się nierozdzielnie z cywilizacją, dotykał totalnie świat ukraińskiej codzienności. Nade wszystko zwyczajnych ludzi; mężczyzn udających się na wschodni front, kobiet o smutnych twarzach, przejmujących już wszystkie codzienne obowiązki; dzieci, na których okrutna rzeczywistość odcisnęła swoje niezacierałe piętno. Na całe życie. Zwyczajność ludzi burzy też nieokiełznany żywioł uchodźców, tygodniami wędrujących przez ziemie ukraińskie, żywioł okaleczony utratą jedyne swego miejsca lub gorzej – najbliższych. Gina lub są niszczone miasta; te duże i te małe. Ginie cywilizacja i jej osiągnięcia. Z barbarzyńską premedytacją niszczone jest infrastruktura, bez której trudno się w swojej codzienności obyć. Niespotykanie konsekwentne są też próby najeźdźców unicestwienia oświaty, która broniąc się, nieustannie zmienia, przeobraża i dostosowuje swoje, dziś już minione metody pracy dydaktycznej, do nowych warunków lokalowych, dosłownie podziemnych, ale i do odmiennych form pedagogicznego oddziaływania. Zarówno w miejscu najbliższym krwawych walk, jak też tych odalonych, kiedy to alarm przeciwlotniczy przerywa lub kończy wszystko. W tym świecie Apokalipsy – na naszych oczach spełnianej – są takie instytucje, które nie tylko w tym najważniejszym momencie walki o narodowe przetrwanie, czasie; myślą o przyszłości. To oczywiście biblioteki, nie tylko jako zbiornice książek – w Ukrainie symbolu wiedzy i awansu społecznego, ale i miejsca spokoju. Ale czy na pewno?



Czy biblioteki są potrzebne w czasie wojny?

Z LARYSĄ LUHOVA, dyrektorką Lwowskiej Obwodowej Biblioteki dla Dzieci i wiceprezeską Ukraińskiego Stowarzyszenia Bibliotek rozmawia JAN MALICKI

LARYSA LUHOVA: Trudno jednoznacznie tezę tę potwierdzić, gdy pamiętamy, że według oficjalnych informacji 221 bibliotek zostało uszkodzonych, a około 100

zniszczonych. Wśród nich jest miejska biblioteka dziecięca w Czernichowie, biblioteka dziecięca w Charkowie, biblioteki w obwodzie zaporoskim, biblioteki w osiedlach obwodu kijowskiego, dziecięca biblioteka w Mikołajowie... Geografia strat bibliotecznych jest rozległa. Nie ma oczywiście funduszy dla tych bibliotek; przepały. A przecież zasoby wielu bibliotek również zostały rozgrabione, niszczone, zaś ukraińskie książki palone. Sprzęt i dobra materialne są rabowane. To zaledwie ślad hekatombi narodowej. Dochodzi wszak do ludobójstwa całego narodu ukraińskiego i całej ukraińskiej kultury. Szczególnym bólem dla nas, bibliotekarzy dziecięcych, jest Doniecka Obwodowa Biblioteka dla Dzieci w Mariupolu, która po przeniesieniu z Doniecka w 2014 roku została reaktywowana właśnie w tym niegdyś pięknym mieście. Ona, jak i cały Mariupol, ponownie została doszczętnie zniszczona przez okupantów. Grupa bibliotekarzy, która wyjechała z Mariupola, postanowiła jednak po raz trzeci ją odrodzić. I tak się dzieje. I choć rozproszeni w wielu miejscach kraju: w Kijowie, Białej Cerkwi, Dnieprze, pozostają jako zespół Donieckiej Obwodowej Biblioteki dla Dzieci, pracując zdalnie. A co ważne, ludzie z ca-



Dzieci podczas zajęć szkolnych w podziemnym schronie przeciwlotniczym odwiedzone przez ukraińskich harcerzy, którzy przybyli ze światelkiem pokoju

łej Ukrainy oraz z zagranicy przygotowują księgozbiór, aby po zakończeniu wojny biblioteka ta mogła natychmiast rozpocząć pracę.

To straty, w rzeczy samej, niepowetowane. Ale przecież giną też ludzie znający od lat zasoby, unicestwieniu ulegają też katalogi biblioteki. Drogowska czytelnianych bywalców. Zmienione są i oczekiwania czytelnicze. Dla mnie owa heroiczność bibliotekarskiego trwania jest godna podziwu. Ale Pani Dyrektor przedstawiła nam jedynie panoramę strat ukraińskiej kultury. Chcielibyśmy jednak prosić o przybliżenie pracy biblioteki czasu wojny.

Opowiem więc krótko, jak działają ukraińskie biblioteki dziecięce podczas wojny na przykładzie Lwowskiej Obwodowej Biblioteki dla Dzieci, ponieważ wszystko co my robimy, wykonują również inne biblioteki w kraju, a które znajdują się na bezpiecznych terenach, oddalonych od miejsc zagrożonych. Od pierwszego dnia wojny biblioteka zmieniała godziny pracy, by zwiększyć do niej dostęp. Teraz pracuje ona przez cały tydzień, bez dni wolnych, od 9 rano do godz. 19. Wynika to również z przeorientowania działalności, koncentrującej się na trzech głównych obszarach. Nade wszystko na prymarnych funkcjach bibliotecznych. One są oczywiście niezmiennie, acz przesunięte zostały akcenty w pracy z dziećmi. Promujemy przede wszystkim taką literaturę, która pomaga uspokoić i utrzymać równowagę psychiczną. Odwracać uwagę dzieci od okropności wojny, bombardowań, przerażających obrazów śmierci i zniszczenia. Staramy się je pocieszyć i zabawiać. Zapraszamy mu-



Zajęcia z dziećmi w podziemnych ukryciach.

zyków, klaunów, iluzjonistów. Ale równie istotną rolę do spełnienia ma biblioteczny psycholog. Doradza on również bibliotekarzom, jak pracować z dziećmi; jak z nimi rozmawiać o wojnie; jak nie krzywdzić dziecka, będącego już nierzadko ofiarą działań wojennych. Po prostu; integrujemy dziecko ze społeczeństwem. Uczymy skupienia, rozwijamy krytyczne myślenie, zasad pracy zespołowej. Nade wszystko zaś śpiewamy, ćwiczymy, czytamy książki, uczymy się. I jemy zdrowe przekąski. Zawsze też pamiętamy, iż w czasie nalotu powietrznego, wszyscy czytelnicy i bibliotekarze muszą przebywać w schronach. W 2019 roku zakończyliśmy prace remontowe w piwnicy i zdecydowaliśmy, że powstanie tam „Laboratorium pod ziemią”. Wojna zniweczyła nasze plany i od ponad 8 miesięcy wykorzystujemy tę przestrzeń jako schron przeciwbombowy. Jeśli nalot zakłóci nasze zajęcia, wtedy przenosimy je do schronu i je kontynuujemy. Ale jest jeszcze inna niezmiernie ważna rola, jaką spełnia nasza biblioteka. To dbałość o tych czytelników, którzy zmuszeni zostali do opuszczenia Ukrainy. Aby nie utracili kontaktu z ukraińską literaturą i kulturą. Bibliotekarze, wydawcy, czytelnicy organizują więc szereg różnych akcji – „Książki bez granic”, „Książki w walizce” – podczas których zbiera się i przekazuje się do różnych bibliotek Europy, i nie tylko. Przekazano w ten sposób setki tysięcy książek. Moja biblioteka również aktywnie uczestniczy w tym przedsięwzięciu.

Mówiła Pani o dwóch nowych obszarach działań Biblioteki. Jedno to Centrum Wsparcia Informacyjnego dla Osób Wewnętrznie Przesiedlonych...

To niezwykle ważna forma pracy Biblioteki. Nasze Centrum działa od pierwszego dnia wojny. Najpierw były to czynności proste; wykonywanie kserokopii, ska-

nowanie, drukowanie niezbędnych dokumentów, wsparcie informacyjne we wszystkich sprawach istotnych dla przesiedleńców. Z czasem znacznie rozszerzył się zakres naszych działań: pomoc w wyszukiwaniu pracy, adresy instytucji społecznych i medycznych, możliwość korzystania z Internetu, pośrednictwo w organizowaniu pomocy humanitarnej, konsultacje psychologów. Lista usług rozszerza się z dnia na dzień. Obecnie np. dzieci bezpłatnie otrzymują tablety, laptopy i komputery do zdalnego nauczania. Z kolei ci, którzy uczyli się w szkołach muzycznych mogą u nas ćwiczyć np. na pianinie. Do biblioteki dziennie przychodzi kilkadziesiąt osób potrzebujących takiej pomocy. Dlatego też nasze Centrum Wsparcia będzie działać do momentu, kiedy każdy Ukraińiec wróci do swojego domu.

Drugie to Centrum Wolontariatu.

Od początku wojny miliony Ukraińców przyłączyło się spontanicznie do ruchu wolontariuszy. Oczywiście bibliotekarze nie pozostali poza nim. Przeciwnie. Bibliotekarze zbierają fundusze dla wojska, organizują charytatywne jarmarki, przygotowują suchy prowiant oraz ulubione przez wszystkich pierogi. Starają się o lekarstwa, szycją flagi i robią na drutach skarpetki. Robią tysiące innych ważnych rzeczy, by przybliżyć zwycięstwo. A gdy wejdziecie do biblioteki, to ujrzyście biblioteczne półki opłatanie utkanymi właśnie siatkami maskującymi, które wykonywali moi pracownicy wspólnie z naszymi gośćmi z Charkowa, Kijowa, Mariupola. Wyplatają nasze zwycięstwo nad wrogiem. Na pewno zwycięstwo. Myślę, że odpowiedziałam na pytanie, czy biblioteki są potrzebne w czasie wojny.

JAN MALICKI: Z całym przekonaniem – tak. I bardzo dziękuję za rozmowę.



Podczas wojny biblioteki i ich pracownicy odnajdują się w zupełnie nowych rolach

Sieci i mosty

RADOSŁAW KOBIERSKI

W Pałacu Kultury Zagłębia jestem pierwszy raz. Jego nazwę tego dnia notorycznie przekreślam na „pałac ludowy” – bo też od pierwszego spojrzenia w Google Image kojarzy mi się bardziej z monumentami Rumunii Ceausecsu niż ze znaną architekturą sąsiedniego regionu. Gwoli ścisłości na występie MASO – Młodzieżowej Akademickiej Orkiestry Symfonicznej Ukrainy „Słobożański” z Charkowa – również jestem pierwszy raz, choć orkiestra w regionie koncertuje od listopada, kiedy pod artystyczną dyrekcją Jurka Dybała, dyrygenta, animatora życia kulturalnego, muzyka wiedeńskich filharmoników, i pod batutą Vitalija Liashko w Sali Koncertowej im G. Fitelberga przedstawiła utwory Paderewskiego i Chopina, a kameralne zespoły – zarówno kwartety, jak i kwintety – wystąpiły m.in. w siedzibie katowickiego ZPAF-u oraz na wernisażu Gabi Buzek w galerii Miasta Ogrodów (Liashko Vitalii, Hryhorenko Iryna, Baeva Tetiana, Tsybmal Ksenia, Bordacheva Iryna).

W środę, 11 stycznia, na widowni PKZ jest komplet. Przerwy między dzwonekami są dłuższe, ponieważ tłum ludzi musi się ogarnąć, znaleźć swoje miej-

sca, rozgościć w fotelach. We foyer pracę przed pierwszą przerwą kończą wolontariusze, którzy zbierają fundusze na pomoc humanitarną na rzecz Ukrainy (pomoc uzyskują ukraińskie dzieci dotknięte wojną). To bardzo istotny element rezydencji orkiestry MASO, ale o tym później. Scena jest jeszcze pusta, nie licząc dyrygenckiego podestu, krzesel i pulpitów, w prawym rogu ustawiono stelaż z trzema flagami: polską, ukraińską i obwodu charkowskiego.

Orkiestrę na co dzień „trenuje” Vitalij Liashko, klarncista, ale również dyrygent, którego podczas koncertu w Dąbrowie Górniczej zastępuje Jakub Chrenowicz, adiunkt w Katedrze Dyrygentury Symfoniczno-Operowej AM w Poznaniu. Orkiestra jest rzeczywiście młoda, przynajmniej jej awangarda: sekcje smyczkowe – choć niczym nie ustępują bardziej doświadczonym muzykom od instrumentów dętych i rytmicznych. Zaczynają od *Poloneza A-Dur* Chopina, który od razu w pamięci porównuję do wykonania Janusza Olejniczaka. Dynamika podobna, nawet niektóre „natarcia”, ale oczywiście są orkiestrą, więc wszystkim jest bardziej na miękko. Jakby za kil-

ka warstwami tiulu. Ten efekt czuć będę przy *Modrym Dunaju* Straussa, w kolejnym *Mazurze* – tym razem z Moniuszki, a także w dwóch kompozycjach Myroslava Skoryka, zmarłego przed dwoma laty wybitnego kompozytora urodzonego we Lwowie.

V *Symfonia c-moll* Ludwiga van Beethovena, którą Polacy znają może bardziej niż na 5 procent (vide Gombrowicz), na pewno lepiej niż dziewiątą, to naprawdę bardzo dobrze przygotowane wykonanie, zagrane bez kompleksów, z energią, ale i czułością. Ta symfonia zresztą jest tak pomyślana, że poszczególne jej elementy ze sobą mocno kontrastują, wyskandowane dźwięki „motywu losu” i dłuższe pasaże altówkowe i wiolonczelowe, głośnie i hieratyczne pużony, rogi z bębnami i miękkie narracje skrzypiec. Samo określenie „motywu losu” to oczywiście tradycja romantyczna, ale nie da się jej nie przyłożyć do historii XX wieku. Pukanie do drzwi, głośnie i natarczywe, być może oba narody – polski i ukraiński – mają we krwi. W pamięci pokolenia wojny, jeszcze niewygasłej, być może w pamięci dziedziczonej, a już na pewno we wspomnie-

phot. M. Wesołowski



niach ostatnich ośmiu lat wojny w Ukrainie. Chociaż może Rosjanie nie pukają do drzwi. Podczas okupacji nie pukali do moich domów rodzinnych. Wchodzili jak do swoich i na swoje.

Tego dnia w Pałacu Kultury Zagłębia pomyślałem, że dopóki Orkiestra będzie grać, nikt do tego domu ukraińskiego nie wejdzie. Może rozpruje rakiętami balistycznymi lub podpali fosforem, ale nie zajmie go, bo to nie jest sytuacja symetryczna względem tonącego transatlantyku. Wojna w Ukrainie w sposób szczególny uderza w cywilów i kulturę. Więc dopóki kultura będzie działać, kreować, wytwarzać wspólnotową przestrzeń dla każdej jednostki oraz idei, nie będzie w stanie jej zniweczyć. Łatwo tak sterylnie formułować nadzieje z wygodnego fotela sali koncertowej, pomyśli ktoś. No właśnie fakt, że siedzę wygodnie w fotelu słuchając klasyki to efekt walki o tożsamość, którą stoczyli moi rodacy. Przodkowie. Rodzice.

Zwróciłem również uwagę na repertuar koncertów, bo skupia on jak w soczewce strategię zespołu, widoczną w większości jego działań koncertowych w Polsce: Strauss, Moniuszko, Beethoven, Bach, Skoryk, Leontovych, Anderson, Bizet, Grieg, Bartok, Rossini, Saint Sæens, Penderecki. Oto jak wygląda most. Most, który łączy kulturę i tradycję muzyczną sąsiadujących ze sobą narodów, ale przede wszystkim Ukrainę i Europę. To wyraźny sygnał zarówno dla twórców, jak i słuchaczy, wszak jednym udowadnia celowość działań i oporu, drugich pociesza i wzmacnia. Ale również jasny przekaz dla Kremla: Jesteśmy w Europie, do Europy przynależymy, kultura europejska i kultura ukraińska to jedność. Czy ktoś o zdrowych zmysłach może zaprzeczyć? Czy Polacy, którzy nie byłiby europejscy, którzy nie zdawaliby sobie sprawy z przynależności do tej kultury, potrafiliby tak żywiołowo reagować na *Marsz Radetzky'ego*? Przecież nie chodzi tu o optymizm, podniosły nastrój ani nawet ikonizację (choć ona przydaje się w reakcjach zbiorowych), rzecz w tym, że my bardzo dobrze znamy swoje miejsce. A nawet czasem zdajemy sobie sprawę z czynników wytwarzających i kształtujących naszą skomplikowaną mentalność i poczucie wspólnoty.

Ten nieco przydługi wstęp jest po to, by czytelnicy zobaczyli pojedynczy punkt na szerokiej mapie wydarzeń MASO. Konkretnie wydarzenie w dość rozłożystym i rozgałęziającym się biografii Orkiestry. Zacznę od biografii. O MASO, Młodzieżowej Akademickiej Orkiestrze Symfonicznej mówi się, że jest pierwszą i jedyną profesjonalną orkiestrą w Ukrainie. Gdyby tak nie było, nie święciłaby triumfów na Festiwalu Orkiestr Młodzieżowych w Kopenhadze w rok po założeniu kolektywu (1993). Gdyby tak nie było, nie wy-

stępowałyby w niej najbardziej utalentowani młodzi muzycy w kraju (choć kolejni mogą być dyskusyjni), nie koncertowałyby ze sławnymi solistami i dyrygentami, takimi jak m.in.: Valeriy Sokolov, Alina Vlasenko, Elizabeth Pitcairn, Daniel Austrich, Dionysius Grammenos. W końcu w dowód uznania zasług dla kultury ukraińskiej MASO nie otrzymałaby oficjalnego, państwowego tytułu Zespołu Akademickiego, najwyższego w Ukrainie wyróżnienia dla tego rodzaju instytucji.

Świetnie potrafię wyobrazić sobie cotygodniowe koncerty abonamentowe dla społeczności charkowskiej, spokojny i hołistyczny rozwój zespołu, trasy koncertowe po Europie i bezpieczne powroty do domu. Bywałem w zachodniej Ukrainie przed wojną i wydawało mi się, że nic tej harmonii i codzienności nie zniszczy. Stało się inaczej. Charków z racji położenia stał się miejscem ryzykownym, niemal niemożliwym do życia, tym bardziej do grania koncertów – choć gwoli ścisłości, muzyka ani literatura nie opuściła nawet ruin, by wspomnieć występ solowe Denisa Karaczewcewa, Wiery Lytovchenko czy Serhija Żadana, zarówno pisarza, jak i muzyka. Orkiestra MASO przeniosła się do Polski, prosto pod skrzydła Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego, a ściślej Narodowego Instytutu Muzyki i Tańca (projekt Wspieramy Ukrainę) oraz Europejskiego Centrum Muzyki Krzysztofa Pendereckiego w Luśławicach, a na Śląsku – instytucji Katowice Miasto Ogrodów. Pobyt MASO wsparły również Stowarzyszenie Purpurowy Stradivarius i Krajowy Fundusz na Rzecz Dzieci.

Orkiestra rezydowała w Lublinie, Zakopanem, Wrocławiu i Szklarskiej Porębie. Wystąpiła w miejscach ikonicznych dla polskiej tradycji muzyki – w Studio Koncertowym PR im Witolda Lutosławskiego, w Filharmonii Krakowskiej i Śląskiej, w Domu Muzyki i Tańca w Zabrze, na Festiwalu Emanacje oraz na wiedeńskim Heldenplatz, biorąc udział w interdyscyplinarnym projekcie „Symfonia Wolności”.

Od kilku miesięcy muzycy z Charkowa przebywają w Katowicach – przy artystycznym wsparciu Dybała – koncertując w regionie. Pomoc ma charakter poważny, przemyślany i systemowy. Angażuje wiele narodowych instytucji, podmioty lokalne, muzyków i młodych dyrygentów oraz wolontariuszy. Ale ten ruch i zaangażowanie nie są domeną jednej strony i nie działają w jednym kierunku. I tu dochodzimy do szerokiej mapy wydarzeń, wzajemnych wpływów i pełnej artystycznej symbiozy, najkrócej mówiąc na wyjęciu poza centrum, aktywizacji ośrodków w różnych dzielnicach. MASO i zespoły kameralne nie tylko koncertują w przestrzeni koncertowej, konferencyjnej, radiowej, nie tyl-

ko w domach kultury (Kosztutka, Dąb, Osiedle Tysiąclecia), nie tylko w kościołach z okazji świąt katolickich czy Dnia Judaizmu, ale również w przedszkolach artystycznych, Domach Pomocy Społecznej, szkołach podstawowych, w miejscach takich, jak Dom Oświaty czy Dom Aniołów Stróżów, Regionalna Izba Gospodarcza, klasa dyrygentury profesora Jacka Błaszczyka w AM im. K. Szymanowskiego w Katowicach. O tej ostatniej inicjatywie Jurek Dybała powiedział: – Dla studentów dyrygentury to unikatowa okazja pracy z orkiestrą, czego z natury zawsze jest za mało w trakcie studiów. Praktyka czyni mistrza, legendarny Ricardo Muti zwykł mawiać, że aby zostać prawdziwym dyrygentem, nie wystarczy edukacja teoretyczna, trzeba „połamać zęby” na orkiestrze. Dyrygent i opiekun artystyczny orkiestry dodał w innej rozmowie, że wymiana ma również charakter ściśle merytoryczny. Polskie zespoły i dyrygenci uczą się Silvestrova, Bortnianskiego, Kalyszewskiego, MASO ćwiczy się na mazurach Moniuszki, na menuetach Paderewskiego, koncertach skrzypcowych Wieniawskiego. Za chwilę wielkie wydarzenie – premiera *III Symfonii* Pendereckiego w Krakowie i Europejskim Centrum Muzyki w Krakowie, a przede wszystkim wspólny projekt orkiestry Teatru Wielkiego i MASO w ramach uroczystości upamiętniających wybuch wojny w Ukrainie.

Obecność ukraińskiej orkiestry w Polsce to nie „wikt i dach nad głową” za robotę w polu kultury. Nikt nie oszczędza MASO, zwłaszcza MASO nie oszczędza siebie. Jej działania opłatają miasto i region jak sieć, przy czym to sieć współistnienia, partycypacyjna, neuronalna – a jakże. Łączy instytucje, które pracują bez zarzutu i ludzi, którzy chcą działać, różne wątki kultury na poziomach regionalnych i narodowych (oraz oczywiście ponadnarodowych), łączy rozproszone centra i peryferia. Nie sposób nie zauważyć analogii do wielkiego projektu sejneńskich Pograniczy. O idei mostu, odbudowie sieci kulturowej (na poziomie neuronalnym również) twórca idei Krzysztof Czyżewski pisał: „Istotą samego procesu budowania mostu jest to, że powstaje on z materii lokalnej, z pamięci miejsca i twórczej inwencji jego mieszkańców. Praktyka Pogranicza odnosi się do najistotniejszych wyzwań współczesnego świata – sztuki budowania mostów w otwartych, zróżnicowanych i zintegrowanych społeczeństwach wielokulturowych miast i regionów”.

Masz pomysł na ciekawy koncert, współdziałanie artystyczne, chciałbyś pomóc lub wesprzeć projekt. Zapraszamy do kontaktu: jurekdybal@gmail.com

POSTSCRIPTUM CMLXI

znaleźć cokolwiek
co nie będzie znakiem
nie obrośnie słowem

POSTSCRIPTUM CMLXIX

przydarzyłeś się czasom
napastliwym
godzinom

POSTSCRIPTUM CMLXII

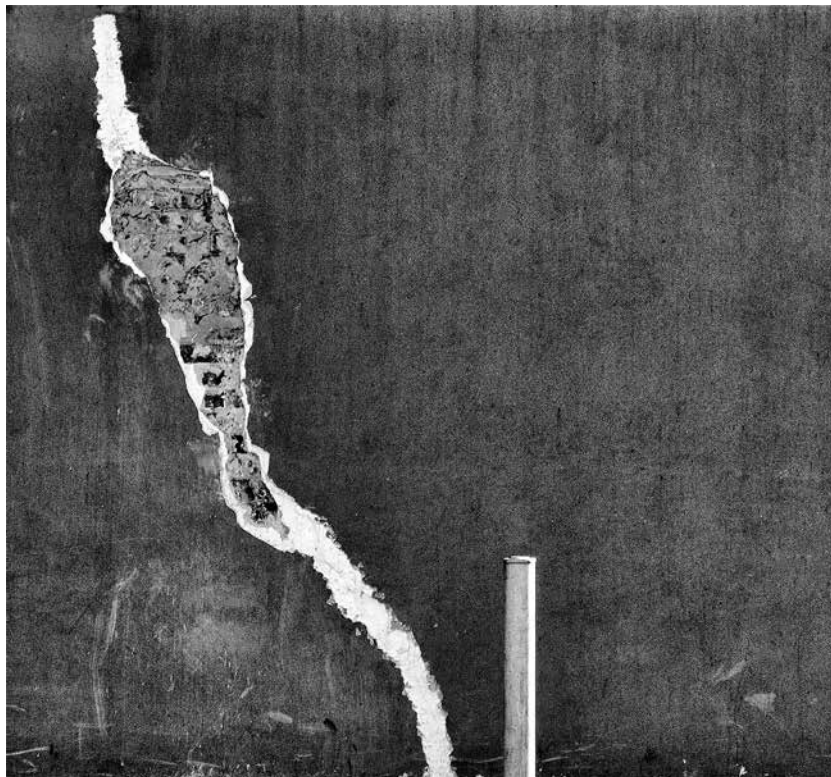
a zamiast odpowiedzi
mądrość
niestawianych pytań

POSTSCRIPTUM CMLXIII

odkąd cię nie ma wiesz
jak być minimalnie
bezbolesnym kosztem

POSTSCRIPTUM CMLXX

jesteś czyli nie jesteś
na swój okrężny
niedocieczony sposób



fol. Tomasz Kowalski

POSTSCRIPTUM CMLXV

zaszczyliłeś nas bytem
żeby było
pobojowisko

POSTSCRIPTUM CMLXVI

przemilczeć wszystko
prócz słów
którym nie do śmiechu

POSTSCRIPTUM CMLXIV

skoro to nieobecność
to czyja
jak ją czytać

POSTSCRIPTUM CMLXXI

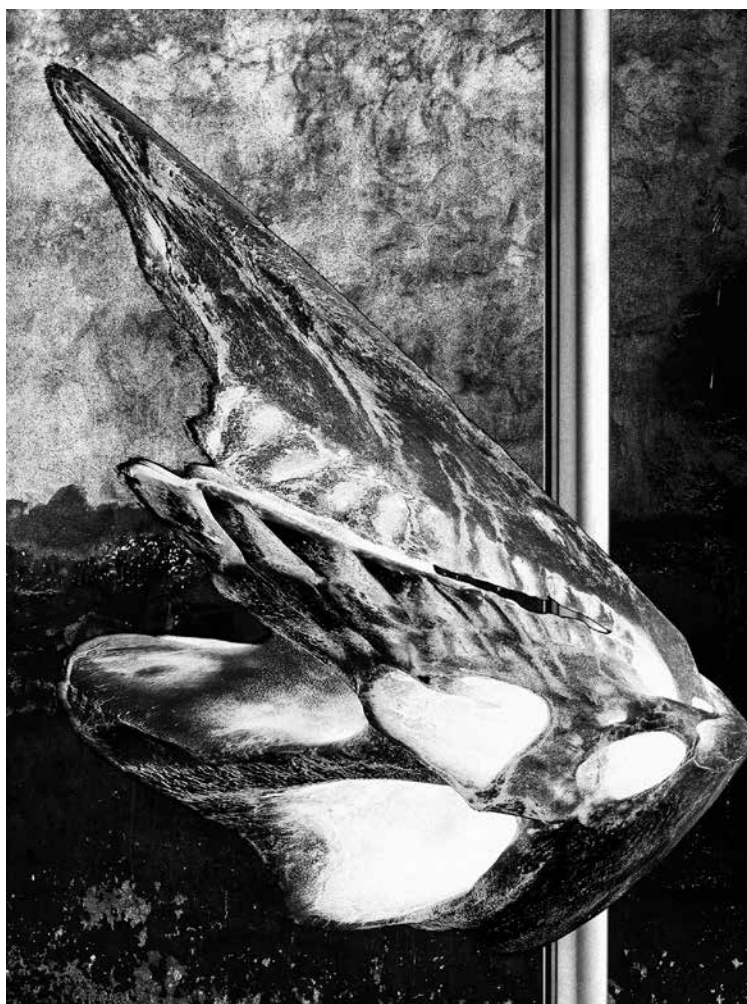
choć na moment
zakorzeń się
w nieistniejącej chwili

POSTSCRIPTUM CMLXVIII

uciec z guerniki
schować się
w chagallu

POSTSCRIPTUM CMLXXII

wdzięczność stąd
że stworzyłeś
i frezje i nicość



for. Tomasz Kowalski

POSTSCRIPTUM CMLXXIII

jest go
więcej niż trzech
jest go nieskończoność

POSTSCRIPTUM CMLXVII

który ukrył się
w doskonale pakownym
słowie

POSTSCRIPTUM CMLXXIV

in memoriam M.

a komu będzie
chodził zegarek
komu będzie umierał

Dziennik zdruzgotanego życia (7)

ANNA GURBICZ, WITOLD TURANT

Tak czy inaczej, czasy małosyjskiego kompromisu, w którym upatrywano rozwiązania kwestii ukraińskiej, minęły bezpowrotnie, a razem z nimi nadzieje na to, że uda się zmieścić Małorosję w ogólnorosyjskiej przestrzeni kulturalnej i politycznej jako część składową trójjedynego narodu rosyjskiego. Od tej pory intelektualiści małosyjscy mieli do wyboru tylko dwie możliwości: albo stać się „prawdziwymi Rosjanami”, albo przybrać niezależną tożsamość ukraińską.

Sierhii Plochy, *Kwestia rosyjska*
Tłum. Łukasz Witczak

To, co nabrzmiewało pomiędzy Ukrainą i Rosją od lat, a konkretnie od roku 2014, kiedy najpierw został zajęty Krym, a następnie utworzono samozwańcze republiki Doniecka i Ługańska pod rosyjskim protektoratem, wybuchło z całą mocą 24 lutego 2022. Wczorajsi bracia zaatakowali Ukrainę z kilku kierunków i przez zachodnią granicę wylała się na Europę fala uchodźców. Jednym z głównych kierunków tej wędrówki była granica z Polską. Katowice należały do najbardziej uczęszczanych punktów; jeśli nie docelowych, to przesiadkowych.



fot. Bogdan Kulakowski

Młody Ukrainiec przed dalszą podróżą na katowickim dworcu

Miałem kilkoro znajomych na Ukrainie. Byłem przygotowany na to, iż któregoś dnia ktoś zapuka do moich drzwi i trzeba będzie mu pomóc. Stało się inaczej, choć kto wie, co przyszłość może przynieść. Przecież wojna jest nieobliczalna i nieprzewidywalna. Okazało się, że przydzieliła mi całkiem inną rolę. Dla kilku osób stałem się czymś w rodzaju internetowej leżanki w gabinecie psychologa, gdzie starają się pozbyć duchowych ran zadawanych im przez tę wojnę. Kiedy to wszystko się zaczęło, pomyślałem – niech i tak będzie. Być może im na coś się przydam, a sam lepiej zrozumieję istotę tej wojny. Szczególnie jestem za to wdzięczny Annie z Dnipro, która nadal nie chce opuścić swojego miasta i obdarzyła mnie zaufaniem. Nasza korespondencja nie zaczęła się zaraz po wybuchu wojny. Stało się to w czasie, kiedy psychika Anny odniosła już pierwsze rany.

* * *

Jeśli ktoś wyobraża sobie wojnę jako coś w rodzaju meczu krykieta dwóch drużyn złożonych ze stuprocentowych dżentelmenów, to jest niesłychanie naiwny. To rozgrywka, która wciąga także kibiców, podających zawodnikom zakazane środki dopingujące, podstawiających nogi zawodnikom niepopularnej drużyny, rzucających na boisko skórki banana. Zawodnicy także nie są obojętni wobec publiczności; potrafią, rozszloczeni zagrażającą porażką, nieźle przyłożyć niesympatyzującym z nimi kibicom. Mniejsza jednak o sportowe metafory.

Mówiąc wprost, najwyraźniej nieradząca sobie na froncie drużyna Rosji zdecydowała się dociążyć kibicom, czyli ukraińskim cywilom. To widać w ostatnim czasie każdego dnia. Rosyjską armię mają wspomagać okrutni generałowie i pułkownicy: Mróz, Głód i Ciemność. W chłodzie, o gładzie i w ciemności zdezorientowany naród ukraiński miałby poprosić o pokój, sprzeniewierzając się poświęceniu swoich żołnierzy, przeciwstawiając się rządowi i wreszcie wyrzekając się swojej tożsamości.

Anna już kilkakrotnie dała mi do zrozumienia, że to mrzonki kremlowskie, ale tamtejszy władca powtarza uparcie: *pożywiom, uwidim*. I rzuca do boju jeszcze jednego generała, Propagandę. To wyjątkowo przemyślny i złośliwy typ, dysponujący wszystkim zdobyczami dzisiejszej IT. Uśmierca żywych, ożywia, jeśli trzeba, zmarłych, potrafi na nowo napisać historię. Anna rozumie, iż jest to równie groźna broń, jak po wielokroć przeklinane przez nią rakiety i drony. Tymczasem mój internet zanika na kilka dni. Awaria, informuje mnie dostawca. Trudno. Trzeba cierpliwie czekać. Dopiero następnego dnia pod wieczór rusza. I zaraz złe wiadomości.

6.12. *Nareszcie cię widzę, mój drogi. Żadna satysfakcja do wiedzieć się, że u was internet też kaprysi. A tu brak światła i seria wybuchów. Zapowiada się rozrywkowa noc, słowo daje. No tak, to specyficzny rodzaj rozrywki, obyś takiej nie zaznał. To rozrywkowe drony nas atakują, ale chwala niech będzie naszej obronie przeciwlotniczej. Zestrzelili niemal całe to latające gówno. Ale to nieprawda, co piszą, że te drony boją się mrozu i nie działają. Owszem, działają i to jeszcze jak! O, właśnie znowu pierdolnęło. A tak na marginesie: siedzimy właśnie przy twoich świecach. Mam takie dziwne uczucie, że jestem przy nich jakby bezpieczniejsza. No tak, wiem, co powiesz; moje odczucie to złudzenie, a drony to rzeczywistość i powinnam wleźć pod łóżko. Zapewniam cię, że nasze wojsko bardzo się stara. Wiesz co? Pieprzyć tę wojnę. Napiszmy sobie coś milego, jakbyśmy flirtowali.*

Nie zdążyliśmy. O tym, co się stało, czytamy w naszych mediach. Drony, artyleria, rakiety. Światło, woda, osiedla. Jesteśmy bez kontaktu. Pozostaje tylko cierpliwie czekać, czytać wiadomości i zdobyć się na dużą dozę optymizmu.

8.12. *Dobry wieczór, mój drogi. To już drugi dzień, kiedy internet kroczy własnymi drogami. U mnie wszystko OK. Pytasz o tegoroczne Boże Narodzenie. To prawda, po raz pierwszy w historii prawosławia można będzie je obchodzić 25 grudnia. Mówiąc szczerze, dla nas to jest nieco dziwna decyzja, bo przecież od wieków obchodziliśmy to święto 7 stycznia. Trudno się z tą myślą oswoić. No, naprawdę trudno będzie się przyzwyczaić, tym bardziej, że wszystkie cerkiewne święta będą obchodzone w innych dniach, niż dotychczas. Boże, jak to będzie?*

Z drugiej strony rozumiem przyczynę: zmierzamy ku Zachodowi, to raz; dwa – to nie chcemy mieć nic wspólnego z Ro-

sją ani z jej cerkwią, ale dla mnie to będzie bardzo trudne. Oczywiście, to decyzja o podwójnym znaczeniu – politycznym i religijnym. Z politycznym zgadzam się bez zastrzeżeń, a co do sfery religijnej... no cóż, też trzeba będzie przywyknąć. Wy mieliście pięćset lat, żeby się przyzwyczaić do gregoriańskiego kalendarza, ale w naszej cerkwi obowiązywał zawsze juliański.

Myszę teraz o tym, jak ta zmiana zostanie przyjęta przez społeczeństwo. Dużym szokiem dla licznych wiernych musiało być wyjście ukraińskiej cerkwi spod Patriarchatu Moskiewskiego i poddanie jej pod zwierzchnictwo Patriarchatu Konstantynopolańskiego. Zasadność tego kroku znalazła potwierdzenie w stanowisku cerkwi rosyjskiej wobec wojny na Ukrainie i wsparciu ze strony jej hierarchów, jakiego udzielają imperialnej polityce Putina i samej wojnie.

Należy sądzić, iż wierni na Ukrainie przyjęli tę zmianę ze zrozumieniem. Natomiast zmiana dat świąt wiąże się ze zmianą rytmu roku liturgicznego i tu mogą pojawiać się problemy. Stąd, jak sędzę, wynikają rozterki Anny.

Trudno w tej chwili to ocenić. Dla zwykłych ludzi jest jedyna zasadnicza różnica pomiędzy naszymi kościołami. Ukraińskie duchowieństwo potępia wojnę jako pogwałcenie boskich przykazań, podczas kiedy patriarcha Moskwy błogosławi rosyjskich żołnierzy, a naszych nazywa diabłami. Jest jeszcze jedna sprawa – duchowni na Ukrainie są sprawdzani przez naszą służbę bezpieczeństwa. Okazało się, że Pieczerska Ławra w Kijowie nie prezentuje się najlepiej. Poczekajmy jednak na oficjalny komunikat. Wiesz, jak to jest z tym „wychodzeniem przed orkiestrę”.

11.12. *Wczoraj było w miarę spokojnie. Może dziś też tak będzie. Niech sobie w weekend orki piją gorzałę, a nam dadzą odetchnąć. Piszesz, że samogon im wystarczy, a płyn do samochodowych spryskiwaczy to luksus. OK, niech i tak będzie.*

A jednak nie dali nam spokoju. Najgorsze są drony. Odgłos ich silnika przypomina motorower. I nie masz pojęcia, skąd to bydlę nadlatuje. A za chwilę jest już za późno. Paskudne urządzenie, uwierz mi. Piszesz, że u was śnieg. Dużo. U nas +10 stopni.

Później życzymy sobie spokojnej nocy. Chciałbym żeby ta noc Anny była jak dzisiejszy wieczór tu, w mojej wsi. Bezwietrznie i absolutna cisza. Tylko śnieg pada i pada. Drzewa wyglądają tak, jakby już były gotowe na wigilijny wieczór. Jak było, dowiem się jutro.

13.12. *Spokojnie. To, co zwykle. Brak prądu, szalejący internet. Dzieci? W bojowych nastrojach, jak my wszyscy. W każdym razie takie sprawiają wrażenie. Wieczorem przyślę kilka zdjęć.*

15.12. *Dobrego dnia, Witku. Tutaj od rana głośno. Wybuchy i „motorowery” na niebie. Jutro mam wolny dzień i postanowiłam go przeznaczyć na pewnego rodzaju podsumowania i refleksje na temat naszego życia w wojennym, paskudnym czasie. Nie wiem, co z tego pisania wyniknie, ale postaram się to przesłać. Teraz dociera do mnie, że korespondujemy już siódmym miesiącem. Czas tak szybko ucieka, choć tak na co dzień w tej wojennej rzeczywistości wydaje się okropnie wlec. Natomiast przerażające dla mnie jest to, że do tej rzeczywistości, strasznej i wyniszczającej nas, w jakiś sposób przywykamy.*

Odpisuję Annie. Pewien polski pisarz w czasach komuny powiedział tak: „że jesteśmy w dupie, to oczywiste, ale najgorsze jest to, że zaczynamy się w niej urządzać”. W tym tkwi nasza siła, bo mamy szansę przeżyć, ale jednocześnie i wielkie zagrożenie, że się z tą sytuacją pogodzimy i pozostaniemy w niej na zawsze. Po chwili filmik pokazujący gigantyczne kolejki na przystankach komunikacji miejskiej w zaśnieżo-

nym Dnipro. Nie wytrzymam: kolejka na przystanku! W Polsce niewyobrażalne, nawet w takich okolicznościach. Anna komentuje:

Nie jesteśmy baranami. Wojna nas czegoś nauczyła. Musimy być solidarni i trzymać się razem. No i staramy się być zdyscyplinowani. Kiedy nie przyjeżdża autobus czy tramwaj, stajemy w kolejce. Nie ma lepszych i gorszych, bogatych i biednych; wszyscy jedziemy na tym samym wózku, wszyscy staliśmy się celem terrorystycznych ataków i ludzie to rozumieją.

Dzisiaj media informują o intensywnym ataku rakietowym na wiele ukraińskich miast, włącznie z Kijowem. Wiele rakiet zestrzelono, ale straty i uszkodzenia są ogromne. Atak nastawiony był na zniszczenie miejskiej infrastruktury: sieci energetycznych, wodociągów, kanalizacji. Anna nie odpowiada na moje smsy.

16.12. *Mamy dzisiaj koszmar. Trafili znowu w naszą elektrownię. Będą problemy z elektrycznością. Nie wiem, czy uda mi się jeszcze odezwać.*

Wykrakała. Nie udało się. Ale podczas kilku spokojniejszych dni udało się nam porozmawiać na temat zmian, jakie zachodzą w społeczeństwie w wyniku wojny. Oboje mamy świadomość, że przedwojenna Ukraina to już historia. Poza kalendarzem liturgicznym Anna pisze o tym, jak zmienił się stosunek Ukraińców do języka.

18.12. *Tutaj, na wschodzie Ukrainy, zawsze byliśmy rosyjskojęzyczni. Kiedy chodziłam do szkoły, wszystkiego nauczyłam po rosyjsku. Mieliśmy tylko dwie godziny ukraińskiego tygodniowo. Dopiero w 2019 roku ukraińskiemu nadano status jedyne go języka urzędowego, narodowego. Odnosiło się to także do nauczania i przekazów telewizyjnych, medialnych. W praktyce ten prawny nakaz objął wszystkie dziedziny naszego życia dopiero w 2021. A tak naprawdę, to po wybuchu wojny spojrzeliśmy w inny sposób na tę kwestię. Przez całe życie słyszeliśmy w filmach język rosyjski, słuchaliśmy rosyjskiej muzyki, nawet kołysanki śpiewaliśmy naszym dzieciom po rosyjsku. Wynawaliśmy miłość w tym języku, przeklinaliśmy po rosyjsku: „rugali russkom matom”.*



foto. nadesłana przez Annę Gurbicz z Dnipro

I nagle ten język stał się językiem wroga, jego okropnej, poniżającej propagandy. To było tak, jakby przed nami wyrósł mur najeżony tłuczonym szkłem. Ratunkiem, ucieczką był ukraiński. Czy obecnie cały kraj mówi wyłącznie po ukraińsku? Z pewnością nie. Ale miłość do rodzimego języka odradza się, ożywia poczucie patriotyzmu. Mamy swoją literaturę, pojawiło się wiele współczesnych, pięknych piosenek ukraińskich, chętnie oglądamy programy telewizyjne w naszym języku, filmy z ukraińskim dubbingiem. Ale najważniejsze jest to, że w naszym codziennym życiu coraz częściej posługujemy się ojczystym językiem.

Przypomina mi się moja rozmowa z ukraińskim pisarzem, Jurijem Andruchowyczem, właśnie w 2019 roku. Autor „Dwunastu kręgów” na moje pytanie, czy ustawa o języku ukraińskim nie jest krokiem zbyt radykalnym w obliczu rosyjskiego zagrożenia, czy nie stanie się przyczyną podziałów w społeczeństwie, odpowiedział zdecydowanie, iż jest to krok konieczny i we właściwym kierunku. To, co pisze Anna potwierdza słuszność jego opinii. Powinna jeszcze dodać, że wielu pisarzy i poetów, czy też aspirujących do tego miana, pisało swoje wiersze po rosyjsku. Być może dlatego o tym nie wspomniała, że wiersz, który mi przysłała, także napisała po rosyjsku. Teraz, jeśli w ogóle pisze, bo rzadko ma nastrój, to w języku ukraińskim.

Ты прошёл в этой жизни немало.
Видел боль, умирал от огня.
Я сама себе пообещала
Проживать эту боль за тебя.
Обещала себе быть с тобою,
До последнего вдоха вдвоём.
Мы научимся спорить с судьбою.
Ты цени: мы с тобою ЖИВЁМ!
Ты долго шёл по пустыне огромной,
Через боли, потери и страх.
Ты меня научил быть свободной.
Твоя сила в красивых глазах.
По пустыне ты шёл спотыкаясь
И кровь с ран вытирал рукавом.
Падал ты и в грехах своих каясь,
Повторял: «мы дойдём,мы дойдём»
Ты сумел! Ты прошёл пустыню!
С раскалённым песком в кулаке,
Оглянулся ты и увидел
Одну пару следов на песке...
«Обещала ты быть со мною!
Где следы твои на песках?»
Я отвечу тебе «Глупый,
Я несла тебя на руках...»

20.12. Witaj, miły. Jestem w pracy. Co 4 godziny wyłączają prąd, ale staramy się pracować. Mam nadzieję, że dziś się uda.

Później nie ma już połączenia, ani smsowego ani internetowego. Mam nadzieję, że Annie udaje się jednak pracować. Dziś trzechsetny dzień wojny. Ostrzały, wyłączenia, walki na froncie. Wreszcie sms od Anny:

Nie udało mi się dziś z pracą. Kiedy tylko zabrałam się do roboty – trzask! – znowu wyłączyli prąd. Internet w telefonie jeszcze działa, ale jak długo?

No to może trzeba go zmotywować?

Co masz na myśli?

No, dać w łapę. Łapię się na tym, że to dosyć głupi i nieostosowny żart. Anna się jednak nie obraża i robi mi wykład: Jeśli chodzi o korupcję, no to niestety, tak. Nasz kraj przez wiele lat był skorumpowany i cieszył się złą sławą, jaką niosły

ze sobą te przestępstwa. Szczególnie było to widoczne w moim mieście. Przeszliśmy przez „dziś lata dziewięćdziesiąte”! Było okropnie. Społeczeństwo było podzielone na bardzo biednych i bardzo bogatych, często po prostu bandytów. Kilka lat później ci ludzie doszli do władzy. A my zaczęliśmy się przyzwyczajać do życia w czymś, co przypominało kryminalną telenowelę. Myślę, że jedynie u nas funkcjonowało pojęcie „dobrego” czy „łaskawego” opryszka. Bo tak było wygodniej; załatwienie każdej sprawy w urzędzie, uzyskanie jakiegokolwiek dokumentu, nawet korzystnego wyroku sądowego w sprawie cywilnej lub kryminalnej zależało jedynie od pieniędzy lub odpowiednich znajomości.

Nawet jeden z naszych prezydentów, jak się okazało, figurował w kartotece policyjnej. Myśleliśmy wtedy: „to jeden z naszych, ale zna także tamtych; będzie wiedział, jak z nimi postępować”. Jednak by być zupełnie uczciwą, muszę powiedzieć, że życie za jego kadencji stało się względnie stabilne i przewidywalne. Ale jak to się skończyło? Doszło do tego, że uciekł jak szczur z tonącego okrętu. Mieliśmy potem wielkie nadzieje związane z nowym prezydentem. Co się jednak wydarzyło? Praktyka pokazała, że skuteczny biznesmen niekoniecznie radzi sobie jako prezydent.

No i w wyścigu do prezydenckiego fotela wystartował Wołodimir Żełenski. Było to jak transfuzja świeżej krwi dla umierającego człowieka. Nie przesadzam. Nowa krew i nasza szansa na nowe życie. Jest młody, myśli w całkiem inny sposób, zawsze był i jest blisko ludzi. No i zwyciężył. Dla wielu osób ze świecznika oznaczało to utratę stołków. Obecnie przekupienie na przykład policjanta stało się niemożliwe. Zrobiliśmy krok w kierunku Europy. Niestety, naszym „braciom” bardzo się to nie spodobało. Dlaczego? To proste – nie mogą znieść myśli, że sami pozostaną w szambie korupcyjnym i wszelkim innym. No i przyszli, żeby wyzwolić nas od tej okropnej Europy. Ale wygląda na to, że mimo iż mieli okazję, nie poznali nas zbyt dobrze.

Poranek bez kontaktu. Moje „miłego dnia” zawisło w próżni. Ale po mniej więcej godzinie zobaczyłem, że mój sms dotarł wreszcie do Anny i po chwili odezwała się:

21.12. Dzień dobry, mój drogi. Jestem w pracy i nawet usiłuję pracować. Nie jest łatwo, bo trudno przewidzieć, kiedy wyłączą prąd. Ale póki co, staram się.

Jeśli jest prąd i praca, to nie ma co liczyć na ożywioną konwersację. Trudno. Anna ma swoje priorytety, narzucone przez tę przekłątą wojnę i swoją sytuację. Muszę to zrozumieć. Tymczasem odzywa się wielka polityka. Prezydent Żełenski u prezydenta Bidena i w Kongresie USA. Cały świat to wydarzenie komentuje; jedni z entuzjazmem i podziwem, inni z rezerwą, a jeszcze inni z wściekłością. Jak na to patrzy Anna?

22.12. Dla nas to ogromny sukces. Cały kraj wstrzymał oddech w oczekiwaniu na te rozmowy.



fol. nadesłana przez Annę Gurbitz z Dnipro

Nawet zwykli ludzie z ulicy wiedzą, jak wielkie było ich znaczenie i jak wiele od nich zależało. Prezydent wykażal się nie tylko odwagą, ale także dyplomatycznymi talentami. No a ten sztandar z Bachmutu dla Kongresu... widziałam, jak wszyscy byli wzruszeni, my tutaj także.

Ale skoro mowa o Bachmucie, to muszę zupełnie uczciwie powiedzieć, że wizyta wizytą, ale to co zrobił dwa dni wcześniej bardzo, może nawet bardziej nas emocjonalnie podkreśliło. Otóż ten Bachmut to najbardziej przypominające piekło (żebyś wiedział, że nie przesadzam) miejsce na terenach okupowanych. A on tam pojechał i spotkał się z żołnierzami. Jego życie było znacznie bardziej zagrożone niż podczas podróży do Stanów. Ale on to zrobił. Być może nie zdajesz sobie sprawy, jak bardzo upokorzył Rosjan, nie pierwszy zresztą raz.

Oba te wydarzenia są dla nas jak zastrzyk adrenaliny; dają nam nadzieję i motywację, by przetrwać tę zimę, która już jest ciężka, a przypuszczamy, że będzie straszna. Postawa prezydenta i sukces jego rozmów w Ameryce dają nam wiarę. Wiesz, co to znaczy? Ja na przykład wierzę, że kiedyś zaproszę cię do Dnipro i zabiorę na spacer głównym prospektem. Będzie piękny wieczór i tysiące świateł. A tamci? Niech się wściekają. Nie radzą sobie na froncie. To oczywiste. Stracili już 100.000 ludzi, więc odgrywiają się na nas w bardzo bolesny sposób. Dla mnie to coś typowego dla faszystów: uprzykrzyć życie zwykłym ludziom. Wiedzą, że bez światła ludzie wpadają w szal. Ale my to przetrzymamy.

Mój Boże! Nasz wywiad donosi, że Rosjanie planują intensywny ostrzał dziś jeszcze, a najdalej jutro. Mówią o siedemdziesięciu raketach, które lada moment mogą być w drodze. Jeśli sukinyzny trafią w sieć energetyczną, to będziemy mieli znowu koszmar.

Pod wieczór sms.

No i już się zaczęło. Wybuchy, które słycać, to nasza obrota przeciwlotnicza. W każdym razie taką mam nadzieję. A teraz cisza. Właściwie niezupełnie. Słycać syreny. O! wyłączyli prąd i internet ucieka. Może zdążyć jeszcze...

Owszem, zdążyła przesłać mi emotkę i to było wszystko.

Zazwyczaj staramy się zachowywać porządek chronologiczny w naszej korespondencji. Jednak z uwagi na wyjątkowo tragiczny charakter ostatnich wydarzeń zdecydowaliśmy się go zakłócić.

15.01.2023. Dzień dobry, mój drogi. U nas żałoba. Pewnie już wiesz, jak straszny dla nas był wczorajszy dzień. To było piekło. Rakietą uderzyła w budynek mieszkalny w naszym mieście. O niecały kilometr od domu moich rodziców. Wyobrażasz sobie? Zginęło wiele, wiele osób. Coś okropnego. Słycać było krzyki rannych spod gruzów. Zginęły dzieci, całe rodziny! Są liczni ranni. Przeklinam tych skurwysynów, którzy to zrobili i tych, którzy są za to odpowiedzialni. Chciałabym, żeby co noc ich prześladowały krzyki tych ludzi uwięzionych pod gruzami. Ogłoszono trzy dni żałoby w mieście. Kiedy to się stało, razem ze służbami zwykli ludzie rzucili się z pomocą, tacy z ulicy; gołymi rękami odrzucali gruz i starali się dotrzeć do tych zasypanych. Przesyłam ci filmik. Całe miasto jest tym przejęte i przeżalone. Wciąż jeszcze kogoś stamtąd wydobywają. Powiadam ci, potworność. Jutro idę z synami do punktu krwiodawstwa, by oddać krew dla rannych. No a teraz znowu, kurwa ich mać, odzywają się syreny. Boże, jak ja ich nienawidzę! Wszyscy ich nienawidzimy i nigdy im tego nie wybaczymy. Nigdy!!! Słyszysz?

Kolejny sms wieczorem:

A teraz dwu złamasów w rosyjskiej telewizji, niejaki Mardan i drugi palant, Sołowiow, upajają się wielkim sukcesem Rosji w Dnipro, nazywając to pokazem fajerwerków, żałując jedno-

cznie, że rakietą nie wyróżnęła jeszcze w jakiś ważny most w naszym mieście. Przesyłam ci kolejny filmik, żebyś wiedział z jaką nonszalancją i zadowoleniem o tym mówią. A na koniec obiecują nam więcej takich fajerwerków. Jestem ciekawa, co o tym sądzisz? O nich, jako o ludziach i o ich etyce dziennikarskiej.

Telewizyjny przekaz kończą obrazy zniszczonego Mariupola i Chersonia, okraszone komentarzem obwiniającym Ukraińców za te zniszczenia i zapowiadające taki sam los dla Kijowa. Mój komentarz do tego filmiku zachowam dla siebie, bo nie nadaje się on do druku. Dodam jeszcze, że owo „wystąpienie” rosyjskich propagandystów obiegło wiele internetowych portali w świecie, wywołując na ogół jedno słowo komentarza: skandal. Ale czy to pojęcie znane jest rosyjskim mediom? Tymczasem liczba śmiertelnych ofiar, do których dotarto przekroczyła już czterdzieści.

17.01.2023. Byliśmy wczoraj w punkcie krwiodawstwa. Boże mój, co tam się dzieje! Kolejka chętnych po horyzont. A w budynku całe piętro wypełnione dawcami (przesyłam ci zdjęcie). Takiej solidarności w narodzie jeszcze nie widziałam. Tymczasem akcja ratunkowa wciąż trwa. Nie mogą doszukać się 25 osób, a szukają już trzecią dobę. Strach pomyśleć, co się z tymi ludźmi teraz dzieje.

Media w dalszym ciągu relacjonują akcję poszukiwawczą. Dotychczas odnaleziono 44 ofiary śmiertelne, wśród nich dzieci, 75 osób rannych, a los 25 wciąż jest nieznanym. W internecie wstrząsająca relacja młodego człowieka, który był na miejscu w chwili uderzenia rakiet. Przyjechał do narzeczonej. Kiedy pocisk uderzył natychmiast rzucił się na ratunek. Najpierw pomagał innym, a potem dostał do dziewczyny. Przeżyła, choć odniosła poważne obrażenia. Takich jak on było bardzo wielu. Akcja ratownicza wciąż trwa.

* * *

Kiedy przeczytacie Państwo te słowa, od wybuchu wojny, która miała trwać trzy dni, góra tydzień, minie rok. Wiele od tego czasu się zmieniło, także na katowickim dworcu. Uchodźców jest mniej, pomoc dla nich jest lepiej zorganizowana, ale jedno się nie zmieniło – wiara i determinacja Ukraińców. Imponuje to, jak są solidarni w obliczu zagrożenia i dramatu. Nikt nie wie, jak długo jeszcze potrwa ta wojna. Wiadomo już jednak, że Ukraina zasłużyła sobie na podziw i szacunek, a także wiarę w to, iż osiągnie swoje cele w interesie całego cywilizowanego świata. ■



Kolejka przed punktem krwiodawstwa w Dnipro

fol. nadesłana przez Annę Gurbitz z Dnipro

Pamiętnik (12)

Z RĘKOPISU OPRACOWAŁ MARIAN KISIEL

Wtorek, 2 grudnia [1936].

Roraty kończą się właśnie. Krótko przed odjazdem pociągu „szkolnego” do Rybnika. Gdy wychodzę z kościoła pociąg już zwykle dojeżdża do stacji. Gwizdże przeraźliwie na maruderów. Są nimi naturalnie Szczyrba i Szymura. Zawsze na ostatku. Przyjście o parę minut wcześniej uważają za grzech, a ściganie się z pociągiem za niemarnowanie czasu. Dziś wyjątkowo do maruderów należał również Ryś. Spóźnił się. Może z powodu swojej nowej siostrzyczki, jaka mu wczoraj przybyła. Jest to już dziesiąty członek jego rodzeństwa. Błogosławieństwo Boże!

A potem nasypało śniegu. Jakby ktoś pierzynę rozpruł. Wielkie płaty przylepiały się do ziemi ciężko jak dojrzałe owoce. Ślicznie wygląda świat. Ruchoma siatka wibrującego śniegu przywodzi na pamięć choinkę. Śnieg leci jak wata. Złote lampy świecą jak świeczki.

Stefa przysłała list. Prosi o przybycie w niedzielę. Z Rysiem. Odpisałem zaraz. Na pocztę. Że nie możemy przyjechać w niedzielę, bo mamy wcześniejsze zaproszenie (do „Lutni” jako Mikołaje”). Że ewentualnie mogę przyjechać w sobotę. – Prosiła o radę. W sprawie Roja, który w niedzielę był na urlopie i dręczył ją wspomnieniami z roku ubiegłego. Odpowiedziałem po prostu, że jeżeli Rój ją kocha i jeżeli ona czuje do niego coś więcej oprócz zwykłej sympatii, to najlepszym rozwiązaniem sprawy jest małżeństwo. A jeżeli nie czuje do niego nic, to w takim razie po co te ceregiele. Wystarczy mu powiedzieć parę słów, aby zrozumiał. Zresztą, niech robi jak chce. – List napisała ołówkiem. W przedszkolu. Przyniosła mi go matka z poczty pomieję i ośnieżony.

– Tu masz list – powiada – od koleżanki jakiejś, co?

– Nie wiem.

– Na pewno, bo koperta taka pachnąca.

– No to co z tego?

– A co by o tym powiedziała Rija?

O! matka umie mnie pilnować. Powinna jej Rija być za to bardzo wdzięczna. Bo ze mnie jest zadatek na Don Juana. Tym bardziej, gdy kobiety mi się same narzucają, jak Stefa. Do Riji natychmiast napisałem list. Z początku zacząłem w nim filozofować, potem przeszedłem w ton humorystyczny, a wreszcie wylałem na kartach trochę sentymentu. Nazwałem ją królową z bajki. Za przykładem Forta ze *Świętego*. Ciekawym, co mi odpowie. Bądź co bądź sprowokowałem ją do natychmiastowej odpowiedzi, bo napisałem jej m.in., że „mam wrażenie, iż obecnie jestem dla Ciebie raczej czymś niż kimś, że jako taki dla Ciebie nie istnieję”. W końcu zaznaczyłem, że w imię naszych wspólnych zwierzeń powinna to wyjaśnić na kartce choćby tylko lub dalszym milczeniem. Bo milczenie jest czasem wymowniejsze od słów. – List dostanie jutro. Ciocia pomyśli, że jednak ja muszę z tą Riją „coś mieć”, skoro pisuję pierwszy i w dodatku na perfumowanym papierze. Po powrocie ze szkoły Rija dopiero będzie go mogła czytać. Zdziwi się niezmiernie. Na pewno nie spodziewa się ode mnie listu. Bo właściwie według kolei to ona teraz powinna napisać. No, ale od przeszło miesiąca milczy, więc ja muszę to uporczywe milczenie przerwać.

jak człowiek. Oprze się o moją pierś, stanie się wręcz namacalny. A gdy jest księżyc – mrok przyciśni się pod murami. Za to ziemia jest jakby powleczone srebrną rdzą. Może być śnieg. Zazwyczaj, jeżeli już wieczorem nie leci, ziemia jest brudna, rozkopana jak po wojnie. Błotniste, zalane na pół wodą koleje ciągną [się] między domami jak szyny. Śnieg jest zgarnięty w kupki, na których pozawieszały się kiście gnoju z chlewików. Z drzew ścieka potokami grubych kropel. Krople opadają cicho a ciężko. Żłobią głęboko topniejący śnieg. Podziurkowany, popękany jak mydliny w balii lub jak ser szwajcarski. Raczej jak szuminy^[1] mydlin. – Matka właśnie pierze. Brat nabrał tych szumin na dłoń jak śniegu. O! to jest ogromne podobieństwo.

Władek się uwziął. Nie przychodzi do mnie. Zresztą ja do niego również nie chodzę. Wiem, że gniewa się na mnie tylko z powodu Stefy. Bo on ją w gruncie rzeczy lekceważy poniżej wszelkiej „taryfy” na kobiety. I dlatego nie może zrozumieć, w jaki sposób ja mogę czuć do niej jakąkolwiek chociażby tylko sympatię. Ja tego także nie rozumiem. – Stefa jest rzeczywiście głupia. Wie, że Władek ją ma za nic, dał jej przecież jaskrawe tego dowody, a mimo to przysłała dziś w liście pozdrowienia dla niego. Więc zdaje się, że to jednak prawda: im mężczyzna jest bezczelniejszy wobec przeciętnej pod każdym względem kobiety (taką jest Stefa), tym ją sobie coraz więcej zapewnia, coraz bardziej ją do siebie przyciąga, coraz wyżej siebie w jej oczach stawia. Władek więc (całkiem podświadomie) zamiast odsunąć Stefę od siebie, przyciąga ją sobie jedynie swoim zachowaniem się względem niej. – Mam wrażenie, że pogniwamy się z Władkiem na dobre kilka dni. I to wszystko z powodu Stefy. O! tak.

Mam już wszystkiego dość. I Stefy, i kolegów, i w ogóle wszystkiego. Chciałbym uciec od tych anomalii gdzieś daleko. Gdzieś... (tam, gdzie dziewicze pocałunki przybliżają niebo; gdzie dusza dostaje skrzydła i może wznieść się ku Pięknemu, ku Bogu; gdzie cały świat jest przedsiönkiem do wiecznego szczęścia). A takiego miejsca niestety nigdzie nie ma. Gdzieś?! – Głupstwo! Nie ma i koniec.

Sobota, 5 grudnia.

Wreszcie mam trochę czasu. Jeszcze nie miałem tak zajętych dni jak ostatnie. Do późnej nocy – od samego rana – do późnej nocy. Ciągłe uganianie się z lekcjami, wyjazdy do Jaśkowic, a nawet do Katowic, „randki” ze Stefą, która przyjeżdża co dzień do szewca (wynałazała sobie ładny pozór^[2]) itd.

Oczywiście ze Stefą nic nowego. Chyba to, że Rojowi dała oficjalnego kosza. Tym samym chwyciła się kurczowo mojej osoby. – Marysia „pogodziła” się znów z Rysiem. Zresztą oni co chwilę parę kłócą się i znów godzą się.

Więc jutro będę św. Mikołajem. W „Lutni”. Zrobię wierszowaną przemowę na temat czerwieńskich stosunków. Powinno się udać. P[an] Krupa oświadczył mi, że to nie będzie za darmo. Że mogę nawet liczyć na poparcie u naczelnika gminy w razie potrzeby stypendium w czasie studiów wyższych. Świetnie.

I byłem w Katowicach. W czwartek. Była brzydka chłapanina. Śnieg stał. Buty mi przeciekały. Ale chodziłem wytrwale, od księgarni do księgarni. Jaka to rozkosz patrzeć się na witry-

ny obciążone książkami jak owocem. Och, gdybym je mógł kupić. Nowości, nowości!... Cud tysięcznych tytułów. Tytuł to tylko furtka, za którą kryje się cudowny, wonny ogród. Chłonec niestety radość książkową jedynie z tytułów. – Kupiłem sobie (o radości!) wreszcie Bonczyka *Stary kościół miechowski*^[3] oraz najnowszy tomik długo milczącego Staffa pt. *Barwa miodu*^[4]. Tym sposobem księżnica moja liczy już 143 pozycyji.

Szymurowa mi jeszcze nie zapłaciła. A koniecznie potrzebuje forsę. Bynajmniej nie jestem materialistą, ale cóż nawet ideał robi bez forsę? Nic. A więc pragnę jej, dzisiaj koniecznie jej pragnę. Przecież „Rój”^[5] ma tani tydzień. Bardzo dobre dzieła. Okazja. Trzeba koniecznie, koniecznie coś kupić.

Więc przyszedł list. Od Riji. Mały, niepozorny. Zapisany do połowy. Pełen ostrości, pełen gniewu, oburzenia i pogardy. Bo:

– Wysłanego przede mnie listu z zadaniem nie otrzymała i dlatego miała słuszną urazę do mnie za nieodpisanie. A właściwie to zaraz na drugi dzień odpisałem. Tylko że właśnie ten nieszczęśliwy przypadek niedoręczenia listu, co jest właściwie prostym świństwem ze strony poczty, sprawił, że pomyślała o mnie tyle grubo, grubo nieprzyjemnych słów. Wysłałem jej od razu list z wyjaśnieniami. Wysłałem go jako poleceny, żeby wreszcie nie mógł jak tamten zaginąć. W każdym razie popsukała mi tym humor na parę godzin i zmąciła mi myśl na cały dzień.

Stefa.	Ręce.	Głód.
Wieczór.	Ciepło.	Krok.
Mróz.	Miło.	Marsz.
Śnieg.	Śnieg.	Las.
Śmiech.	Szyja.	Wiatr.
Śmiech	Śmiech.	Zimno.
Śmiech.	Śmiech	Nogi.
Ja.	Płot.	Buty.
(Lekceważenie.	Oczy.	Oczy.
Pobłażliwość.	Pierś.	Oczy.
Śmiech.)	Pierś.	Śmiech.
Ona.	Piersi.	Ręce.
(Wariatka).	Nogi.	Ręce.
Głód.	Muskuły.	Śnieg.
Las.	Biodra.	Ona.
Ciemność.	Ręce.	Słowa.
Kościół.	Płot.	Słowa.
Wieża.	Usta.	(Kocham.
Marysia.	(Róża.	Ukraina.
(Uśmiech.	Perfumy.	Step.)
Powab.)	Papierosy.)	Słowa.
Pocałunki.	Pocałunek.	(Ja:
Pocałunki.	Pierś.	Owszem.
Dusza?	Pierś.	Tak.
– Nie!	(Och!	No.)
Serce?	Ach!	— — —
– Nie!	Stefa.	Pociąg.
Ciało?	Kobieta.	Ciepło.
– Tak!	Niesmak.	Dom.
Nogi.	Pusto.	Matka:
Muskuły.	(Dusza.	Ojciec:
Krok.	Pola.)	Stefa?
Tarcie.		Tak.
		Żle.

Niedziela, 6 grudnia.

Gdy mnie fryzjer ucharakteryzował, sam siebie nie poznałem. Miałem siwą brodę i wąsy, pełno zmarszczek, czerwony, garbaty nos – ubiór „biskupi”, pastorał, białe eleganckie rękawiczki i dużo bez troski w duszy. Bynajmniej nie odczuwałem żadnej tremy. Dwie małe dziewczynki, bardzo śliczne, poprzedzały mnie. Były ubrane białą, a u ramion

trzepotały im potężne skrzydła. Prawdziwe aniołki. Cały ten orszak Mikołaja przyjechał autem do Domu Polskiego. Szofer zrobił uwagę, że dawniej Mikołaj przyjeżdżał na białym, siwym koniu, obecnie już autem, a za lat kilka na pewno samolotem.

Wszedłem do sali dostojnym, poważnym krokiem. Wszystkie spojrzenia zwróciły się z lekkim uśmiechem ku mnie. Nikt mnie nie mógł poznać. Paru wtajemniczonych tylko uśmiechało się szeroko. Odśpiewano pieśń powitalną. Po czym wszyscy usiedli przy stołach. Pięknie, choć skromnie poukładane panienki starały się we mnie odgadnąć, koniecznie odgadnąć jakiegoś znajomego. Uśmiechały się do mnie wszystkie. Kiwały mi coś głowami. Odpowiadałem dobrodusznym uśmiechem, który podobno był zupełnie podobny do św. Mikołaja. Stoły były przede mną i z boków.

Ponieważ moją mowę powitalną skończyłem pisać koło godziny czternastej, więc – rzecz prosta – nie mogłem jej całkowicie wygłosić z pamięci. Dlatego rozłożyłem skrypt na stole, aby w miejscach wątpliwych nie czekać zbyt długo na przypływ pamięci.

[W każdym razie mowa udała mi się. Może tylko to, że po głosie większość mnie zdemaskowała. Również któraś panienka poznała mnie po oczach (ciekawe). Paru zaś spryciarzy dostrzegło wychodzące spod peruki kępki czarnych, długich włosów. No, a że nikt oprócz mnie takiej fryzury nie nosi, więc prędko mnie poznano.

Raz po raz wybuchały śmiechy. Widziałem, że szczerze uśmiechał się nawet pan naczelnik i kierownicy szkół, i inni zaproszeni goście. Bo satyra moja mało kogo oszczędzała. Gdybym był miał więcej czasu, każdego członka scharakteryzowałbym i wychłostał, zgańił, ewentualnie pochwalił.

O obowiązkach członków, o których podniesienie p. Krupa usilnie prosił, mówiłem tak:]^[6]

*A więc proszę wszystkich, więcej sumiennosci,
praca w Lutni – to jest praca dla idei.
I nie bądź na lekcjach jakimś rzadkim gościem,
którego zagnają tu losu koleje.
Bądź na każdej próbie, nigdy się nie spóźniaj;
wiedz, że śpiew jest znakiem prawdziwego życia,
– po co się przed całym chórem miałbyś blaźnić,
po co dyrygenta przeklinać z ukrycia?
Jeśli jesteś członkiem, nie bądź malowanym,
jeśli umiesz śpiewać – śpiewaj z całej duszy –
– a na pewno będziesz przez wszystkich kochany
i nad Twym się śpiewem sam Stróż Anioł wzruszy.
Gdy masz płuca mocne jak zubr albo goryl –
– śpiewaj w basach zawsze, mocno się wydzieraj...
Gdyś zaś jest sopranem, altem lub tenorem,
śpiewaj sobie słodko niby bajadera.*

O Tkoczku powiedziałem, że owszem ma odpowiedni bas, odpowiednia tuszę, jest piekarzem nad piekarze – tylko, że:

*...patrzy się ten chłop kochany,
lewym okiem na nuty – prawym na soprany.*

To samo prawie powiedziałem o Kornasie (do niedawna mój osobisty wróg, a którego, zdaje się, tymi paru słowami rozbroilem):

*Niedawno powrócił z wojska kapral kuty
(ten zza okularów patrzy się na frelki);
późno jest na miejscu, nie zważa na nuty.
O panienkach mówi, że to są kropelki,
że to są słoneczka, niezapominajki!...
...ale wieczna miłość – to są tylko bajki!*

Szukałem go wzrokiem, ale skrył się za plecami kolegów przed rozbawionymi spojrzeniami koleżanek.

I tak po kolei wszystkich ciekawszych członków ganiłem lub chwaliłem. Informacje o nich czerpałem od osób trzecich. Obrazil się tylko jeden: skarbnik Joniec, o którym powiedziałem, że:

...bojący się kobiet, ja[k] jasnej cholery,
sam na zawsze chciałby zostać kawalerem...

Na zakończenie pocieszyłem ich, że:

...gdy znów w roku przyszłym do was tu zawitam,
chyba będzie lepiej u was i na świecie.
Zniknie może kryzys a Rzeczpospolita
rozkwitnie nam pięknie niby bujne kwiecie.
Może też bogatszych darów wam udzielię
i każdego lepiej darem uwesele.
Teraz trzeba iść mi w moją dalszą drogę.
Wesołej zabawy, no i z Panem Bogiem!

Asystowałem jeszcze przy rozdaniu podarunków, które roznosiły aniołki. Potem dostojnym krokiem opuściłem salę, by się rozebrać i obmyć twarz z nieznośnego kleju, który przytrzymał brodę i wąsy.

Zjawiłem się na sali już obmyty, odświeżony i ubawiony.

– Jaki śliczny Mikołaj – padały uwagi.
– No chyba po „cywilu” lepiej wyglądam?
– No, naturalnie. Przecieżnie.

P. Krupa był w siódmym niebie.

– Cudownie pan to zrobił. Nie spodziewałem się. Odbijemy to na maszynie w wielu egzemplarzach. Tymczasem panu serdecznie dziękuję.

Co się o mnie otarł na sali – to ścisnął mnie za ręce i dziękował.

Dałem się wciągnąć w flirt^[7]. Każdej posyłałem „szaleję za Tobą”. Jedna posłała mi też coś bardzo czulego, ale głośno się zastrzegła, żeby tego nie brał na serio, bo to tylko flirt. Rozkoszna naiwność. I w ogóle jestem zadowolony.

Wtorek, 8 grudnia.

Mam nowe lekcje. U Polusa. Górnik przebywający obecnie w szpitalu, sześcioro dzieci, a więc rodzina uboga. Mimo to kształci syna w gimnazjum, który się więcej jak kiepsko uczy (matematyka, polskie, przyroda). P. Polusowa obawiała się, że nie obejmę tych lekcji, że będę nieregularnie przychodził, dlatego też wręczyła mi 5 zł a conto lekcji. Tym samym trzyma mnie w potrzasku, gdyż muszę chodzić na te lekcje. Chociaż właściwie wiem, że trudno przed tym chłopcem będzie mi wykladać. Jest bardzo roztargniony, no i poza tym głowę ma pusta. Rozumuje ciężko jak koń dorożkarski. Nawet ułamki i najprostsze z nimi działania są dla niego czymś w rodzaju Sfinkska. W każdym razie zobaczmy – może jednak da się coś zrobić.

A więc mimo święta goniłem na lekcje. I u Szymury je naturalnie miałem. Reinhard już przyjechał z Poznania. Gadałem z nim trochę o studiach i o ostatniej blokadzie^[8]. Jest narodowcem na całego. P. Szymurowa na znamieny gust. Napiekła pszennego, słodkiego chleba, nasmarowała nań cieniutko masła, naląła do filiżanki zimnego, przesłodzonego kakao i prosiła mnie, abym te głupstwa spożył. Naturalnie zacząłem jeść tylko *pro forma* – potem bowiem, nie kończąc kolacji, wymówiłem się brakiem czasu i odszedłem. Protestacyjnie odszedłem od kolacji, gdyż zamiast zapłacić mi za 12 lekcji (już jest grubo po pierwszym) stara się ująć mnie kolacją dla słodkich panienek.

Wczoraj byłem w Rybniku. Myślałem, że reklamowany mocno polski film *Ada, to nie wypada*^[9] będzie rzeczywiście dobry, a tymczasem okazał się zielonym głupstwem. Treść więcej jak banalna. Bez logiki. Głupstwo, głupstwo i głupstwo. Nie ma Polska się czym pochwalić. Poza tym bluźniercza pieśń *Nie kochać w taką noc, to grzech...*^[10] dopełnia miarę wariactwa filmowego.

Środa, 9 grudnia.

Po co do diabła Stefa przyjeżdża do mnie^[11]. Wymawia się, że do szewca. Ale, zdaje się, że cały ten szewc i te ciągle przyjazdy po buty, kalosze, śniegowce czy kaptcie to jest tylko prosty, nawet nie poetyczny wymysł.

Zresztą, gdybym nie wystawał na dworcu, na pewno nie spotkałbym się z nią dzisiaj.

– Ty masz podobno w niedzielę i we święta lekcje? – pyta mnie.
– Owszem. Mam.

– To mi się nie podoba. Zaniedbujesz mnie w ten sposób. Czy akurat ci lekcje są potrzebne.

– Przydają się. Forsy zawsze mam za mało.

I cóż mnie to obchodzi, że jej się to nie podoba. Że ją zaniedbuję? Czy ja mam względem niej jakieś zobowiązania? Zresztą, w ubiegłym tygodniu poświęciłem jej trzy wieczory. Więc chyba nie może mieć powodów do skarg.

Wymusiła ode mnie słowo, że odwiedzę ją jeszcze przed dwudziestym. Bo na dwudziestego przypada rocznica jej urodzin (19 lat?), więc „bezw warunkowo” muszę u niej być.

Uwolniłem się prędko z jej towarzystwa, oświadczając, że mam lekcje. Rzeczywiście je miałem, ale grubo, grubo później.

Jakbym ja się chętnie uwolnił od Stefy. Stanowczo mi to nie odpowiada. Szamocę się w orbicie „promieniowania” jej osoby jak w sieci. I nawet już sam nie wiem, co mnie w niej pociąga. Zdaje się, że nic. Jeżeli kontynuuję nadal nasz anormalny stosunek, to jedynie dlatego, że dałem jej za dużo pochopnych przyrzeczeń, aby móc za jednym zamachem to wszystko odwołać. Myślałem, że ona również będzie mnie traktować jak przechodnią znajomość, czy nawet miłość. Że dlatego również będzie bujała, co wlezie. A tymczasem ona to wszystko pojęła na serio. Zaiste, nie życzę nikomu znaleźć się w podobnej sytuacji, w jakiej się znajduję. Bardzo trudna kwestia, bardzo trudna, ale lepszych mieć dziś nie można i nie pragnę wcale.

Czwartek, 10 grudnia.

Rano, idąc do kościoła, napotykam w przerwach między lampami grubą, gęstą ciemność. Śniegu nie ma. Spłynął brudnymi płatami w głębokie rowy i przykopy. Chodnik jest gładki. Co chwilę tracę równowagę i dziwacznie trzepocząc rękami bucham na drogę całym sobą jak wór piasku. Takie jest rano. A potem cały dzień naturalnie mi się nie wiedzie. Jak pech, to pech.

Przypisy

* Bardzo dziękuję prof. Grażynie Barbarze Szewczyk za pomoc w odczytaniu fragmentów *Pamiętnika*, a także za dodatkowe uwagi, które mogłem spożytkować przy opracowaniu przypisów.

^[1] *szumina* (gwar.) piana.

^[2] *pozór* (gwar.) uwaga; tu w znaczeniu: pretekst.

^[3] *Stary Kościół Miechowski* Norberta Bonczyka (1837–1893) jest wzorowaną na *Panu Tadeuszu* Adama Mickiewicza epopeją śląską. Wilhelm Szewczyk kupił prawdopodobnie najstarszą edycję, opracowaną przez Wincentego Ogrodzińskiego (IV wydanie krytyczne, Katowice 1936).

^[4] Tom *Barwa miodu* (1936), opublikowany po czteroletniej przerwie (*Wysokie drzewa*, 1932), był ważnym w dorobku Leopolda Staffa zwrotem w stronę tematyki codzienności, konkretnie i zerwaniem z wcześniejszym patosem.

^[5] Towarzystwo Wydawnicze „Rój” (1924–1940), założone przez Melchiora Wańkowicza i Mariana Kistera, było jednym z największych domów wydawniczych w Polsce, wydając rocznie około 30 tytułów. W jej ofercie znajdowały się zarówno utwory najwybitniejszych twórców krajowych i zagranicznych (książki droższe), jak też autorów dla szerokiego mas (książki tanie).

^[6] To, co w nawiasie kwadratowym, później Szewczyk przekreślił.

^[7] *flirt* – towarzyska gra karciana.

^[8] Chodzi o – inspirowane przez SN i ONR w listopadzie 1936 r. – blokady uczelni polskich przez studentów narodowców. Żądano m.in. wprowadzenia getta ławkowego i *numerus clausus* dla Żydów, obniżki cenzury, a także ograniczenia cenzury. Zajścia wywołały interwencję policji, a także zawieszenie na pewien czas wykładów i niewpuszczanie studentów na teren akademicki.

^[9] *Ada to nie wypada* (1936) – komedia pomyłek w reżyserii Konrada Toma, w której wystąpiła plejada polskich gwiazd, m.in. Loda Niemirzanaka, Aleksander Żabczyński, Antoni Fertner, Kazimierz Junosza-Stepowski.

^[10] *Nie kochać w taką noc to grzech...* – tango Zygmunta Wiehlera do słów Jerzego Jurandota.

^[11] Skreślono: *Czerwionki*, napisano: *mnie*.

Sztuka jako schronienie

RADOSŁAW KOBIERSKI

Murale powstają we wszystkich zakamarkach Katowic, zwłaszcza tam, gdzie istnieje duże ryzyko, że zostaną zniszczone. Taka już ich natura. O ile „królik” przy Bocheńskiego miał małe szanse na długie życie (zastąpił go portret Johna Baillona), o tyle wielkie, epickie prace ZBK Czajkowskiego czy Mony Tusz (w ścisłym centrum) zniknęły z map miejskich naprawdę przedwcześnie. Załężę należy do dzielnic typowo robotniczych, niegdyś znajdowało się na brzegu międzymiejskiej arterii (trasa Katowice-Chorzów), a po rozbudowie ulic i transformacji szaberplaców w sklepy wielkopowierzchniowe i galerie, zostało wchłonięte do centrum, w każdym razie do jego obrzeży.

Z biegiem lat Street Art sięga po tematykę zaangażowaną. Zaczęło się od Huyro i jego *Dziewczynny z karabinem*, potem ścianę kamienicy przy Bocheńskiego zaprojektował i wypełnił wrakami samochodów Miko Skapa (w oczywisty sposób odnosząc się do naszego konsumpcjonizmu). W 2015 Łukasz Surowiec przeniósł na tynk familoka przy ulicy Kupca rysunek 5-letniej Zosi, córki protestującego górnik. *Tato, nie płacz* stało się na kilka chwil głośnym i gorącym newsem w prasie regionalnej i ogólnopolskiej (ale oczywiście nie stopiło żadnych neoliberalnych serc).

Wojna w Ukrainie zainspirowała dwie prace. Przy ulicy Goeppert-Meyera powstał, na przełomie lutego i marca ubiegłego roku, mural *Put in Put Out* duetu Szwedzki&Real – oparty na oczywistej grze znaczeń oraz memowym potencjale – wszak duet zderza tu różne tradycje streetartowe i siłę memu (który walczy w tej wojnie tak samo zaciekle jak himarys), symbolikę barw (Putin czarny, komiks w kolorach Ukrainy), emocje, jakie się z nimi kojarzą oraz same formy – zaciśnięta, ograniczona forma portretu i pochłaniająca go wielość struktur barwnych. Chodziło mi o to, żeby upokorzyć sylwetkę Putina, uderzyć w osobę, która jest agresorem – komentował Szwedzki – Wspieramy się, jednoczymy i wspólnym głosem mówimy „nie” wojnie na Ukrainie.

We wrześniu przy ulicy Macieja odsłonięto bodajże pierwszy (niech mnie ktoś poprawi, jeśli się mylę) mu-

ral w Kato stworzony na podstawie dzieła literackiego. I jeden z nielicznych, który ma naprawdę dobrą lokalizację. Niemal tak dobrą, jak *Made You Look* Mobstra, który w całości prezentuje się ze średnicówki. Pracę Bogdany Davydiuk zrealizowano na bocznej ścianie bloku, od strony ulicy Gliwickiej. Tytuł wiersza Julii Musakovskiej – zarazem pytaniem otwierające „Jesteś w bezpiecznym miejscu?” – to jednoznaczny komunikat, jeden z najsilniej przemawiających do mnie w ostatnich miesiącach. Nie jest to pytanie skierowane wyłącznie do świadków wojny – a jesteśmy nimi, biorąc udział w wojnie bezpośredniej i doświadczając jej dzięki przekazom medialnym. To pytanie zasadnicze i ostateczne. I będzie ono zadawane coraz częściej. Bezpieczne miejsce to nie tylko schron i piwnice. To również świadomość tego, że nasi bliscy są zaopiekowani, że nic im nie grozi. Co nam po betonowych stropach, jeśli żywioł czy wojenny koszmar niszczy tych i to, co jest najbliższe?

Julia Musakovska ten niezwykle wiersz, zrytmizowany (co słychać szczególnie w oryginale) i bardzo „wizualny”, zaprezentowała podczas ubiegłorocznej edycji Jazz Art Festivalu w Malarni, podczas spotkania, które poprowadziła Julia Fiedorczyk. Rozpoczęła nim spotkanie, choć równie dobrze mogła zakończyć – ma on w sobie siłę prologu (do dyskusji i odczuwania), jak i podsumowania (o ile takie w ogóle jest możliwe w przypadku wojny). Przekład Anety Kamińskiej bardzo dobrze oddaje elegijny charakter tekstu. Bogdana Davydiuk, artystka wizualna również związana ze Lwowem, postanowiła ów przekład wpisać w kompozycję muralistyczną. Wiersz Musakovskiej widnieje w prawym dolnym rogu muralu, jego otwierający wers zbudowany z kolorowego fontu różnej wielkości – przywołuje trochę pismo dziecięce – stanowi już element stylistyczny, integralny pracy. Wiersz umieszczony jest nisko i jest łatwo dostępny, można ograniczyć recepcję dzieła tylko do literatury: „Co u Ciebie? Jesteś w bezpiecznym miejscu? – /Tak brzmi modlitwa, / którą powtarzamy w kółko od 24 lutego 2022 roku/ ukochanym i przyjaciółom. / Pytam siebie: czy jestem w bezpiecz-



Bogdana Davydiuk

nym miejscu? Czy mogę być?” Albo cofnąć się kilkanaście metrów, objąć całość spojrzeniem, połączyć znaki, szukać wspólnych punktów. Przecinających się i rozchodzących się linii (wrażliwości).

Mural Davydiuk oczywiście (a może wcale nie oczywiście) oparty jest na dominancie i kontraście barw narodowych Ukrainy – z niewielkim przesunięciem z błękitu pruskiego do ultramaryny oraz z żółci bardziej nasyconej do mniej nasyconej. W tę większą strukturę wpisane są mniejsze bryły geometryczne, otwarte i zamknięte, niczym okna i drzwi przeznaczone do ucieczki (realne okna bloku też wpisane są w kompozycję), lub służące jako schronienie, a także piktogramy kopert, listów – jedynej powszechnej i w miarę bezpiecznej formy komunikacji między domem a frontem. Postaci ludzkie ujęte są schematycznie, bez szczegółów, odwołują się do prymitywizmu w sztuce, w szczególności malowideł naskalnych, które łączyły w sobie oba porządki: biologiczny (schronienie) i kulturowy (sztuka). Literatura i sztuka w tym punkcie wyrażają dokładnie to samo. A w perspektywie wojny, która jest również wojną z kulturą ukraińską (w charakterze fundamentu jej tożsamości), mówią jednym, donośnym głosem. I jest to głos oporu. ■

Mural Bogdany Davydiuk powstał w ramach projektu *Ukraina w Mieście Ogródów*. W jego ramach odbył się między innymi koncert solidarnościowy „Od Serca Ukrainie”, jazzowy występ Zakusa i Bekirova w ramach Ogródów Dźwięków oraz koncert Natalii Lebedewej&Laury Marti w czeskim Brnie.

Dziedziniec pogan

Ks. HENRYK PYKA

W grudniu ubiegłego roku zmarł ceniony przez pacjentów tarnogórski chirurg, twórca Akademickiego Centrum Chirurgii Małoinwazyjnej dla Dorosłych i Dzieci w PSK1 w Zabrze, profesor Józef Dzieliński. W mojej pamięci, wszelako nie pacjenta, a animatora dorocznych spotkań kołędowych dla Środowisk Twórczych, utrwalił się jego obraz jako tego, który kroił dla nas chleb w zbroslawickiej stodole. Tak było przez niemal trzydzieści lat w Zbroslawicach podczas dorocznego Wieczoru Trzech Króli. Zaprzyjaźniony z właścicielem stodoły, artystą znanym z wielu udanych realizacji witrażowych, profesorem Wernerem Lubosem, wpisał w swój zawodowy, ale i towarzyski image, nóż jako atrybut. Kojarzony z nożem, przy jego pomocy uczynił wiele dobra, a chleb i mądre słowo, które zawsze wygłaszała na rozpoczęcie naszego kołędowania, stanowiły medium dzielenia się dobrocią.

Duszpasterstwo Środowisk Twórczych było funkcją działającej od lat po zakończeniu Stanu Wojennego Galerii Sztuki Współczesnej „Fra Angelico” przy Muzeum Archidiecezjalnym w Katowicach. Kontakt z artystą i konfrontacja jego twórczości z opinią publiczną były sprawą najważniejszą. Tą publiką byli goście Galerii, ale także czytelnicy śląskich gazet. Bardzo zależało mi na publikacjach. Sam pisałem i inni pisali, bo jak mówiłem żartobliwie „nie mam dzwonów by ściągnąć publiczność do Galerii”. Dobry rozgłos i fachowa krytyka powodowały, że Galeria była zauważana w katowickim środowisku. Uznana pozycję w środowisku artystycznym Galeria uzyskała w czasach działającej do roku 1990 w Katowicach cenzury. Wszystko właściwie zaczęło się w „Gołębniku”. Ksiądz Jerzy Myszor, ówczesny prefekt i wykładowca Historii w Śląskim Seminarium Duchownym w Katowicach, w budynku seminaryjnym znalazł takie miejsce, gdzie w stanie wojennym nie zaglądała cenzura. Wszystkie galerie przecież były zamknięte, a te oficjalne artyści kontestowali. Tuż „pod niebem”, powyżej zasięgu windy artyści uwili swoje gniazdo. Zaglądali tu także studenci, przyszli księża. Wizyta kleryków w „Gołębniku”, jak słyszałem, była warunkiem zdania egzaminu. Może to i plotka. Zależało jednak prefektowi na intelektualnej oglądzie swoich studentów. A przecież wiadomo, że nie tylko muzyka, ale i sztuka ogólnie pojęta, obcowanie z nią, „łagodzi obyczaje”. Kiedy ja rozpocząłem swoją drogę do kapłaństwa obowiązywała wtedy lektura podręcznika oglądy towarzyskiej. Podręcznik nazywał się „Urbanitas scerdotalis”. Perswadował zasady dobrego zachowania, jak chociażby takie, by przy stole nie robić nożem tego, co należy widelcem. Ksiądz Myszor uznał widać, że kon-

takt ze sztuką da lepsze rezultaty. Bezpośredni kontakt, rozmowa, niekoniecznie o sztuce, wzajemna akceptacja, to źródło sukcesu. W „Gołębniku” zawiązała się przyjacielska wspólnota. W czasach, kiedy zaufanie było walorem równie ekskluzywnym jak dewizy, możliwość swobodnej wymiany poglądów była bezcenna. Ta artystyczna bohema zeszała z seminaryjnego „Olimpu” do przyziemnia w budynku Kurii, kiedy ksiądz Myszor został z prawdziwego zdarzenia dyrektorem Muzeum Archidiecezjalnego. Galeria stała się miejscem otwartym. Cóż wtedy się nie działo... „Spieszę po wiatr” – to tytuł recenzji, jaką pisałem wtedy dla „Gościa Niedzielnego” jeszcze jako skromny wikary po otwarciu „Wspólnoty”, cyklicznej, organizowanej w formule biennale wystawy konkursowej. To był wiatr wolności, a jej symptomem był gwar w galerii, radość wynikająca ze spotkań się ze sobą ludzi bez barier. W czasie późniejszym, kiedy już mnie wypadło napędzać wiatr do galerii, byłem świadkiem dość osobliwych asocjacji. W okresie świąt Bożego Narodzenia Galerię odwiedzał biskup, by przełamać się z artystami opłatkiem. Zwyczaj ten w okresie późniejszym był także dla artystów okazją do spowiedzi, Mszy świętej, przedświątecznej konferencji stanowiących duchowe przygotowanie do świąt. Na tych „Dniach skupienia”, jak się mówiło, spotykali się artyści wielu dyscyplin: aktorzy, muzycy, artyści wizualni, ale także historycy sztuki, pracownicy kultury. Telewizja chętnie wtedy pojawiała się podczas tych spotkań opłatkowych. Po roku 1989 odczuliśmy powiew świeżego powietrza wynikający z otwarcia się na siebie całego społeczeństwa. To warto było pokazać, także w telewizji. Coś się w Polsce jakby zmieniło na lepsze. Jeszcze wtedy polityczne podziały były dość niewyraźne, bowiem wszyscy dopiero co zeszedli ze wspólnego pola woli. Walki z komuną. Jednak przecierali oczy ze zdumienia stali bywalcy Galerii, zwłaszcza ci z „Gołębnika” kiedy widzieli jak z opłatkiem do biskupa cisnęli się ludzie, których jeszcze nie tak dawno chroniły kordony ZOMO. To ci, którzy w stanie wojennym chodzili do pracy w mundurach wojskowych. Ludzie spoza grubej kreski. Był to ten czas, kiedy dobrze było się uwierzytelnić. Podać rękę biskupowi wtedy, kiedy rejestrowała to kamera. W tamtym czasie dowieść, że teraz wszyscy stoimy w jednym szeregu pojednanego ze sobą społeczeństwa.

Wielu z tych „nawróconych” nie zrobiło z uzyskanej wtedy abszolucji najlepszego użytku. Ja jednak wówczas zrozumiałem, że takie jak to moje, muzeum kościelne może być miejscem spotkania. To mogłaby być przestrzeń dla ludzi różnych opcji, także tych,

którzy „nie chodzą” do Kościoła. Muzeum Kościoła jako miejsce spotkania i dialogu wydało się instytucją potrzebną. Benedykt XVI nazwał takie miejsce „Dziedzińcem Pogan”. To przestrzeń wolności, w której możliwe jest spotkanie ludzi różnych opcji, poglądów. Miejsce wsłuchiwania się w drugiego człowieka, a zarazem miejsce przekazu wartości. Dla Benedykta XVI miejsce ewangelizacji, areopag głoszenia Słowa, czyli Prawdy.

Wielokrotnie słyszałem z ust Macieja Bieniasza, katowickiego artysty, autora pieśni „Idą pancry na Wujek” stojącego u początków działalności Galerii „Fra Angelico”: gdyby tu w tej kościelnej galerii u jej progu stała kropielnica, a jej kierownik oczekiwał ode mnie wyznania wiary, nigdy bym tu nie zajął. A zatem Muzeum jako przestrzeń otwarta.

Kiedy więc objąłem w tym miejscu kierownictwo artystyczne pierwsze, co zrobiłem, to usunąłem w moim małym biurze etażerkę na książki i utworzyłem przestrzeń do rozmowy.

Przychodzili różni ludzie. Przychodził na kawę Rysiu Zaorski, lubiany katowicki aktor z najświeższymi wiadomościami z katowickiej ulicy. Przychodzili przede wszystkim młodzi artyści, którzy w Galerii upatrywali dla siebie szansę na prezentację swojej pierwszej w życiu wystawy. Galeria ciekawa była młodych twórców, którzy tu starując w późniejszym wieku czasami uzyskiwali wysoki status w katowickiej ASP. Pojawiali się i skandaliści, którym wystawy nie mogłem zaproponować, bo galeria funkcjonowała w określonych ramach zakładających szacunek dla elementarnych wartości. Chętnie jednak w tej „zatoczce”, jaka powstała po usunięciu wspomnianej etażerki, z nimi rozmawiałem. Ci młodzi urządzili w markecie katowickiej „Silesii” reglamentowaną sprzedaż opakowań zawierających, jak głosiła etykieta, „Ciało i Krew Chrystusa”. Bez wiedzy kierownictwa marketu urządzili taki happening filmując zaciekawionych nowym „produktem” nabywców. To była niemal akcja sceniczna zakończona awanturą, na którą stać było tylko młodych, niezależnych. Nie upatrywali jednak w tym akcie bluźnierczego. Uważali po prostu, że wielu katolików nie przyjmuje Eucharystii, a konsumuje ją tak jak inne produkty i chcieli dać temu wyraz. Nie sądzę jednak, by posiadali głębszą religijność. Galeria czasami brała na siebie gromy nie jako organizator, ale jako współwinnny uczestnik katowickiego życia artystycznego. Zadawałem się z artystami, więc byłem winny, kiedy nabroili. Do katowickiego BWA pobiegłem na prośbę ówczesnej dyrektorki, Czesławy Panek, kiedy przechodnie szturmowali jej galerię grząc wybić szyby. Tak

było podczas wystawy Karola Wierczorka, który swój obraz wytapetowany wizerunkami Matki Bożej Piekarskiej przyprószył zawartością popielnicy: popiołem i niedopałkami papierosów. Powstał problem: zamknąć wystawę narażając galerię na środowiskowy skandal? Zatem w imię wolności artystycznej zamalowaliśmy okna BWA, by nie urazić „prostaczków”, przez które spoglądali oni do wnętrza. Zaś sam artysta, jak sam wyznał, swoją wystawą wystąpił w obronie czci Piekarskiej Paniienki. Nie zaś, by jej czci ubliżyć. I bądź tu mądry.

Ze sztuką trzeba się zaprzyjaźnić. Jeszcze bardziej z tymi, którzy ją tworzą. W założeniu przyjąłem szacunek dla dzieła sztuki, które jest wyrazem przemyśleń artysty. Skoro ukończył studia artystyczne, należy założyć jego artystyczną „niewinność” i prawo do wypowiedzi. To mnie może się zdarzyć, że nie rozumiem dzieła sztuki. Artysta wie czego chce. Dzisiaj przecież wielu absolwentów liceów ogólnokształcących nie rozróżnia Einsteina od Eisensteina. Witold Pałka, którego artystycznej narracji nie trzeba tłumaczyć, bo malował kolorowo i zrozumiale zapytany: co chciał artysta powiedzieć odpowiedział: com chciał tom napisać (namalował). A ty idź i ucz się czytać.

W Katowicach udało mi się nawiązać kontakt chyba ze wszystkimi pokrewnymi Muzeum instytucjami kultury. Owocowało to nie tylko udziałem w licznych wydarzeniach artystycznych Katowic, ale i organizacją wystaw. Wystawy historyczne wymagały nie tylko przemyślanego scenariusza, ale i badawczej kwerendy w innych muzeach. Spotkałem się w tych instytucjach z wielką życzliwością i zaufaniem. Bo obiekty wypożyczone na nasze wystawy posiadały z reguły wielką wartość dla kultury narodowej. Z braku środków wielką wystawę poświęconą świętemu Rafałowi Kalinowskiemu i bł. Augustowi Czartoryskiemu w kontekście Powstania Styczniowego dokumentuje jedynie plakat. A szkoda, bo na tę wystawę złożyły się wypożyczenia z Muzeum Narodowego w Krakowie i Biblioteki Książąt Czartoryskich. Prawdziwe rarytasy.

Udało mi się przekonać księdza Arcybiskupa Damiana do udziału w wielkich wystawach w ramach organizowanego przez Muzeum biennale. Były to wystawy konkursowe i tematyczne. Z okazji VI Biennale „Wobec Wartości” ukazał się wreszcie wydany profesjonalnie katalog dokumentujący prace wielu artystów z całej Europy Środkowej, którzy zgłosili swój akces do wystawy. Po tej wystawie podjąłem współpracę z katowickim BWA w organizacji wystaw tematycznych, bo tak wielkiego przedsięwzięcia już sam dalej nie mogłem udźwignąć. Praktycznie cała organizacja spoczęła na mnie i na Krzysztofie Kuli, który jako artysta nie wziął za to grosza. Nagrodą była bezinteresowna radość z udanego wydarzenia. O jego kontynuację dopominali się później dawni uczestnicy wystawy. Nadchodziły pisma w tej sprawie z Niemiec, Austrii, Węgier, Słowenii.



Fra Angelico z Fiesole, portret pośmiertny pędzla Luci Signorelligo, fragment obrazu „Klamstwa Antychrysta” z katedry w Orvieto

Tekst księdza Arcybiskupa Damiana, wprowadzający do katalogów wystaw tematycznych, był czytelnym znakiem obecności Kościoła w obszarze zjawisk plastycznych dokumentujących stany ludzkiej świadomości. Było to duże i odważne wyzwanie. W wystawach tematycznych uczestniczyli artyści „na topie”. Tacy, o których pisała współczesna krytyka artystyczna. Niektórzy byli laureatami Biennale Weneckiego, jednego z najbardziej prestiżowych na świecie wydarzeń artystycznych. Choć nie wszystkie świadectwa, jakie prezentowali uczestnicy tych wystaw, mogłyby zostać zaprezentowane w naszej Galerii, to jednak znaleźliśmy i dla tych wypowiedzi przestrzeń spotkania. Taki „dziedziniec pogan”, na którym każdy, także Kościół mówił własnym głosem. Inspiracja papieża Benedykta była tu wyraźna i trudno powiedzieć, czy jakkolwiek inna diecezja w Polsce starała się taką przestrzeń stworzyć. Tą przestrzenią było katowickie BWA otwarte dzięki ówczesnej dyrektor Czesławie Panek na inicjatywy pod egidą Kościoła.

I nasze Muzeum miało swój ochronny patronat. Pełnił go skromny dominikański zakonnik, a przy tym wielki arty-

sta, Brat Anielski zwany w jego ojczyźnie Fra Angelico z Fiesole. Jan Paweł II nazначył go na patrona artystów i on także patronował Galerii Sztuki Współczesnej przy Muzeum Archidiecezjalnym w Katowicach. Modliłem się na jego grobie w rzymskim kościele Santa Maria sopra Minerva o Ducha Mądrości dla tych, od których zależy skuteczne funkcjonowanie katowickiego „Dziedzińca Pogan”. Z pewnością takim miejscem była także stodoła Wenera i Artura Lubosów w Zbrosławicach. Kiedy po raz pierwszy tam się znalazłem, zachwyliłem się prostotą tego miejsca i powiedziałem wówczas artyście Wernerowi: nie urodził się Pan Jezus na parkietach, ale na klepisku. Dotychczas bowiem spotkania przedświąteczne artystów odbywały się na muzealnych parkietach. Brakowało nam tego klimatu, który znaleźliśmy w stodole, gdzie i spełniał się w swej roli chirurg, i Ewelina Pękowa mogła śpiewać z góralami swoje podhalańskie kantyczki na szkle malowane, gdzie dzieci z naszych artystycznych rodzin prezentowały swoje talenty dzisiaj pięknie ujawnione. Gdzie i sami artyści poprzebierani w pasterskie stroje składali pokłon Dzieciątku.

Czarna studnia (1)

KARL WUNSTER Przełożyła Nina Nowara-Matusik

Zleśnych ostępów urokliwej miejscowości Wessolla^[1] ku kopalniom węgla kamiennego w Emanuelssegen^[2] prowadzi trakt. Mijają nas a to barwne dywany pyszniących się rozkwitem łąk, a to powabne, liściaste zagajniki, po czym pochłania nas noc, a wraz z nią głęboki mrok gęstych lasów iglastych. Odtąd idziemy w górę, zaś świerki i jodły zbijają się w coraz to głębszą gęstwinę. W pewnym miejscu droga się rozchodzi: prowadząc w lewo w dół, ku przyjaznemu miasteczku, które poświęcono świętemu Mikołajowi, w prawo zaś coraz bardziej w górę, ku wejściom do buchających siarką otchłani.

Tam właśnie, na rozstaju dróg, na lewo od porośniętego lasem górskiego grzbietu, wypływa krystaliczna woda, znana w przekazie ludowym czarną studnią. Jakże cudownie jest wypocząć tutaj, w cieniu aromatycznych sosen, u stóp przejrzystego źródła, gdzie po trudach wędrówki wita nas słodka nimfa czarnej studni.

Wy także zbierzcie rosnące na bagnistej ziemi niezapomnianki i przynieście je nimfie w darze, by oddać się słodkim wspominkom. A teraz umościć się wygodnie w przytulnym miejscu. Opowiem wam o jej losach, którymi wciąż jeszcze rozbrzmiewają mroczne podania.

Gdy Marek Aureliusz toczył z Kwadami^[3] krwawą wojnę, po przekroczeniu Dunaju jego legiony dotarły w góry,

z których na wschodzie wypływa Wisła, a na zachodzie Odra. Tutaj wszelako gęste lasy i nieprzebyte przepaści, lecz w jeszcze większym stopniu potężna miłość do ojczyzny, jaką pałali Germanie oraz ich sprzymierzeńcy, stała

rzymkim broniom nieodparty opór. Tylko pojmanym wolno było ujrzeć świętości naszych przodków, których nie mieli prawa zbezcześcić. Rzym uznał tę napaść na nasze ziemie za zwycięstwo, i taką właśnie wieść przekazano umierającemu w Wiedniu cesarzowi; lecz jego słabemu synowi Kommodusowi przyszło zapłacić za pokój w rzymskim cesarstwie najwyższą cenę.

Valerius, młodzieniec w rozkwicie życia, wywodzący się z rzymskiego rycerstwa, jak wielu swych krajan podzielić musiał los jeńca. Wraz z pozostałymi powiedziano go w głąb kraju. Pewnego razu pochód rzymskich jeńców dotarł do owej gęstwy lesistych wzgórz, gdzie z wijących się wśród szczylin gór unosiła się zdradziecka siarka. Zwycięzcy słusznie poczuli się w tym miejscu bezpieczni, przekonani, że jeńcy nie odnajdą drogi powrotnej. Zdjęto im zatem więzy, zachęcając, aby wygodnie się rozgościli.

Po wielu dniach, a nawet nocach marszu, karmieni lichą strawą Rzymianie ochoczo skorzystali z zachęty. Dawno już stracili nadzieję, że ujrzą kiedyś swój kraj. Ach, zapewne wygaślaby w nich zupełnie, gdyby tylko wiedzieli, że ich uwielbiany cesarz zmarł, a dziwak Kommodus zawarł pokój. Jeno Valerius nie stracił jeszcze wiary. Zagłębił się więc w las, lecz nie po to, aby nabiierać czarnych jagód, które wówczas zastępować musiały Niemcom naj-

cudowniejsze smaki południa, lecz aby wysądować okolicę. Zwycięzcy i pokonani odpoczywali beztrzesko. W wolnej ojczyźnie nie trzeba było im straży. Gdy zaś się zbudzili, jeńcy zostali rozdziel-



ni, a kiedy zjawili się książęta, każdy z nich zabrał tych, których potrzebował, na swój dwór. I nikt nie szukał uciekiniera Valeriusa, gdyż jeńców było wielu, a Niemców łatwo ukontentować.

Strudzony daremną wędrówką Valerius wrócił niebawem na miejsce, gdzie zostawił barwną chmurę swych wrogów i przyjaciół. Nie widząc nikogo, poczuł się opuszczony przez wszystkich i samotny w nieprzeżytym lesie. Opary siarki dobywały się z rozpadlin i przepaści, przyjmując kształt błękitnych płomieni, które przepłaszały zwierzynę, a nawet radosnych piewców wiosny. Również Valerius postanowił uciec od tego groźnego miejsca, które nienawidził po dwakroć, gdyż przypominało mu ono ojczyste Pola Flegrejskie. Lecz dokąd miał pójść? Z wolna podążył niewyraźnym śladem swych przyjaciół. Śmierć z głodu, na rogach dzikiego tura albo w krwawym uścisku niedźwiedzia była bowiem straszniejsza niż niewola, która zawsze dawała nadzieję na ucieczkę. Ślady przyjaciół zatarły się jednak rychło w trawie, a na głos wypoczywającego Valeriusa odpowiadało jeno echo. I gdy w mrocznym zagajniku doścignęła go noc, bardziej zmęczony niż senny, spoczął na miękkim mchu.

Tylko ten bowiem nie lęka się nawet w bezludnym lesie, kto stawiał czoła niebezpieczeństwu na krwawym polu bitwy. I tak spłynął na Valeriusa ożywczy sen, by otoczyć go upragnionymi obrazami stron ojczystych i przemienić germański las w cesarski pałac. Nie słyszał skrzeku puchacza ani wycia wilków, zaś do jego ucha docierała jeno muzyka sfer, rozbrzmiewająca pod hesperyjskim niebem ojczystym.

Lecz oto spójrzcie, jak jego sen wypełnia się życiem, a oko i ucho miotają się między jawą a fantazją. Sen odchodzi, a budzące się zmysły dostrzegają obecność rzeczywistych postaci.

Valerius umościł sobie łoże na zboczu lasu, na wprost tryskającego źródła, które płynie tutaj ku nam, przyjaciele, w czarnej studni, dając nam orzeźwienie. I tak oto pierwszy promień ze wschodu zarumienił mu nadobne oblicze, zaś rzeński Eurus^[4] igrał w jego kręconych włosach. Niedawne marzenia odeszły na widok nowego dnia, zaś minione obrazy zacierały się coraz bardziej w obliczu blasku, który rozjaśnił mu oczy: u wejścia do grotty, rozświetlonej tysiącem wielobarwnych świateł, stało bowiem prześliczne dziewczę, przyjaźnie zapraszając go do środka. Rozdzielone u nasady czoła włosy spływały w poskręcanych lokach na plecy, by z tyłu złączyć się w zgrabnym węźle. Gdy spoczął na nich pocalunek Aurory, włosy zaśniły jeszcze żywszym złotem. Przywdziane w białą szatę, spiętą pod biustem czarną opaską i przywdzianą u dołu gałązkami brzozy, nadobne dziewczę zbliżyło się do Valeriusa, obdarzając go spojrzeniem, w którym jako żywo czaił się półmrok jej serca. Opasawszy go potężnym mieczem, dziewczyna przyjaźnie poprowadziła młodzieńca do chłodnego wnętrza grotty. Jej wejścia strzegły dwa olbrzymie niedźwiedzie, które na widok Valeriusa wyszczerzyły zęby, łaknąc krwi, lecz ustąpiły przed towarzyszką rycerza. W długim, kamiennym korytarzu, rozjaśnionym blaskiem najpiękniejszych lamp, światło rozpraszało się, upodabniając się do precudnej tęczy. Korytarz ów poprowadził obcego przybysza z Rzymu i jego milczącą towarzyszkę do wysokiej sali, której sklepienie podtrzymywały dwadzieścia cztery błyszczące kolumny. Lśniące światło świec umieszczonych na kandelabrze rozświetlało wytworną salę, pośrodku której stał ołtarz z porfiru, przyozdobiony precudną statuą z jaśniejącego białą alabastru. Tutaj dziewczyna zostawiła rycerza, znikając przez jedno z bocznych drzwi.

Valerius przecierał oczy, szczyptał się po całym ciele, by przekonać się, czy to jawa czy sen, czy żyje jeszcze, czy też może wkroczył już do królestwa cieni, zwątpiwszy we własne zmysły. „Jakże to możliwe, że pośrodku germańskiego lasu wyrasta magiczny pałac? Czy może jestem w pałacu Auri-nii^[5], o której już od czasów Tacyta krąży tak wiele przyjemnych dla ucha opowieści? Czy może czary pętają me zmysły?”

W tym miejscu jego monolog przerwał powrót dziewczyny, niosącej w kryształowych flaszkiach wino z klonu i brzozy, wyborne piwo jęczmienne w kamiennych dzbanach i sycące

potrawy w błyszczących misach. Zaprosiwszy głodnego Valeriusa do stołu, oddaliła się cicho. A wtedy, jakby niosąc się z rozświetlonej promiennie kopuły, rozbrzmiał łagodny, melodyjny śpiew wielu kobiecych głosów, co były Rzymianinowi niczym przyprawa dla wyczekiwanej strawy.

Posiliwszy się, Valerius przyjrzał się baczniej komnacie, po czym postanowił opuścić ją przez jedno z bocznych wejść, by przeczesać dalszą część magicznego pałacu pod ziemią. Po wielu daremnych próbach znalazł w końcu otwarte podwoje. Lecz z każdej strony owych drzwi znajdowała się nisza, a w niej porfirowy sfinks, nad drzwiami zaś wisiał nadziany na grot sześcian, na którym widniała następująca inskrypcja: *Czuwaj, milcz, walcz.*

Cofnął się w konfuzji, nie będąc w stanie odgadnąć znaczenia tych wszystkich zagadkowych zjawisk, tego pałacu, tej gościnności, tego milczenia, tych hieroglifów, przede wszystkim jednak sensu owych słów, zapisanych, na domiar tego wszystkiego, w języku Greków. Trudności piętrzyły się coraz bardziej, gdy porównywał owo miejsce i swoją historię z tym wszystkim, co przydarzyło mu się od chwili, gdy leżał w uspieniu na trawie.

Gdy Valerius wciąż jeszcze zajmował się sobą, nagle z otwartych drzwi wyszedł starzec, odziany w białą szatę. Jego srebrzysta broda spływała aż po czarny pas, zaś twarz, mimo ostrych rysów, nosiła ślady zaawansowanego, szacownego wieku. „Dokąd to, obcy młodzieńcze?”, zagadnął starzec, na co wielce zdumiony Valerius cofnął się kilka kroków. Wysłuchawszy historii Valeriusa, starzec rzekł do niego z radością wdzięcznością: „Młody przyjacielu, los ci sprzyja, zaufaj mu zatem i nie syp piasku w jego tryby, lecz zapisz przestrożę, jaka widnieje na sześcianie – tutaj wskazał na drzwi – pło-nącymi zgłoskami w swym sercu i – działaj!”

Drzwi, w których zdumionemu młodzieńcowi ukazał się dobrotliwy starzec, ponownie się za nim zamknęły.

Kto kiedykolwiek czuł się rozdartym między letargiczną indolencją a żywą pasją poznania, łatwo pojmie, w jakim stanie znajdował się nasz Valerius. I, podobnie jak jemu, niełatwo będzie mu wybrać. Jakże trudno w takiej chwili znaleźć złoty środek! „Masz działać”, wykrzyknął Valerius, „a nawet walczyć! A mimo to ufnie podążać za losem i na domiar mil-czeć? Któż uczyni mnie zwycięzcą w owej walce? Tylko ja sam z mą siłą i z tym mieczem! Lecz któż wyjaśni mi to, gdzie jestem? Gdzie jest węzeł, co spleta te wszystkie cudowne zjawiska? Milcz!”

Przypisy tłumaczkii

[1] Dzisiaj Wesoła, dzielnica Mysłowic. Pozostawiam topo-nimy górnośląskie w ich oryginalnym brzmieniu.

[2] Murcki.

[3] Starożytne plemię germańskie.

[4] W mitologii rzymskiej bóg wiatru wschodniego

[5] Lub Albrina, Albrinia, Albruna. Germańska wieszczka i prawdopodobnie nekromantka.

Podstawa przekładu: Karl Wunster: *Oberschlesien, wie es in der Sagenwelt erscheint*. Liegnitz 1825, s. 9–29.

Karl Wunster, ur. w 1789 roku w Breslau, zmarły w 1834 w Berlinie. Studiował teologię w Halle, by następnie pełnić funkcję kaznodziei w różnych miejscach na Śląsku (w tym w latach 1816–1820 w Hołdunowie, niem. Anhalt, obecnie dzielnicy Łędzin) oraz w Poznaniu.

Nina Nowara-Matusik, literaturoznawczyni, germanistka, tłumaczka, profesorka w Instytucie Literaturoznawstwa Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach. Redaktorka naczelna otwartego czasopisma naukowego „Wort-folge. Szyk Słów”. Mieszka w Bytomiu.

Ludzie z innej planety (2)

ZBIGNIEW KADŁUBEK

„[...] na przystankach obserwowałem ludzi z innej planety”

Zygmunt Haupt
w Katowicach w 1937 roku

Co to znaczy znać człowieka? Czym byłoby poznać żar ludzkiego życia i jego ciszę? To nie do wypowiedzenia. Pana Marka Plurę, który zmarł 20 stycznia br., znałem doskonale i jednocześnie bardzo słabo. Znałem go doskonale, bo wciąż pamiętałem jego ciepło i radość, gdy się spotykaliśmy przy okazji różnych dyskusji i debat związanych ze śląską tożsamością lub śląską historią. W oczach Pana Marka nieustannie błyszczały radosne punkciki. Ogniki nadziei.

Ale chciałbym wrócić do Jego Twarzy.

Najpierw widziałem twarz podczas każdego spotkania, ale zaraz potem, jak to mówiłem Panu Markowi: *widzieliżech maszka*. Te jego „maszki”, czyli muszki, które nosił, były przepiękne. To były motyle, to były jakieś pstrokate egzotyczne istoty, jak gdyby małe aniolki, które na krótką chwilę przysiadły na tym Pięknym Człowieku. Lśniły jego oczy taką dobrocią, taką wyrozumiałością, takim szczęściem, że każdy, kto go spotykał też czuł się szczęśliwy. I spokojny.

Pan Marek Plura był reterem, oczywiście, ale przemawiał nie tylko pięknymi słowami w kilku parlamentach. Przemawiał oczami. Te oczy mówiły: „Ludzie, kochajcie się! Ludzie, żyjemy krótko. Ludzie, nieście brzemiona jedni drugich. Spróbujcie być wyrozumiali. Spróbujcie się ko-

chać. Zobaczcie, jaki jest świat dookoła – i dajcie coś temu światu. Podarujcie coś z siebie”.

Pan Marek Plura kochał Racibórz i całą tę prześliczną raciborską leśną krainę. Kochał Borową Wieś, mieszkańców tego domu, w którym żył. Kochał Katowice, którym służył jako radny. Kochał Kraków, gdzie miał przyjaciółki i przyjaciół z czasów studenckich. Umiłował Górny Śląsk, ale nie tak, jak miłują go politycy albo działacze, lecz jak syn, który kocha matkę. Miłością ufną oraz absolutną. Wpisaną w bezwarunkowe odniesie, jak może podzieliliby psychologowie. Pan Marek Plura ma cudowną rodzinę, żonę Ewę – jak Adam w raju.

Zawsze mnie dziwiło „czamu tyn chop, kery nosi maszka”, tak bardzo uwielbia śląską mowę. Czy muszka pasuje do chropowatej, głupiej, sponiewieranej śląszczyzny? Czy wysokie widzi małe i nędzne? Marek, Kochany Marek, przekonał mnie o tym w sposób prosty, na zasadzie nieznannej akademikom meto-

dy komunikującej serce z sercem. To nie był wykład, nie było argumentów, nie było wywodu. To było jedno spojrzenie. Oczy nam obu się wtedy zaszkliły, zaszyły mgłą, ale potem był blask, blask nad blaski. I słusznie kaznodzieja podczas ceremonii pogrzebowej wspominał o tym, jak Jezus kiedyś rzekł: „Talitha kum”. Marek też mówił: „Talitha kum”. „Śląsku, ja ci mówię, wstań. Polacy, ja wam mówię, obudźcie się, pogódźcie się. Europejczycy, zauważcie słabszych, biednych i tych, którzy są przykuci do łóżka i wózka. Albo akurat w tej chwili dopływają do wyspy Lesbos na Morzu Egejskim. Lub czekają na kubek wody na Lampeduzie. Albo właśnie uciekli dzisiaj z bloku w Krematorsku, bo Rosjanie nie znają litości.

I – chociaż chciałbym bardzo, pragnąłbym niewypowiedzianie – opowiedzieć jeszcze bardzo dużo, nic już więcej nie powiem. Jednak jestem pewien, że Pan Marek – teraz już wysoko ponad nieboskłonami – jest dalej z nami. ■



Marek Plura

Zagłębie Dąbrowskie miało wielu bohaterów powstańczych, np. Apolinarego Kurowskiego, płk. Teodora Cieszkowskiego, ziemianina Jacka Siemieńskiego, ppłk. Józefa Miniewskiego. Ale także powstańców rekrutujących się spośród drobnej szlachty, mieszczaństwa, czy chłopstwa. Tu należy przywołać m.in. postaci Aleksandra Popieła, Józefa Sołtyska, Mikołaja Dziubka, pamięć o nich udało się ocalić dzięki staraniom dąbrowskich społeczników.

Trudny początek

Zanim Powstanie Styczniowe wybuchnie na miejsca zbiórki 22 stycznia 1863 r. w Zagłębiu zostają wyznaczone punkty w Będzinie (pod ruinami zamku), Dąbrowie, Myszkowie i Żarkach. Zagłębie Dąbrowskie ma wówczas wielkie znaczenie strategiczne ze względu na obecność m.in. Kolei Warszawsko-Wiedeńskiej i nagromadzenie tu hut i kopalń. Niestety komisarze Ignacy Dobrski i Maksymilian Telesfor Wąnert nie docierają na miejsce głównego punktu zbiórki w Będzinie. Ochotnicy też pojawiają się nielicznie. Panuje chaos. Sytuacja zmienia się, gdy 5 lutego spod Ojcowa wyruszy płk. Apolinari Kurowski, naczelnik wojskowy i cywilny z woj. krakowskiego. Kurowski to ziemianin z Wielkopolski, wielki patriota, działacz niepodległościowy okresu Wiosny Ludów, dobry organizator, choć słaby wódz z niewielkim doświadczeniem wojskowym. Powstańcom udaje się zająć Olkusz, Sławków, stacje kolejowe wraz z komorami celnymi oraz przejścia graniczne w Modrzejowie i Czeladzi. Oddziały rosyjskie zajmują w tym czasie jedynie Kielce i Częstochowę, teren Zagłębia Dąbrowskiego jest więc wolny od regularnego wojska. To przyczyni się do sukcesu powstańczego i wygranej bitwy o Sosnowiec oraz tutejszą komorę celną w nocy z 6 na 7 lutego.

Wyprawa Apolinarego Kurowskiego

Największym bohaterstwem w bitwie wykazuje się płk. Teodor Cieszkowski, komendant kosynierów, który mimo, że zostaje ranny nie wycofuje się z walki. Rosjan udaje się wypchnąć z komory celnej i stacji kolei żelaznej. Wśród powstańców jest 3 zabitych i kilkunastu rannych, straty Moskali są znaczne.

– To zwycięstwo to kluczowy moment. W wyniku wyprawy Apolinarego Kurowskiego wyzwolono cały region Zagłębia Dąbrowskiego, a nawet szerzej – obszar od trójkąta granicznego aż po Kraków, Miechów i Częstochowę. To potężna część Królestwa Polskiego, w którym po sukcesie boju o Sosnowiec, wyzwoleniu i zdobyciu komory celnej w Sosnowcu powstańcy utworzą własne struktury władzy. Powołują naczelnika i komisarza po-



1866 r. Widok na Hutę Bankową. W czasie trzech tygodni wyzwolenia regionu przez powstańców produkowano tu dla nich broń

Powstanie Styczniowe w Zagłębiu

AGNIESZKA ZIELIŃSKA

wiatowego, nową władzę w gminach, burmistrzów zwanych teraz naczelnikami miast. Jest to jedyny taki przypadek na ziemiach polskich w czasie Powstania Styczniowego, że na tak dużym obszarze utworzono legalnie działające struktury polskiej władzy. Zaczęto też tworzyć oddziały wojska polskiego. Co więcej, kiedy po dniu walk uruchomiono Kolej Warszawsko-Wiedeńską pociągi, które jechały w kierunku granicy i w kierunku Sosnowca z dwóch stron były rewidowane przez powstańców. Polscy celnicy wkraczali i dokonywali oclenia towarów. Powstało coś, co było przejawem normalnej państwowości, funkcjonującej legalnie na wyzwolonym obszarze. Budziło to konsternację Rosjan i oczywiście chęć przeciwdziałania – podkreśla historyk prof. Dariusz Nawrot z Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach, dyrektor Instytutu Zagłę-

bia Dąbrowskiego i autor licznych opracowań o Powstaniu Styczniowym. (19 lutego br. w Muzeum Miejskim „Sztajgarka” w Dąbrowie Górniczej będzie mieć miejsce promocja nowej książki prof. Nawrota „Wyprawa Apolinarego Kurowskiego do Zagłębia Dąbrowskiego i wyzwolenie trójkąta granicznego w lutym 1863 roku”).

Wolność na trzy tygodnie

Wolność nie trwa długo, bo po trzech tygodniach Rosjanie odbijają kluczowe punkty. Ostatecznie cały region Zagłębia opanowują w końcu lutego. Były to więc tylko trzy tygodnie wolności, ale – bardzo ważne – wskazuje prof. Nawrot. Po pierwsze dla tysięcy młodych ludzi wahających się, czy iść do powstania czy nie, ten spektakularny sukces Kurowskiego wraz z wieścią o zwycięstwach gen. Mariana Langiewicza, który w międzyczasie odnosił sukcesy w Świętokrzyskim, świadczyło o sile powstania. To był przekaz – warto iść, bo zwyciężamy. Po drugie kolej i związany z nią telegraf to jedne z najszybszych nośników informacji w tej epoce. To, co się stało w Zagłębiu momentalnie rozchodzi się poprzez Kraków do Wiednia i przez Katowice i Berlin po całej Europie.

– Niewątpliwie jest to jednym z czynników, który powoduje, że na wiosnę Napoleon III decyduje się na interwencję dyplomatyczną. Wokół sprawy polskiej toczy się gra mocarstw. Polacy zaczynając powstanie liczyli, że interwencja będzie zdecydowana i konkretna, że będzie przypominać pomoc dla wyzwalających się Włoch w 1859 roku. Tak się nie stało, ale pierwsze sukcesy



Odnowiony staraniem TPDG nagrobek powstańca Aleksandra Popieła

i tak miały wielki wpływ na dalsze wydarzenia – dodaje prof. Nawrot.

Okres wolności Zagłębia zakończy się wraz z wyprawą Kurowskiego na Miechów (bitwa ma miejsce 17 lutego). Polska kawaleria zmieszana z piechotą w wąskich uliczkach miasta ponosi wysokie straty. To otwiera Rosjanom drogę do odbicia regionu. Kurowski już nie odegra zresztą znaczącej roli. Pokieruje jeszcze bitwą o Opatów, która skończy się równie spektakularną klęską jak w Miechowie.

W powstaniu mogło tu brać udział tysięcy osób

– Ile osób mogło pójść do powstania w Zagłębiu? To liczyby hipotetyczne. Co najmniej kilkadziesiąt osób uczestniczy w nim w okresie początkowym. Także kilkadziesiąt osób znajdzie się w obozie w Ojcowie, później kiedy Kurowski będzie maszerował na Sosnowiec i wyzwole region dołączy do niego blisko 100 ludzi. Potem jeszcze ok. 300. Możemy śmiało powiedzieć, że z Ojcowa wyruszy 500 powstańców, może więcej. Pamiętajmy, że Powstanie Styczniowe trwa przez cały 1863 i 1864 rok. Przyступują do niego kolejne osoby. Możemy, więc nawet mówić o liczbach sięgających tysiąca – wyjaśnia prof. Dariusz Nawrot.

Gdyby wskazać inne obok Kurowskiego i Cieszkowskiego nazwiska ważne dla powstania w Zagłębiu byłby to m.in. Jacek Siemieński, właściciel dworu w Zagórze (dziś dzielnica Sosnowca). Choć nie bierze udziału w wydarzeniach pierwszego okresu powstania zostaje mianowany przez gen. Langiewicza reprezentantem rządu polskiego w Galicji. Ma zachęcić Galicję Wschodnią do pomocy powstaniu, co się nie udaje, bo nie chciano uznać jego pełnomocnictwa. Efektem tego jest jednak zaangażowanie Siemieńskiego w drugiej połowie 1863 r. i na początku 1864. W dostawy broni dla powstańców. Jego dwór w Zagórze będzie miejscem, gdzie udziela się wielkiego wsparcia. Z Zagłę-

biem są związani też powstańcy, którzy walczą na obrzeżach regionu, wymienimy tu chociażby słynnego Brata Alberta, który traci nogę w bitwie w okolicach Lelowa, czy włoskiego generała Francesco Nullo, który zginie w bitwie pod Krzykawką 5 maja 1863.

Jest wiele tajemnic

– Choć od wybuchu powstania minęło 160 lat nadal kryje ono wiele tajemnic – podkreśla Arkadiusz Rybak, dyrektor Muzeum Miejskiego „Szytgarka” i prezes Towarzystwa Przyjaciół Dąbrowy Górniczej, które dba o pamięć o powstańcach. – Według lokalnej tradycji drewniany krzyż w Mariankach wskazuje na pochówek żołnierza lub żołnierzy z oddziału gen. Francesco Nullo, którzy po bitwie pod Krzykawką uciekali przed Rosjanami (w tym ludzie ppłk. Józefa Miniewskiego). W ramach tegorocznych obchodów wybuchu Powstania Styczniowego zostaną przeprowadzone prace archeologiczne mające na celu odnalezienie i ekshumację szczątków zmarłych oraz ustalenie dalszych faktów poprzez znaleziska przedmiotów z epoki. 5 maja wojsko rosyjskie zaatakowało powstańców i zmusiło do przyjęcia bitwy pod Krzykawką. Powstańcy zamierzali wycofywać się w kierunku granicy. Wiemy, że w czasie postoju w lesie pod Mariankami zostali zabici przez Kozaków. Gdy ciała zamordowanych zaczęły się psuć ich pochówkiem zajęli się wójt Małobądza. Insurgenci spoczęli naprzeciwko posesji rodziny Bałdysów, którzy postawili dębowy krzyż w celu uczczenia ich pamięci. W 1989 r. krzyż podniszczony działalnością warunków atmosferycznych został poddany renowacji.

Zagłębiacy pamiętają

Dla mieszkańców regionu Powstanie Styczniowe to niezwykle ważna część historii. W Sosnowcu na budynku dworca kolejowego znajduje się tablica ku czci ppłk. Kurowskiego ufundowana w 1998 r. Plac przed dworcem w tym roku otrzymał imię Powstańców Styczniowych. 5 lutego br. zaplanowano tu rekonstrukcję bitwy o Sosnowiec. Świadectwem poświęcenia powstańców są też nagrobki, które znajdują się w Dąbrowie Górniczej przy ul. Starocmentarnej: Mikołaja Dziubka, Aleksandra Popiela, Józefa Soltyska. Zostały odno-



Jacek Siemieński

wione staraniem TPDG w 150. rocznicę wybuchu powstania.

– Aleksander Popiel (1835 – 1906) urodził się i zamieszkiwał w Górze Kalwarii niedaleko Warszawy. Był ekspedytorem poczty w tym mieście. Kiedy wybuchło Powstanie Styczniowe czynnie wspierał walczących m.in. poprzez zezwalanie by odbywali oni zebrania w jego mieszkaniu oraz pomoc w sprzedaży soli z magazynów państwowych. Następnie Popiel brał udział w kilku potyczkach, w których został ranny i w końcu pojmany. Osadzono go w warszawskiej Cytadeli Aleksandrowskiej razem z ojcem Feliksem, a także z ówczesnym burmistrzem Góry Kalwarii, Ludwikiem Fabianim. Ojca Aleksandra usunięto od obowiązków kasjera w Górze Kalwarii oraz nakazano mu zwrot wszystkich strat wyrażonych rządowi. Mniej szczęścia miał sam Aleksander Popiel oraz jego starszy kompan Ludwik Fabiani, którzy w 1865 roku pozbawiono wszystkich praw obywatelskich i skazano na ciężkie roboty w twierdzach syberyjskich. Po ośmiu latach Aleksander Popiel powrócił z zesłania, nie mógł jednak zamieszkać w rodzinnej Górze Kalwarii, osiedlił się więc w Dąbrowie Górniczej, gdzie założył rodzinę i znalazł zatrudnienie w przemyśle – tłumaczy Arkadiusz Rybak.

W miastach Zagłębia zostanie w tym roku pokazana wystawa tematyczna. W Dąbrowie Górniczej znajdzie się w zabytkowej kapliczce św. Marka przy Zagłębiowskim Centrum Onkologii. Według kapelana oddziałów powstańczych księdza Serafina Szulca w niedzielę 8 lutego 1863 r. o godzinie 9. przy kaplicy odbyła się msza święta. Poprowadził ją proboszcz będziniński ks. Ludwik Czerniański.



Francuskie czasopismo pokazujące powstańców styczniowych w Ojcowie



Odnowiony staraniem TPDG nagrobek powstańca Józefa Sołtyska



Replika krzyża w Dąbrowie Górniczej-Mariankach



Odnowiony staraniem TPDG nagrobek powstańca Mikołaja Dziubka



Katowice, Salon Sztuk. Marian Kisiel, Tadeusz Sierny



Katowice, Salon Sztuk. Z mikrofonem Krzysztof Korwin-Piotrowski

Salony Sztuk ze „Śląskiem”

KRZYSZTOF KORWIN-PIOTROWSKI

Od września 2018 roku pracowałem przez siedem miesięcy w Oddziale Teatralno-Filmowym Muzeum Historii Katowic. Ustaliłem od razu z dyrektorem drem Jackiem Sieblem i Katarzyną Gliwą, że siedziba przy ulicy Kopernika 11 powinna być częściej odwiedzana przez miłośników dobrej literatury, muzyki, teatru i sztuki. Kasia Gliwa organizuje tam spotkania artystyczne z cyklu „Przyjaciele Barbary i Stanisława”, z recitalami gwiazd śląskich scen. Piękne mieszkanie w kamienicy, zajmowane kiedyś przez wyjątkowe artystyczne małżeństwo Ptaków, scenografki Barbary i śpiewaka Stanisława, stanowi według mnie idealną scenografię do „Salonu Sztuk”.

Myślałem o szerokim ujęciu terminu „sztuka”. Kiedyś słowo „ars” oznaczało umiejętność, więc była sztuka rzeźbiarza, krawca czy oratora, a nawet wojskowego stratega. W średniowieczu sztuką była logika, astronomia czy muzyka, natomiast poetę uważano za wieszczą, a nie artystę. Z kolei malarstwo czy rzeźba nie były uważane za „sztuki wolne”, ponieważ wiązały się z wysiłkiem fizycznym. Od czasów renesansu jednak to myślenie zaczęło się zmieniać, więc do zakresu sztuki włączono poezję, oddzielono też sztuki piękne od rzemiosła. Planując cykl „Salon Sztuk” uznałem, że sztuką jest poezja, podobnie jak malarstwo, rzeźba czy fotografia, ale także aktorstwo, scenografia czy reżyseria.

Nawiązałem kontakt z prezesem zarządu Wydawnictwa Naukowego „Śląsk”, drem Tadeuszem Siernym i Mariolą Wośko, aby promować książki poprzez organizację spotkań z poetami oraz artystami. Najpierw zaprosiliśmy **Barbarę Gruszkę-Zych**, która wydała już ponad 20 tomików wierszy. Tomasz Burek umieścił jej zbiorek „Szara jak wróbel” w gronie dziesięciu najważniejszych książek, jakie zostały wydane po 1989 roku. Jest też znaną dziennikarką, autorką książek o Czesławie Miłoszu, Wojciechu Kilarze oraz Elżbiecie i Krzysztofie Zanusich. „Śląsk” wydał jej tomiki: „Samo życie”, „Nie ma nas w spisie”, „Basiu wróciłem”, „Nie chciałam ci tego mówić” oraz „Dla”. Pani Barbara jest też znaną dziennikarką i posiada niezwykły dar opowiadania. Poza tym ma wyjątkowy urok osobisty, a jej wiele wierszy odsłania różne wymiary kobiecości, stając się czasem rodzajem wykreowanego intymnego pamiętnika. Jej wiersze zaskakują i pró-

bują uchwycić to, co najbardziej ulotne. Bardzo ciekawie zrobiło się, gdy erotyki pani Barbary zaczął czytać znany aktor Teatru Śląskiego i profesor Akademii Muzycznej w Katowicach **Jerzy Głybin**. Był w tym bardzo dyskretny i trochę zabawny, zwłaszcza gdy czytał utwory, w których podmiotem lirycznym jest kobieta. Potem zaprosiliśmy publiczność na degustację ekskluzywnej herbaty i rozmowy kulturalowe. To stało się tradycją „Salonów Sztuk” czyli czwartkowych spotkań literacko-artystycznych.

Następnym naszym bohaterem był **prof. dr hab. Marian Kisiel**, historyk literatury, krytyk i poeta, wybitny znawca polskiej literatury XX wieku. Jest związany z Uniwersytetem Śląskim, ale wkładał też gościnnie na wielu uczelniach zagranicznych w różnych krajach Europy i w kanadyjskim Toronto. Pisze wiersze od 1979 roku, wydał kilkanaście tomików. W „Śląsku” jest redaktorem cyklu „Światy poetyckie”, analizującego twórczość: Tadeusza Kijonki, Tadeusza Sławka, Andrzeja Szuby, Stanisława Krawczyka, Feliksa Netza, Wilhelma Szewczyka, ks. Jerzego Szymika, Bolesława Lubosza, Jerzego Lucjana Woźniaka, Edwarda Zymana, Floriana Śmieci, Stanisława Horaka, Genowefy Jakubowskiej-Fijałkowskiej. Został uhonorowany tytułem doktora honoris causa Akademii im. Jana Długosza w Częstochowie. Spogląda na historię literatury z innej perspektywy – uczonego, który wcześniej był krytykiem.

Natomiast jako poeta Marian Kisiel wnikliwie obserwuje świat, w którym uczestniczy i sięga do istoty człowieczeństwa. Od wielu lat analizuje twórczość Tadeusza Różewicza i sam wie, jak trudno dotrzeć do sedna. Sam będąc poetą odnajduje to, czego jako krytyk pewnie nie dostrzegał. Poeta jest metaforyczny, tajemniczy, z jednej strony odsłania coś przed czytelnikiem, a z drugiej czasem kamufluje. Według mnie dobra poezja prowokuje do uruchomienia naszej wiedzy humanistycznej i pamięci o doświadczeniach życiowych, a równocześnie burzy schematy myślenia. Taka jest poezja Mariana Kisiela, więc spotkanie z nią, czytana na żywo przez profesora – poetę było wyjątkowym przeżyciem tym bardziej, że mierzy się z upływającym czasem. W „Śląsku” opublikował tomiki: „Wieniec dla zmarłych”, „Łazarz”, „C'est la vie”, „Martwa natura”, „Uniesie nas wiatr”, „Wypominki. Wiersze z lat 1995-

2008” i „Zielone pola” (proza poetycka). Obecnie Marian Kisiel jest redaktorem naczelnym miesięcznika „Śląsk” i prezesem Górnośląskiego Towarzystwa Literackiego (po śmierci Tadeusza Siernego).

W styczniu 2019 roku zorganizowałem spotkanie z Jackiem Rykałą i Arkadiuszem Ławrywiancem. **Prof. dr hab. Jacek Rykała** ma Pracownię Malarstwa Akademii Sztuk Pięknych w Katowicach, gdzie w latach 2005–2012 był prorektorem. Prezentował swoje prace na ponad 60 indywidualnych wystawach w Europie i USA. Jest pierwszym żyjącym artystą, któremu przygotowano retrospektywną wystawę w Muzeum Narodowym w Krakowie. Reżyseruje też własne sztuki teatralne. **Arkadiusz Ławrywianiec** był fotoreporterem „Dziennika Zachodniego” (1994–2015), jest związany z Instytutem Twórczej Fotografii Uniwersytetu Śląskiego w czeskiej Opawie i pełni funkcję prezesa zarządu Okręgu Śląskiego Związku Polskich Artystów Fotografików. Miał wystawy w różnych krajach Europy. Jest autorem znakomitego albumu fotograficznego „Tajemnice pracowni”, opublikowanego przez Wydawnictwo Naukowe „Śląsk”.

To spotkanie miało wiele niespodziewanych zwrotów akcji. Jacek Rykała opowiadał o swojej fascynacji śląskimi oknami, bramami i podwórkami kamienic i familków. Mówił o tym, jak interesował się historią „wampira z Sosnowca”, mordującego kobiety od 16 do 57 lat, w tym bratanicę Edwarda Gierka. W 1972 roku skazano na śmierć Zdzisława Marchwickiego, jednak do dziś nie wiadomo, czy to on rzeczywiście był seryjnym mordercą. Możliwe, że „wampirem” był Piotr Olszowy, który w 1970 roku zamordował żonę i dzieci, po czym podpalił dom i spłonął w nim. Władze jednak domagały się złapania i skazania mordercy, którego zobaczy w mediach cała Polska.

Jacek Rykała opowiadał także o swoich sztukach: „Dom przeznaczony do wyburzenia”, „Mleczarnia” i „Chłodne poranki”. Jest więc artystą, który spełnia się w wielu dziedzinach sztuki. Z kolei Arkadiusz Ławrywianiec mówił o fascynujących spotkaniach, których efektem jest album „Tajemnice pracowni”. Bohaterami są m.in.: Renata Bonczar, Krzysztof Nitsch, Marian Oslisło, Jacek Rykała, Tadeusz Michał Siara, Erwin Sówka, Jan Szmatoch. Pracownia to niejednokrotnie miejsce „intymne” artysty.

W jednych panuje porządek, inne pokazują chaos i bałagan. Często Ławrywianiec odwiedzał swoich bohaterów kilka razy, aby uchwycić coś specjalnego. Sportretowani artyści mają swoje pracownie w różnych miejscach, jak pisała Henryka Wach-Malicka: „W blokach na typowych PRL-owskich osiedlach, w starych pofabrycznych przestrzeniach, na wydzielonych piętrach domów jednorodzinnych, a nawet w garażu czy domowej kuchni”. Podczas tego spotkania publiczność była wyjątkowo aktywna, ponieważ rozmowa, zmierzająca w różnych kierunkach, prokowała do współuczestnictwa.

Inne spotkanie mieliśmy z **Andrzejem Szubą**, pochodzącym z Gliwic poetą i tłumaczem. Wydawnictwo Naukowe „Śląsk” opublikowało jego tomiki wierszy „Milczysz”, „Wygasić” i „666 strzępów”, a także książkę „Światy przedstawione Andrzeja Szuby” pod redakcją Mariana Kisiele i Pawła Majerskiego. Czytamy w tekście wprowadzającym: „Andrzej Szuba – pozbawiony w nowych odczytaniach swojego generacyjnego miejsca – został przedstawiony jako poeta głęboko metafizyczny i intelektualny. Jak gdyby za stanowiskiem Heideggera, że *wszelka poezja jest myślą*”. Taka była również rozmowa z Andrzejem Szubą, skromnym intelektualistą, dla którego najważniejsze w życiu jest myślenie, a nie moda, zakupy i medialne życie.

Nietypowy był „Salon Sztuk” z **Bogumiłą Murzyńską**, znakomitą aktorką Teatru Śląskiego, laureatką kilku „Złotych Masek”, odznaczoną Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski. Mówi o sobie, że uwielbia twórczość Williama Szekspira, a jej pasje to: historia, zwierzęta (psy, koty i świnki morskie) oraz góry. Wydawnictwo Naukowe „Śląsk” opublikowało książkę Henryki Wach-Malickiej „Bogumiła Murzyńska. Biografia nostalgiczna”. Mówiliśmy o jej współpracy z wyjątkowymi reżyserami takimi jak Lidia Zamkow, Jerzy Jarocki, Józef Szajna, Mieczysław Daszewski czy Jerzy Zegalski. Było refleksyjnie i dowcipnie, ponieważ do rozmowy wcinali się: jej mąż, aktor Jerzy Głybin oraz dyrektor Teatru Śląskiego, aktor i reżyser Robert Talarczyk. W ten sposób uczciliśmy Międzynarodowy Dzień Teatru.

Naszym kolejnym gościem był **prof. dr hab. Marian Oslisło**, który od 40 lat pracuje w Akademii Sztuk Pięknych w Katowicach, gdzie był rektorem (2005–2012). Jego plakaty, projekty wydawnicze i grafiki były prezentowane na kilkudziesięciu wystawach zbiorowych i indywidualnych w różnych krajach. Opowiadał też o swoim studiu graficznym M-Studio, o fascynacji sztuką plakatu, o projektowaniu książek i okładek płyt. Pasjonuje go również kaligrafia, która niestety jest wypierana przez komputery, a przecież kiedyś w szkole każdy uczył się piękniego pisania piórem. Wielką pasją Maria-

na Oslisło jest również muzyka improwizowana i awangardowa. Założył Jazwową Asocjacje Zabrze, a także podjął się organizacji JAZZ Festiwalu Muzyki Improwizowanej.

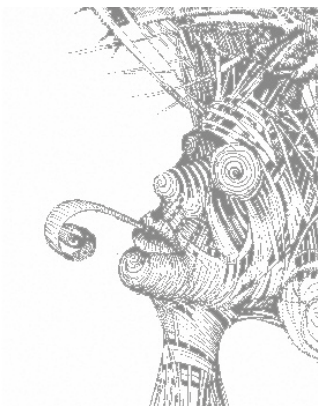
Od wiosny 2019 roku podjąłem już pracę na stanowisku dyrektora artystycznego Fundacji ORFEO im. Bogusława Kaczyńskiego w Warszawie, ale razem z Kasią Gliwą zorganizowałem jeszcze kilka „Salonów Sztuk”. W grudniu 2019 roku mieliśmy wzruszające spotkanie z udziałem przyjaciół i rodziny **Tadeusza Kijonki**. Jeden z najlepszych śląskich aktorów **Artur Świąś** przeczytał utwory z tomu „Wiersze wigilijne”, opublikowanego przez Wydawnictwo Naukowe „Śląsk”. Tadeusz Kijonka, zmarły w 2017 roku, mówił o sobie, że jest „Ślązakiem z Radlina i Polakiem ze Śląska”. Był także cenionym krytykiem literackim i teatralnym, wieloletnim kierownikiem literackim Opery Śląskiej w Bytomiu (od 1967 do 2013 roku!) oraz społecznikiem. Założył w 1992 roku Górnośląskie Towarzystwo Literackie i był jego prezesem, a także redaktorem naczelnym miesięcznika społeczno-kulturalnego „Śląsk” (1995–2013). Jego dorobek poetycki obejmuje 14 tomów. Wydawnictwo Naukowe „Śląsk” opublikowało m.in. książkę krytycznoliteracką „Światy poetyckie Tadeusza Kijonki” pod redakcją dr Tadeusza Siernego i prof. Mariana Kisielea oraz kilka tomów wierszy. Profesor Kisiel napisał o nim: „Tadeusz Kijonka jest poetą trzech tematów: ziemi, pamięci i ciała. Właśnie w takiej kolejności, ona bowiem określa rodowodowy, kulturowy i egzystencjalny charakter jego liryki. Świadomość własnego miejsca, które rządzi się niepodległym rytmem biografii, które skazane jest na jedyną i niepodzielną kulturę – w poezji Kijonki manifestuje się od początku i stale. Poeta konsekwentnie zagłębia się w rodowód rodziny i narodu, w siebie, aby zrozumieć to, czego zrozumieć się nie da, jeśli nie zgodzi się człowiek na to wszystko, co jest faktem pamięci, faktem doświadczenia, faktem ziemi, na której się żyje, faktem ludzi wreszcie, zaludniających polski i śląski krajobraz”. Było dużo wzruszenia i wspomnień o wyjątkowym człowieku, którego przez całe życie działał dla Śląska.

W styczniu 2020 roku mieliśmy „Salon Sztuk” z **Martą Fox**, autorką ponad 50 książek. Podczas całego spotkania siedział obok niej Tadeusz Sierny, wciągany kilka razy do rozmowy. Marta Fox pracowała jako polonistka w liceum, bibliotekarka, dziennikarka, kierowniczką literacką w Teatrze Dzieci Zagłębia, opracowywała program artystyczny galerii Extravagance. Literaturą zajęła się, gdy miała 37 lat. Za debiutanckie opowiadanie „Gra” dostała prestiżowego Międzianego Amora, nagrodę dla najlep-

szego twórcy literatury miłosnej. Potem zaczęła pisać książki dla młodzieży, a krytycy nazwali ją „objawieniem polskiej powieści młodzieżowej”. Jest także mistrzynią literatury dla kobiet. Poezja Marty Fox była tłumaczona na języki: niemiecki, portugalski, hiszpański, angielski, francuski. Kilka jej powieści to bestsellery, wydawane od ponad 20 lat. Popularność zdobyły jej poetyckie modlitwy do św. Rity. Wydawnictwo „Śląsk” opublikowało jej książki: „Kobiety winne grzechu”, „Katowice nie wierzą łzom” i „Wariatka, która czyta”. Możemy przeczytać we wstępie: „[...] radość czytania wiąże się z pokorą, podziwem dla innych, wdzięcznością za to, że ktoś nazwał, co czuję, odkrył i moje światy, wiodł mnie na wyspy szczęśliwe, pomagał zrozumieć”. Mówiliśmy o fascynacji literaturą, a jeszcze piękniejsze jest to, gdy autorka – szczęśliwa, ponieważ jej książki są chętnie czytane i wydawane w tysiącach egzemplarzy – opowiada o odkrywaniu przez innych także „jej światów”. Marta Fox pisze książki, które młodzież czyta z entuzjazmem, ponieważ potrafi mówić o ważnych sprawach bez prudeirii: o seksie, hejcie, dojrzewaniu.

Szczególnie miłe dla mnie było spotkanie ze sławnym choreografem i reżyserem **Henrykiem Konwińskim** w lutym 2020 roku. Jest to jeden z najwybitniejszych artystów polskiego teatru. Współtworzył wielkie widowiska, spektakle baletowe, operowe, musicalowe i operetkowe, a także przedstawienia dramatyczne i offowe. Wojciech Kilar napisał o nim: „W sztuce Henryka Konwińskiego szczególnie cenię [...] zdolność do przekazywania najistotniejszych, skomplikowanych znaczeń w formach bogatych i wyrafinowanych, lecz w sposób prosty, bezpośredni i przekonujący”. Był gwiazdą baletu Teatru Wielkiego w Poznaniu, ale już w 1971 roku nawiązał kontakt z Operą Śląską w Bytomiu jako tancerz, a później także choreograf i reżyser. Podczas wieczoru odbyła się promocja opublikowanej przez Wydawnictwo Naukowe „Śląsk” książki Alana Misiewicza o gwiazdach Opery Śląskiej: „Heroiny! Rozmowy o operze, ludziach i życiu”. Pan Henryk opowiadał barwnie o swojej operowej pracy w Polsce, ale także za granicą. Współpracował między innymi z Baletem XX wieku Maurice’a Bejarta w Brukseli i Alicji Alonso na Kubie.

W marcu 2020 roku wybuchła pandemia koronawirusa, która sparaliżowała cały świat i nie mogliśmy się spotykać. Arystoteles powiedział, że człowiek jest istotą społeczną. Właśnie podczas takich spotkań, jakie udało nam się zorganizować przy współudziale zmarłego w listopadzie ubiegłego roku Tadeusza Siernego, odkrywaliśmy fascynujące rejony twórczości oraz wyobraźni i refleksji o świecie. Jesteśmy więc bogatsi o te piękne wspomnienia. ■



ŚLĄSKA
OJCZYŻNA
POLSZCZYŻNA

JAN MIODEK

Buncloki, bambry i wulce

Dobrze pamiętam z czasów powojennego tarnogórskiego dzieciństwa, że kilku moich kolegów miało przydomek *Bunclok* albo *Bonclok*. A dlaczego? – Ano pewnie dlatego, że byli wysoko podstrzyżeni – jakby dookoła garnka, a ceramiczny garnek z gliny kamionkowej był określany powszechnie właśnie mianem *buncloka* lub *boncloka*. Trzymało się w nim kiszoną kapustę, kiszony ogórek, kwaśne mleko (po śląsku *kiszkę*), smalec. Traktowano go też często jako ozdobę. Słowo *bunclok* pochodzi od *Bunzlau* – niemieckiej nazwy położonego nad Bobrem dolnośląskiego *Bolesławca*, który już w średniowieczu służył z produkcji wyrobów z gliny kamionkowej.

Nazwa tego bardzo starego miasta notowana jest już od XIII wieku: *Bolezlauez* (1201, 1228), *Bolezlawicz* (1243), w formie niemieckojęzycznej *Bunzlau* (1225) oraz zlatynizowanej *Boleslavia* (ok. 1300), *Bunzlavia* (1310, 1677).

Wariant *Bunzlau* z wygłosowym „-au”, podstawa słowotwórcza *buncloka* (*boncloka*), jest morfologicznym dowodem funkcjonowania wariantywnej, a może nawet pierwotnej postaci *Bolesław* (*Bolisslaw* 1404), nazwy pamiątkowej od imienia założyciela grodu *Bolesława Wysokiego* (już koło roku 1190). To przykład jakże typowej pary substytucyjnej polsko-niemieckiej *Bolesław* – *Bunzlau* takiej jak *Wrocław* – *Breslau*, *Oława* – *Ohlau*, *Szprotawa* – *Sprottau* czy *Ścinawa* – *Steinau*.

Kiedy więc współcześni mieszkańcy *Bolesławca* nazywają siebie *bolesławianami*, a nie *bolesławczanami* (wiem o tym doskonale, bo w mie-

ście tym prawie 55 lat temu brałem ślub i bardzo często je odwiedzam), wybierają w gruncie rzeczy wariant z punktu widzenia morfologiczno-histerycznojęzykowego bardziej uzasadniony.

Poszukajmy teraz innych wyrazów pospolitych, które pochodzą od nazw własnych. Zacznijmy od rzeczownika osobowego *bamber*. „Mały słownik gwary Górnego Śląska” z roku 2000 *Bożeny Cząstki-Szymon, Jerzego Ludwiga i Heleny Synowiec* definiuje go na str. 11 jako „chłopa, gospodarza”: *Na landówie my robiyli u bambra. Same bambry tam kiedyś miyszkały*. W „Uniwersalnym słowniku języka polskiego” z roku 2003 pod red. prof. Stanisława Dubisza, w tomie 1. na str. 187, hasło *bamber* wygląda następująco: 1. *pot., pogard.* „mieszkaniec wsi, zwłaszcza bogaty”, 2. *reg. pozn. a/* „osadnik niemiecki”, *b/* „chłop, bogaty gospodarz”, *c/* „człowiek nieokrzesany, prymitywny, prostak”.

Jak widzimy, zakres znaczeniowy tego słowa i jego odcienie stylistyczne są dość zróżnicowane, nie ulega natomiast wątpliwości, że pochodzi ono od nazwy miasta niemieckiego *Bamberg* położonego w Bawarii, w reencji Górna Frankonia, nad rzeką *Regnitz*, dopływem *Menu*. W roku 1121 biskup *Otton* z *Bambergu* rozpoczął misję chrystianizacyjną na Pomorzu Zachodnim i z *Bambergu* pochodzili koloniści osiedlający się głównie w Wielkopolsce. To oni są źródłem funkcjonujących w języku do dziś *bambrów*.

A kto to jest *wulc*? – „Mieszkaniec hotelu robotniczego”, jak informuje na str. 81 „Słownik gwary śląskiej” z roku

1996 *Ilony i Andrzeja Czajkowskich* oraz *Doroty i Andrzeja Klukowskich*. W obiegu komunikacyjnym były też warianty *wulcok*, *kaserniok* (z niem. *Kaserne* „koszary”), a sam hotel robotniczy zwano też z niemiecka *wulzhausenem*. Ja natomiast w swojej pamięci językowej przechowuję przede wszystkim *wulca* jako z gruntu pejoratywne określenie „kogoś, kto się zachował chamsko, prostacko”. *Ty wulcu, ten pieroński wulc, ale z niego wulc* to przykłady użycie owego słowa. A wszystko się zaczęło od *Wilhelma Wultza* – pomysłodawcy i założyciela hoteli robotniczych. To zatem jeszcze jeden przykład wzajemnego oddziaływania nazw własnych (łac. *nomina propria*) i wyrazów pospolitych (*nomina appellativa*).

A co to takiego *landówa* z przywołanego wyżej cytatu z „Małego słownika...”? – Pisał o niej *Kazimierz Kutz* w swojej książce z roku 1999 „*Klasy i ścinki. Mój alfabet filmowy i nie tylko*” – w rozdziale pt. „*Landjahr*”: „*My, dzieci powstańców bez volkslisty na Śląsku, nie mieliśmy prawa dalej się kształcić ani uczyć zawodu. Kiedy kończyło się szkołę – jak się wtedy mówiło – powszechną, a więc miało się czternaście lat, przychodziło z *Arbeitsamtu* zawiadomienie, że trzeba tego a tego dnia, o tej i tej godzinie zjawić się na dworcu w *Mysłowicach* na jednoroczny wyjazd do pracy w głąb *Rzeszy*. A więc na *landjahr*, czyli *landówę*” (s. 184).*

Niech kłamarą spinająca dzisiejszy odcinek będzie informacja, że *Kazimierz Kutz* pojechał na *landówę* do *Tillendorfu*, po wojnie *Tylino*wa, późniejszych *Bolesławic*, dziś – części... *Bolesławca*.

Westchnienie

– Nie spłonę cała! Nie spłonę! – krzyczała, rozpalona do białości, świeca.

– Nie krzycz, nie unos się płomieniem, bo upadniesz iskrą w wodę. – Przywoływał ją do porządku mosiężny świecznik, który już wiele przeżył, z niejednej świecy parafinę jadł i niejedną woskową piękność rozkochał.

– A ja właśnie będę krzyczeć, by wykrzyczeć moją niezgodę, mój sprzeciw! Bo ja się nie wypalę! Wcale a wcale!

– To krzycz, wrzeszcz, póki nie zmadrzejesz, mrok nauczy cię pokory i z twej jasnej wysmukłości pozostaną poszarzałe resztki, ociekające zastygłymi woskowymi łzami. – Próbowała jej przemówić do rozsądku zaklęta w mosiądzu Mądrość.

– Ty mnie chcesz pouczać? Masz czelność!? Taki zimny, zramolały dziad! Gdy ja jestem płonąca, niegasnąca i gorąca... Gotowa nawet na pożar... Miłości!!! Siedź cicho i pokrywaj się śnieżką!

– Trochę szacunku by się przydało, bo gdyby nie ja, to nie byłabyś w stanie nawet na chwilę zapłonąć...

– A czemuż to?

– Bo mogłabyś się jedynie turlać po posadzce, daremnie próbując olśnić mrok. A dzięki mnie stoisz z poniesioną głową jak drzewo i możesz słoneczkiem płomienia rozpraszać mrok.

– Aleś ty beczelny, stary, mosiężny dziadzie. Siedź lepiej cicho, bo gdyby nie ja, to by cię nawet nikt nie wymyślił!

Świecznik zamilkł. Zamknął się w sobie. I tylko głębokie westchnienie dobyło się z jego mosiężnej piersi. Tak ciężkie, że zdmuchnęło płomień zarozumiałej świecy, która zgasała przedwcześnie. Na zawsze. Na amen...

Zamiana

Spotkało się Zło z Dobrem.

– Może zamienilibyśmy się rolami? – zaproponowało Zło.

– Dobrze – odpowiedziało, ociągając się, Dobro – ale tylko na tydzień...

– Może być – zgodziło się łaskawie Zło.

Nie zwlekając, zamienili się duszyczkami: Zło przywdziało białą Dobra, a dobro odkryło się czarną Zła.

W poniedziałek, w szwaski poniedziałek, Dobre Zło spotkało się na daremnej terapii z anonimowymi alkoholikami, a Złe Dobro miało gościnny występ w kabarecie ze striptizem.

We wtorek Skruszone Zło wydawało posiłki bezdomnym w towarzystwie im. św. Brata Alberta, a Nienażarte Dobro, w nadmorskim kurorcie z palmami, konsumowało wykwiłtne posiłki z kawiozem i truflami przy dźwiękach hawajskich melodii i kiczowatym zachodzie słoneczka.

W środę Nawrócone Zło spędziło całą dobę w klasztornej celi w towarzystwie kruków, sępów, duchów i panicznego lęku, a Rozbestwione Dobro pojechało na ekskluzywną wycieczkę do miejsca, gdzie kasyna z morzem wina i ubaw po pachy.

W czwartek Społegliwe Zło zaszyło się nitką nawrócenia w mrocznym kościele, by się skupiać, kontemplować i wyciszać, a Rozrywkowe Dobro wzięło udział w elitarnym spotkaniu na plebani, pod roboczym hasłem *Hulaj dusza piekła nie ma, w koloratkach większa ściema!*

W piątek Sponiewierane Zło wzięło udział w nielegalnej manifestacji o legalne i należne dobro, która została rozpedzona armatkami wodnymi, gazem i jedyną słuszną, świętą (?) racją. W tym samym czasie Zdeprawowane Dobro brało udział w tajnym zebraniu aktywu partyjnego, przyznające sobie stanowiska, ordery i apanaże, ale tak żeby było prawie (i) sprawiedliwie.

W sobotę Miłosierne Zło harowało w hospicjum, a Rozpastne Dobro zabawiało się w burdelu.

W niedzielę, po całym tygodniu aktywności, padające ze zmęczenia Zło zapadło w krótkie sny podczas czterdziestoosmiogodzinnego dyżuru, w kombinezonie, rękawicach, ma-

sce i przyłbicy. Zblazowane Dobro relaksowało się na łonie... najnowszej miss, przed relaksującą odnową (tylko nie moralną!) w saunie...

Po tygodniu, zgodnie z umową, spotkali się, by wrócić do swoich poprzednich wcieleń.

– Powiem ci, że wynudziłem się za wszystkie czasy, ale jednocześnie jestem piekielnie zmęczony – zwierzyło się Dobre Zło.

– A ja wręcz przeciwnie! Nie wiedziałem nawet, że tak przyjemnie można spędzić czas! – zachwycało się Złe Dobro – ile ja lat straciłem! To wprost nie do nadrobienia.

– Dobra, dobra, oddawaj mi moją złą duszyczkę, bym znowu poczuł się dobrze, to znaczy chciałem powiedzieć: źle!

Złe Dobro zaczęło się ociągać, przestępować z nogi na nogę, coś kręcić, by wreszcie wydukać:

– A może by tak... Może dałoby się...

– Nie gładź tyle! Oddawaj mi moją czarną duszyczkę, bo tą twoją, nieskazitelną białą, aż mi się odbija! Tu masz swoją nieskazitelną – zadrwił wprost w oczy Dobremu Złu – i wypluł z obrzydzeniem białą duszyczkę Dobra.

– Ja jej nie chcę! Wrzuć ją do śmietnika! – zaskomliło Dobro – a twoją czarną duszyczką podzielmy się na pół, już stawię ci pół litra – zaproponowało ciemniejące Dobro.

– Noo... Dobrze, a raczej źle – zgodziło się wspaniałomyślnie Zło.

I w zgodnej komitywie, już dwa Zła w parze, pakuły się beztrudnie w zepsuty świat... A bieluszka duszyczka pleśniała i kwiliła dogorywając na śmietniku.

Sen

Pies leniwie wylegiwał się przed budą. Przywiązany już tylko do budy, nie do łańcucha, który, na szczęście, odszedł w niepamięć i zawisł na gałęzi wiekowej gruszy, by rdzewieć dostojnie. Kiedy wiał halny, dzwonił zębami ogniw już nie na trwogę, a na smutne wspomnienia. Ale buda została. Na swoim miejscu.

Ona beze mnie już nie może żyć – pomyślał rozleniwiony pies i zapadł w głęboki, jak stojąca obok ocembrowana studnia, sen. A psie sny, podobnie jak ludzkie, są kolorowe.

Skąd o tym wiem? Bo śniło mi się kiedyś, że jestem psem. I ten pies z mego snu zasnął – w tym moim śnie – i śniło mu się kolorowo, że jest psim aniołem stróżem, a szczekające anioły też mają kolorowe sny. Skąd o tym wiem? Przecież nie miało być o snach, a o psie i budzie!

Buda stała w ogrodzie. Wpatrywała się oczami sęków i wielkim okiem cyklopa okrągłego wejścia tylko w jedną stronę – na wschód. A na wschodzie rodzi się słońce, rączkuje i wstaje, by wspinać się po szczeblach niewidzialnej drabiny wyżej, coraz wyżej, może w siódme niebo, gdzie już nie sięga wzrok. Za to przed budą pojawia się cień. Coraz dłuższy i dłuższy, aż przemienia się w noc, która wyje za snem. Kolorowym. A pies czuwa, nasłuchuje jak lipowe ściany budy, które też mają uszy.

Buda przyzwyczała się do psa, pies do budy. Już dziś nawet nie wiadomo, kto do kogo bardziej i co było pierwsze – buda czy pies, pies czy buda? Jedno wszakże rzucało się w oczy już przy pierwszym spojrzeniu: byli sobie potrzebni, nierozłączni i uzupełniający się idealnie. Pies ogrzewał budę psią wiernością i sierścią, a buda chroniła psa przed chłodem. Pies miał pchły, buda korniki.

Więc nie dziw, że gdy pies zapadł w wieczny sen, buda rozpadła się na spróchniałe deski, choć może to buda wpiers się rozspayała i na ten widok pies zawył i zasnął? Nie wiem, ani nie próbuję tego dociec. To mi niepotrzebne, gdy sam jestem sobie budą i psem; psem i budą, senną jawną, jawnym snem...

Lustro

Był szary dzień. Szary jak kapeluszyk na głowie Szarego Człowieka. Popielaty jak prochowiec Szarego Człowieka, który

nie rzucał się w oczy ani nikomu na szyję. Wtopił się w szarą mgłę, w pospolitość powszedniego dnia.

Obok Szarego Człowieka szedł Kolorowy Człowiek. W żółtej marynarce, niebieskiej koszuli, czerwonych spodniach, dwukolorowych trzewikach i filuternym, wielobarwnym kapelusiku – podobno z Włoch, choć tak naprawdę kupionym za grosze na bazarze w Skoczowie.

Szary Człowiek szarymi oczami przyglądał się dookolnemu światu: rozedrganym słoneczkom sikor bogatek w krzewie dzikiej róży; wróblom, rozćwierkanym tańcem na różańcu purpurowych głogów; wiewiórce, przeskakującej rudawym płomykiem z gałęzi leszczyny na konar orzecha włoskiego... I uśmiechał się, uśmiechał... Szary Człowiek do swoich myśli i całego świata – serdecznie i kolorowo.

Kolorowy Człowiek przyglądał się – w przeciwieństwie do Szarego Człowieka – tylko sobie. I krzyczał, najgłośniejszym jak potrafił:

– Patrzcie, jaki jestem piękny! Jaki kolorowy! Jaki niezwykły! Jaki wyjątkowy! Jaki...

Potok słów, pełnych samouwielenia, wylewał się wrzącą lawą z niezamykających się ust:

– Podziwiajcie mnie! Jestem taki mądry! Taki utalentowany! Tylko ja jestem godny zachwyty, uwielbień, orderów! Tylko mnie nosić na rękach! Bić przede mną pokłony! Słać mi kwiaty u stóp! – darł się na całą okolicę... Tylko ON, z NIM, o NIM, dla NIEGO, bo jego ego dopominało się słusznych zaszczytów, profitów, okadzeń – wszak tylko ON był najważniejszym pępkiem świata, nawet kosmosu – wszechświata całego, nawet tego, do którego JEGO głos dotrze za miliardy lat świetlnych!

Robił koło siebie tyle szumu, że hałny ucichł zdumiony, ustępując mu miejsca; tyle wrzawy, że zagłuszył śpiew natury, nawet anielskie chóry ścichły i schowały się w najodleglejszych zakątkach nieba!

Choć tak naprawdę to Szary Człowiek był kolorowy, jak egzotyczne ptaki, czy ryby z Wielkiej Rify Koralowej; jak wspomnienie raju przed popełnieniem grzechu pychy. Nie wszyscy jednak, raczej niewielu, dostrzegało w jego szarych oczach tęczość, z którą wędrował przez świat. Szary Człowiek nie na-

rzucał swojej cichej obecności zabiegany bliźnim. Nie narzucał też zyczliwości, którą sycili się potrzebujący rozpaczliwie pomocy, gdy tylko dostrzegali Szarego Człowieka, rozpalającego dobrocią, jak okrucieństwem słońca, blednące w smutek serca.

Gdy kolorowy, hałaśliwy, nachalny i bezczelny Człowiek wracał, po rozwrzeszczanym dniu do domu, rzucał odpustowe ubrania oraz dwukolorowe buty w ką, niby włoski kapelusik odkładał na wieszak, zaś obok wieszak zwiotczała, pomarszczoną skórę, którą przywdziewał codziennie rano, by omamiać świat i udawać, udawać, udawać... Później jeszcze tylko zerkał w lustro, z którego spoglądało mu pusto w oczy bezbarwne, bezduszne i spopieliałe odbicie, niemogące zasnąć, trawione nienasyconymi pragnieniami i nadgryzane termitami chorej ambicji...

W tym samym czasie Szary Człowiek, szary szarością powstająca z najczystszych barw, jaśniał, by oświetlać kręte ścieżki bliźnich, prostując je – tak po ludzku i po Bosku, na prawdę, nie na fałsz...

Akupunktura

– Wierzysz w miłość? – zapytał oset róży.

– Nie wierzę – odpowiedziała róża.

– Ty nie wierzysz? Wierzyć mi się nie chce... Ty, taka piękna – zdziwił się chwast, który nie wiadomo jakim sposobem znalazł się w towarzystwie pąsowej piękności.

– Co ma uroda wspólnego z miłością? – odburknęła za rozumiała.

– No bo w tobie kocha się każdy: tulipan i bratek, miłek wiosenny i mniszek lekarski, tulipan i bratek i nawet..., i nawet... ja... – wyszeptał zawstydzony i gdyby tylko mógł, zarumieniłby się od pączka po korzeń.

– Cha, cha, cha... Ty? – zachichotała z pogardą róża, jednak po chwili spoważniała:

– Niby wszyscy mnie kochają, ale tylko tak na niby. Nie całą mnie, a tylko moją świeżość, mój kolor, kształt i zapach... Zaślepieni nie zauważają moich kolców, mojego wnętrza, a nawet... mszyc, które mnie obsiadły i gryzą jak najęte.

– Niektórzy zauważają, ale ty ich nie zauważasz – westchnął oset i wtulił się w swoją samotność.



for. Tomasz Bronek

Czas robił swoje. Mijał. A z nim przemijało życie. Róża przekwitła, zwiędła, utraciła kształt i zapach. Jej kolorowe płatki poszarzały, skurczyły się i opadły.

– Widzisz? – zapytała kolczastego wielbiciela, który jako dyndy wpatrywał się w nią tak samo jak wtedy, gdy była młoda i piękna.

– Co? – zdumiał się oset.

– Że teraz już nikt nie patrzy na mnie z pożądaniem, nie chce mnie posiąść, zerwać, czy chociażby tylko przytulić, być ze mną – skarżyła się, a po listkach spływały jej krople. Czy to była rosa, czy też łzy?

– Ja chcę – wyszeptał – bo cię kochałem i Kocham naprawdę.

Piękna niegdyś roślina zawstydziła się. Choć pozostały z niej tylko liście i kolce, zielone serce biło nadzieją, tłocząc krew soków z czekaniem na miłość. Dopiero teraz przyjrzała się wnikliwie ostowi i dostrzegła w nim miłość oraz wierność. Bez zbędnych słów rzuciła mu się na łodygę, a oset wtulił się szczęśliwy w jej kolce, które już nie kłuły, a stały się kochającą akupunkturą...

Cicha noc

W wigilijną noc pies przemówił kocim głosem, zaś kot psim. Ja, w równie cudowny sposób, posiadałem dar rozumienia zwierzęcych języków. Czworonogi, nieświadome tego, że je podслушują, rozmawiały:

– Ja cię chyba nigdy nie zrozumieć – zaczęła kotka.

– Ty mnie? Dlaczego? – zdziwił się pies.

– Jak ty możesz być takim lizusem! Przymilać się panu, merdać ogonem jakbyś miał nerwicę, lizać go po rękach, czy cieszyć się jak głupi na jego widok! Brrr, aż mi niedobrze, gdy tak na ciebie patrzę – kotka nie kryła oburzenia, nawet obrzydzenia! A choć była trzy razy mniejsza od wilczura, spoglądała na niego z... wysoka!

– Nie rozumiem cię – zdenerwował się pies – O co ci chodzi? Przecież to mój pan, który mnie karmi, wyprowadza na spacer, a nawet się ze mną bawi! – był wyraźnie zbulwersowany.

– Miał... Miał... – drwiła kotka – i rozkazuje ci, byś po dał mu łapę, na jego skinienie stawał na tylnych kończynach, siadał, czołgał się jak jakiś półgłówek, czy przynosił mu patyk, który odrzucił byle dalej. Bawi się twoim koszem, a ty musisz go słuchać, bo jak nie, grozi ci, zastrasza, terroryzuje... Mrrrr, aż mi się niedobrze robi, gdy obserwuję cię z góry, siedząc na regale – zde gustowanej kotce zabrakło słów, więc tylko prychnęła zniesmaczona.

– No i co w tym dziwnego? Jest moim panem, to ja jestem jego...

– ...niewolnikiem! – dokończyła kotka – i tak przywykłeś do tej niewoli, że nawet sobie nie zdajesz sprawy, jak jesteś żaloszny – powiedziała z nieskrywaną pogardą.

– A, a ty kim jesteś? – zapytał niepewnie pies.

– Jak to kim? Sobą, czyli wolną i niezależną kotką! Jak chcę, to się wyleguję, jak chcę, to się zabawiam myszami, a jak mi przyjdzie ochota, ale tylko wtedy (!), wyskakuję na kolana człowieka, mruczę mu kołysankę, a czasem nawet chwilę się prześpię... Wiesz, jaki jest szczęśliwy i jak się cieszy, naiwniaczek. Ale nie będzie mi rozkazywał, przymuszał do wygłupów czy ślepej posłuszności. Co to, to nie! Trzeba mieć własną godność i dumę! A nie lizać mu łapę i ślinić się... Ja jestem artystką! – stwierdziła autorytatywnie, dumnie podnosząc łebek i zadzierając puszysty ogon.

Nastała chwila krępującej ciszy, którą przerwał zamyślny wilczur:

– To ja już teraz wiem, dlaczego politycy nie lubią artystów... Bo to koty w ludzkiej skórze...

– Za to lubią pieskich ludzi z duszami niewolników, przytakiwaczy, przyklaskiwaczy, mówiąc ordynarnie – przydupasów! – spointowała kotka.

– Jaka szkoda, że nie jestem kotem – zaskomliło z zazdrości psisko i położyło się u stóp pana, który po wigilii popijał czer-

wone wino. Kotka dostojnym krokiem zanurzyła się w świąteczną, pełną tajemnic, bożonarodzeniową noc...

Podслушując nasze zwierzątka, czułem się niekomfortowo, jak kapuś, nagrywający w restauracji polityków, więc tylko zrobiłem koci grzbiet, zwinąłem się w kłębek i zasnąłem...

Tułaczka

Jak dobrze, że mgła okryła wszystko: pnie po ściętych drzewach, ptasie gniazda, które z bólem spadały na ziemię, ślady krwi po zastrzelonych sarnach i buciarach nieludzkich i niezwręczących myśliwych.

Jak dobrze, że nie widać tego, co przeraża: poranionej i umierającej ziemi, która, otulona bandażem mgły, próbuje się nadaremnie leczyć.

I mnie omotała ta mgła, bym nie widział zranionego serca, zaciśniętych warg, wypłakanych oczu, a tylko duszyczkę białą, otuloną czasem.

Myśli zanurzone w białym całunnie wolniej płyną. Przystają zapatrzone same w siebie i wędrują do źródła – skąd wypłynęły przed laty w niewiadomą wędrowną drogą i bezdrożach; po światach i zaświatach; w chłodzie i głodzie, ale i w przeblaskach słońca.

Zamglone oczy, zapatrzone w mgłę, widzą więcej. Serce otulone watą zgody na przemijanie bije spokojniej, choć niespełnionej miłości nawet mgła nie przesłoni, czas nie uspokoi.

Tułam się po omacku, zawieszony w bieli. Gdzieś daleko, a może już blisko, moja przystań. Gdzieś wysoko, a może nisko, schowane słońce – na lepszy czas. A dokoła, czuję, nie widzę, bliźniacy ludzie – też rzuceni na pastwę czasu, cierpienie i tęsknot, czekających na przyjęcie... samych siebie...

Nagle powiał halny. Rozwiał mgłę. Wskrzesał martwe liście ożywionych drzew, które stanęły na własnych pniach. Zaszczębiały ptaki w odbudowanych gniazdach. Zastrzelone sarny wychleptały przelaną niewinną krew i zachłysłęły się wolnością. Myśliwym pordezwiąły strzelby.

Lepszy świat przygląda się sobie.

I tylko serce dalej krwawi coraz czerwienią krwią...

Intruz

Znowu przyfrunął. Przysiadł cichutko na oknie. Patrzy mi prosto w oczy i w serce. Milczy, jakby się bał powiedzieć, co myśli, co czuje, czego chce i ile w nim niewypowiedzianych słów, niewypłakanych łez, ile tajemnic...

Ciągle patrzy. Nie spuszcza ze mnie wzroku, jakby się bał, że wstanę i odejdę. Zostanie sam. Chyba też boi się samotności. Jak każdy. Gdy nie ma z kim zamienić słów, by oszukać czas; wymienić myśli na lepsze, przeczekać razem do łaskawszego czasu...

Jakby mu było mnie za mało, sfrunął z parapetu na biurko. Usiadł przy zapalonej świecy, która płonie, jak jego oczy. Tak przejmująco i gorąco. Ale on zimnym przeszywa, jakby zazdrościł świecy płomienia, płomieniowi siły, spalającej wszystko na popiół. Tuli się do roztańczonego ognika. Może po to, by przegonić ciemność? Rozjaśnić myśli?

Nie spuszcza ze mnie wzroku. Nawet nie mruga. Chyba się boi, że mógłby uronić choć chwilkę. Drży jak płomień poruszony oddechem.

Jesteśmy w trójkę: on, świeca i ja. Dziwna, choć najpowszejdniejsza, trójca. On nie może się obejść bez mnie, ja chciałbym być bez niego, lecz nadaremne moje chciejstwo. Przyczepił się jak kleszcz, czy przemijanie życia. A świeca przygląda się nam obojętnie i jest jej wszystko jedno, byle tylko płomień nie zgasł, knot nie spopiełał.

Świeca się uśmiecha ciepłym światłem, a on płacze rzewnymi łzami, w których niespełnienia, krzywdy, upokorzenia, odrzucenia, niesprawiedliwości... To dziwne, że w krystalicznie czystych łzach może zmieścić się aż tyle.

Świeca przygasa, czas upływa. A mój smutek, ociągając się, wspiął się z biurka na parapet i odrunął, rozpluwając się w błękitnie nieba. Próbuję się uśmiechać...

„Modne bzdury”

KRZYSZTOF ŁĘCKI

„Modne bzdury” to tytuł głośnej książki Jeana Bricmonta i Alana Davida Sokala o specyficznym oryginalnych koncepcjach postmodernistycznych humanistów. Ale zostawiam dzisiaj na boku Akademię, dla opisu konsekwencji ezoterycznych teorii zapożyczam od Bricmonta i Sokala tytuł tego felietonu.

I

W połowie lat sześćdziesiątych ubiegłego wieku byłem, na ile pamiętam, zupełnie niewinnym, ufnym w porządek świata dziecięcym. I wtedy na katowickim Burowcu w kinie „Hutnik” oglądałem swój pierwszy film na wielkim ekranie. Był to „Skarb w Srebrnym Jeziorze” według powieści Karola Maya. A potem zobaczyłem wszystkie inne filmy o przygodach wodza Apaczów Winnetou i jego przyjaciół, takich „błędnych twarzy” jak Old Shatterhand, Old Surehand czy Old Firehand. Te – wydawało mi się wówczas wspaniałe – filmy opowiadały, takie odnosiłem przynajmniej wówczas wrażenie, o przyjaźni, poświęceniu, wierności zasadom, walce o sprawiedliwość. Tak, fascynacja zmyślonymi przez Maya dziejami Dzikiego Zachodu musiała być w moim, ale przecież nie tylko moim przypadku, naprawdę bardzo silna. Pamiętam jak, mniej więcej w tym samym czasie, na którymś ze straganów na szopienickim odpuście przy kapliczce pod wezwaniem Matki Boskiej Nieustającej Pomocy wypatrzyłem zdjęcie moich bohaterów Winnetou (którego grał Pierre Brice) i Old Shatterhanda (granego przez Lexa Barkera). Wysuplałem drżącą ręką bodaj 2 złote i już za chwilę stałem się szczęśliwym posiadaczem kultowej fotografii... Roześmiany, ucieszony wymarzoną zdobyczą malec... Zaznaczam – nie chciałbym go za ten entuzjazm winić, wtedy wszak wszyscy wydawali się ślepi na fatalne konsekwencje takiej filmowej socjalizacji najmłodszych.

II

Ale jednak – aż dziw bierze – jakiś byłem wówczas nieświadomy całego kulturowego podtekstu tych przemycających rasowe uprzedzenia najmłodszym widzom filmów! Diabeł tkwi tu – jak w wielu innych przypadkach – w szczegółach. Winnetou i Old Shatterhand – przyjaciele? Nawet na zakupionym na odpuście zdjęciu jeden z moich bohaterów stoi nieco wyżej. Czy aby przypadkiem (?) nie był to

Lex Barker, czyli Old Shatterhand? Jeśli tak, to ta dominująca poza przypadkiem na pewno nie była. Być może jakiś specjalista z zakresu socjologii wizualnej powinien przeanalizować to i zinterpretować precyzyjnie. Gdyby zaś akurat się zdarzyło, że to Winnetou stałby wyżej, to znajdzie się pewnie jakąś interpretacyjną matrycę, która i w tym dostrzeże dyskryminację rdzennych mieszkańców Ameryki. Albo płynnie przejdzie się do innego zdjęcia czy fragmentu filmów z Winnetou, gdzie o posądzenie twórców o rasizm będzie jeszcze prostsze, a tym bardziej będzie proste, im rasizm będzie bardziej ukryty, dla prostodusznego tłumu widzów.

III

Właśnie – widzów. Idzie o współczesnych widzów nowych filmów o Winnetou. Latem zeszłego roku trafił na ekrany niemieckich kin film „Młody Winnetou”. Towarzyszyła mu publikacja książeczek dla najmłodszych. I... U naszych zachodnich sąsiadów rozpętała się burza. Pod wpływem awantury na Instagramie ich wydawca (firma Ravensburger) wycofał publikacje ze sprzedaży. O co szło w tej internetowej awanturze? Zarzucono wydawnictwu rasizm, i kolonialistyczny sposób przedstawienia rdzennych mieszkańców Ameryki oraz »zawłaszczenie kulturowe«. Użycie słowa »Indianin« uznano za dyskryminujące, trzeba mówić o »rdzennych mieszkańcach«, itd. itp. Decyzja niemieckiego wydawcy rozpoczęła kolejny etap afery, w którym m.in. premier Bawarii Markus Söder odważył się przekonywać, że „Winnetou i Old Shatterhand byli idolami całych pokoleń. Wydawcy książek i stacje telewizyjne nie powinni zakazywać »Winnetou« z obawy przed krytyką ze strony pojedynczych ludzi”. Jakież to zdroworozsądkowe, nieprawdaż?

IV

I tu muszę przyznać, iż o wiele większą wrażliwością społeczną niż premier Bawarii odznaczył się jeden z moich fejsbukowych znajomych. Przyznając się odważnie, że książki z „Winnetou” były jego ulubionymi książkami z lat młodszych, równie odważnie zauważył, że „mogą one nasuwać rasistowskie skojarzenia”. Zaś na uwagę pewnego fejsbukowicza, że „Winnetou, tak zresztą jak i jego przyjaciel Old Surehand czy Shatterhand, był bardzo pozytywnym bohaterem. Ra-

zem uczyli młodych ludzi przyjaźni i tolerancji”, poradził swemu interlokutorowi, by całą sprawę przemyślał. Tu wtrąciłem się ja i zasugerowałem odważnemu, byłemu już, jak się okazuje, wielbicielowi Winnetou, by po prostu zaczął myśleć. Ale po dłuższej chwili zrezygnowałem, uznając, że jest rodzaj porad, które są po prostu dla adresatów okrutne. I przeprosiłem: „przepraszam, oczywiście – przepraszam, apel »proszę myśleć« nie mógł być skierowany do pana. Raz jeszcze – przepraszam”. Ekswielbiciel Winnetou, który na starość przejrzał na oczy odpowiedział rezolutnie – „Oczywiście, że nie mógł!”. No i jak się z kimś takim nie zgodzić...

V

Podsumowując na serio – także dla tych, którzy uważają, że ironia i sarkazm nie są najważniejszymi środkami w demaskowaniu bezdennej ludzkiej głupoty. Filmy z „Winnetou” nie mają rzecz jasna nic wspólnego z rasizmem. Przeciwnie, opowiadają historię jednej z najpiękniejszych przyjaźni pomiędzy ludźmi różnych ras, którzy stają się nawet „braćmi krwi”. Zaś w finale filmowej serii o przygodach wodza Apaczów, jeden z przyjaciół oddaje życie za drugiego. Są w obrazach z „Winnetou” wspaniali ludzie różnych ras i są też męty każdego koloru skóry. Kiedyś Umberto Eco napisał felietonik wykiwający postać „Indianina z westernu”, któremu w satyrycznej formie przypisał wszystkie możliwe wady i usterki. No cóż, akurat saga o szlachetnym i mądrym Winnetou proponuje zupełnie inny wizerunek „rdzennego mieszkańca Ameryki”. I jeszcze – tytuł popularnej w czasach mojego dzieciństwa książki dla dzieci i młodzieży autorstwa Wiktora Woroszyńskiego „I ty zostaniesz Indianinem” nie był kiedyś groźbą, ale obietnicą.

VI

W grudniu 2019 w mieszczącej się w budynku Wydziału Nauk Społecznych księgarni „Liber” prof. Ryszard Koziołek podarował mi swój zbiór szkiców „Wiele tytułów” z dedykacją: „Krzysztofowi – ostatniej nadziei humanistycznej niezgody na bzdury – uczone i każde”. No cóż, postaram się, w miarę możliwości, także w tych felietonach, nie zawieść nadziei, jaką, jak rozumiem, wiąże ze mną Magnificencja w kwestii tropienia bzdur. Każdych bzdur. Zwłaszcza modnych.

Czy książka może zabijać? Raz jeszcze o tzw. „księdze gończej” z 1939 (Sonderfahndungsbuch Polen)

JAN MALICKI

Gdy 4 listopada 1997 roku nadeszła oferta kupna tzw. księgi gończej (Sonderfahndungsbuch Polen) ani przez moment się nie wahałem. Zwłaszcza, że w pełni poparła mnie Komisja Zakupów Materiałów Bibliotecznych kierowana przez Magdalenę Skórę. Dwa tygodnie później księga była już własnością Biblioteki Śląskiej. Zastąpiła ona udostępniany przez lata, sfatygowany mikrofilm, który przechowywaliśmy z wielkim pietyzmem. Dodam od razu, że mikrofilm różni się od wersji księgi, którą chcieliśmy wówczas kupić. I to nie tylko dopisywanymi w oryginalnym dokumencie nazwiskami kolejnych ofiar. Zakupiona przez nas drukowana księga już sama w sobie jest rzadkością. Jedną z trzech znanych i zachowanych. Ba, nie ma jej w żadnej niemieckiej bibliotece. A gdy już była u nas dostępna, stała się wielką sensacją. Wia-

domość o zakupie księgi gończej wzbudziła też ogromne zainteresowanie w kraju i poza naszymi granicami. Stała się tematem jednej z międzynarodowych konferencji naukowych. Na tym forum przedstawiał ją prof. Wacław Długoborski. Dla mnie jednak była ona czymś więcej, niż tylko „białym krukiem”.

Dzieje tej księgi znałem już wcześniej z artykułu jej odkrywcy, a mojego poprzednika, prof. Andrzeja Szefera, który korzystał jednak z mikrofilmu przechowywanego w naszej bibliotece. Profesor był w ogóle pierwszym autorem rozprawy naukowej na jej temat, a zatytułowana: *Jak powstawała niemiecka specjalna księga gończa Sonderfahndungsbuch Polen*, która ukazała się w „Zaraniu Śląskim” w 1983 roku. To ważny i ciekawy tekst choć napisany – zdawać by się mogło – beznamiętnie, choć z wyraźnymi ak-

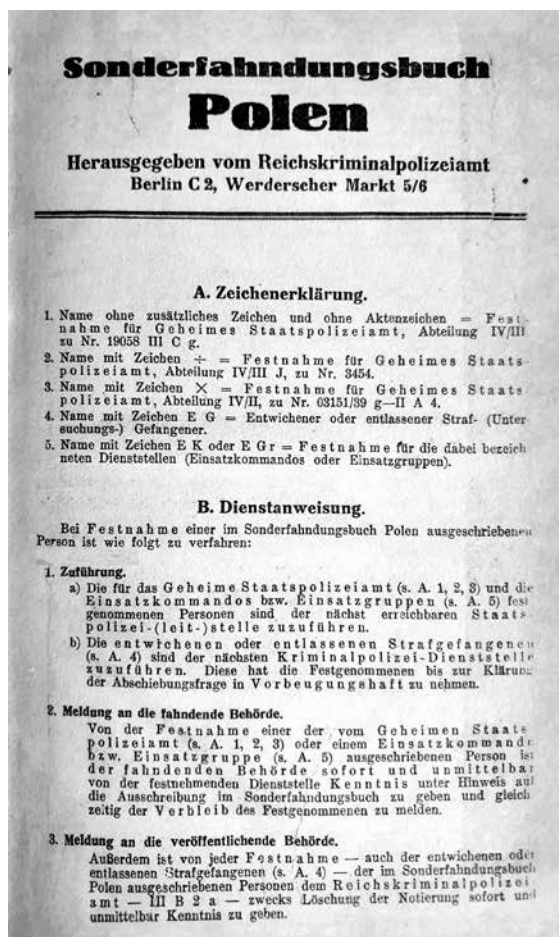
centami odautorskich preferencji. A jednak w pełni obiektywny. Rodzaj naukowej refleksji nad źródłami (bo cytuje ich kilka), dopełniającymi wiedzę o tragedii czasów drugiej wojny światowej, ale – już tylko dla mnie – stanowiący swoisty komentarz do czytanej przeze mnie od 1960 roku książki Pawła Dubiela: *Wrzesień 1939 na Śląsku* i – już znacznie później – ogromnej *Listy strat kultury polskiej* sporządzonej przez prof. Bolesława Olszewicza, obejmującej okres od 1 września 1939 po 1 marca 1946. Dzieło to opublikowano wreszcie w roku następnym. Brakowało mi jednak „konkretów poprzedzających” Wrzesień. Stąd moja, nie tylko urzędowa, chęć posiadania owego dokumentu.

Bo też jest to tekst, w swojej prostocie i oszczędności w słowach, porażający, wstrząsający, odsłaniający okrutny mechanizm zagłady. Od ukrywanych państwowych decyzji politycznych, poprzez polecenie tworzenia list niepożądanych osób, sporządza-

nie i gromadzenie list proskrypcyjnych, ich wykorzystanie przez służby policyjne na pięć różnych sposobów, jak w księdze gończej, po ostateczne unicestwienie przeciwników. Przerazający w swej istocie, powtarzany się przez stulecia rytm człowieczego, bezgranicznego okrucieństwa. A przy tym zaledwie mały trybik wielkich młynów historii.

Geneza jej powstania, pisze prof. Andrzej Szefer, łączy się nierozdzielnie z ostatnią fazą przygotowań do wojny, kiedy to 23 maja 1939 roku w kancelarii Rzeszy odbyła się konferencja, na której Hitler mówił: „o konieczności stworzenia większej »prze-strzeni życiowej« dla osiemdziesięcioletniego narodu niemieckiego. »Polska nie jest dodatkowym wrogiem – powiedział on. – Polska zawsze stać będzie po stronie naszych przeciwników [...] Gdańsk nie jest obiektem, o który chodzi. Chodzi o rozszerzenie przestrzeni życiowej na wschodzie i zabezpieczenie dostaw żywności [...] Nie może być mowy o oszczędzaniu Polski i pozostaje decyzja: zaatakować Polskę przy pierwszej dogodnej sposobności” (za: A. Szefer, s. 214). A tak na marginesie. Zdziwiający był zbieg okoliczności. Jedynym polskim dziennikarzem, któremu Hitler udzielił wywiadu był Kazimierz Smogorzewski, który z czasem też znalazł się na liście proskrypcyjnej Polaków w Wielkiej Brytanii. Ale w wypowiedzi führera zaskoczyło mnie jeszcze coś innego. To trwałość niemieckich postulatów; od czasu pierwszej z wojen światowych, po koniec lat trzydziestych XX stulecia. Takich, jak: budowa linii kolejowych wyłącznie pod nadzorem Niemców i będących wyłącznie ich własnością. Linii, prowadzących w głąb Polski, i dalej do Rosji. Następnie – przesunięcie proponowanych granic niemal pod Częstochowę, by cały przemysł, wraz z zapleczem surowcowym, znalazł się w jednym ręku; wreszcie zorganizowanie zabezpieczenia aprowizacyjnego Niemiec na Lubelszczyźnie (słynne lubelskie świnie) i na Ukrainie (zboże). Czyżby dalekie echo *Memoriału poufnego przemysłowców śląskich* z roku 1916, skierowanego do kanclerza Rzeszy Teobalda von Bethmanna-Hollwega?

Konsekwencje owej kanclerskiej konferencji były jednak o wiele groźniejsze. Padły wówczas zalecenia, które po



22 sierpnia staną się rozkazami załaty obywateli innego, sąsiedniego państwa oraz rozkazem dla niemieckich służb konsularnych, obejmujący warszawską ambasadę, konsulaty generalne w Katowicach, Poznaniu, Łodzi i Toruniu; organizacje np. Volksbund, czy mającą swoją siedzibę w Bielsku – Jungdeutsche Partei. To zaplecze wykonywanych rozkazów z Berlina. 12 czerwca 1939 roku – pisze Andrzej Szefer – w berlińskim Gestapo powstaje pomysł stworzenia księgi gończej. Po sześciu dniach trafia on do kilku ministerstw, w tym spraw zagranicznych i niemieckiej służby konsularnej w Polsce. Jednak tę haniebną pracę wykonywali w praktyce zorganizowani lub nie ludzie mieszkający na zachodnich i północnych terenach naszego kraju o przekonaniach proniemieckich. Z jakich powodów? Trzeba też pamiętać, że spisy nie – sympatyków Niemiec powstawały przeważnie na pogranicznych obszarach już wcześniej. Choćby w Zabrzu czy Mikołowie.

4 lipca 1939 roku Niemiecki Konsulat Generalny w Katowicach podejmuje pracę nad organizacją „akcji gromadzenia nazwisk do specjalnej księgi gończej” (s. 228). Tą drogą owe spisy wędrowały do berlińskiego Gestapo. Akcją zakończono 18 sierpnia tegoż roku. Zatrważające były rezultaty przedsięwzięcia. Na listach ogólnopolskich znalazło się ponad 8 700 osób (Grzegorz Bębniak mówi o blisko 8 800), w tym aż 1000 ze Śląska. Najwięcej z Katowic (352) i Chorzowa (148), dalej z Rybnika, Tarnowskich Gór, Lublińca, Rudy Śląskiej, Cieszyna i Zaolzia. Lecz nie liczby są tu najważniejsze. Za nimi wszak stały nazwiska osób, które będąc Polakami nie kryły swoich krytycznych poglądów wobec Niemiec. To kryterium podstawowe. Drugie – na zewnątrz dostrzegana i powszechnie akceptowana w swoim środowisku aktywność społeczna lub zawodowa. Wreszcie trzecie – autorytet, przynależność do ówczesnej elity społecznej. Są więc – przywołajmy jedynie z zestawienia sporządzonego przez Andrzeja Szefera – niektóre przykłady z owej długiej listy nazwisk. Pamiętajmy jednak, że wszyscy umieszczeni na niej ludzie zasługują na godną pamięć i szacunek. Wszyscy. Są wśród nich:

- działacze społeczni i polityczni: Jan Ludyna-Laskowski i Jan Wyględa aktywni w czasach powstań i plebiscytu; Bogusław Miedziński – marszałek senatu i redaktor naczelny „Gazety Polskiej”; dr Wiktor Nechaj – dyrektor Muzeum; jego nazwisko znajduje się na liście katyńskiej;
- przedstawiciele administracji: marszałek Konstanty Wolny; wicewojewodowie – Leon Malhomme i Tadeusz Saloni; wojewodowie pomorski Władysław Raczkiewicz z czasem prezydent RP w Londynie, i łucki – Nowak-Hauke.
- burmistrzowie, prezydenci miast, starostowie: z Chorzowa – Paweł Basi-

sta; z Mikołowa – Jan Drzazga; z Radzionkowa – Jerzy Ziętek.

- uczeni: z Warszawy profesorowie – Marcelli Handelsman i Kazimierz Kuratowski, z Katowic – dr Roman Lutman, dyrektor Instytutu Śląskiego.
- dziennikarze: Zdzisław Hierowski, Stanisław Ligoń, Henryk Sławik, Bolesław Surowska.

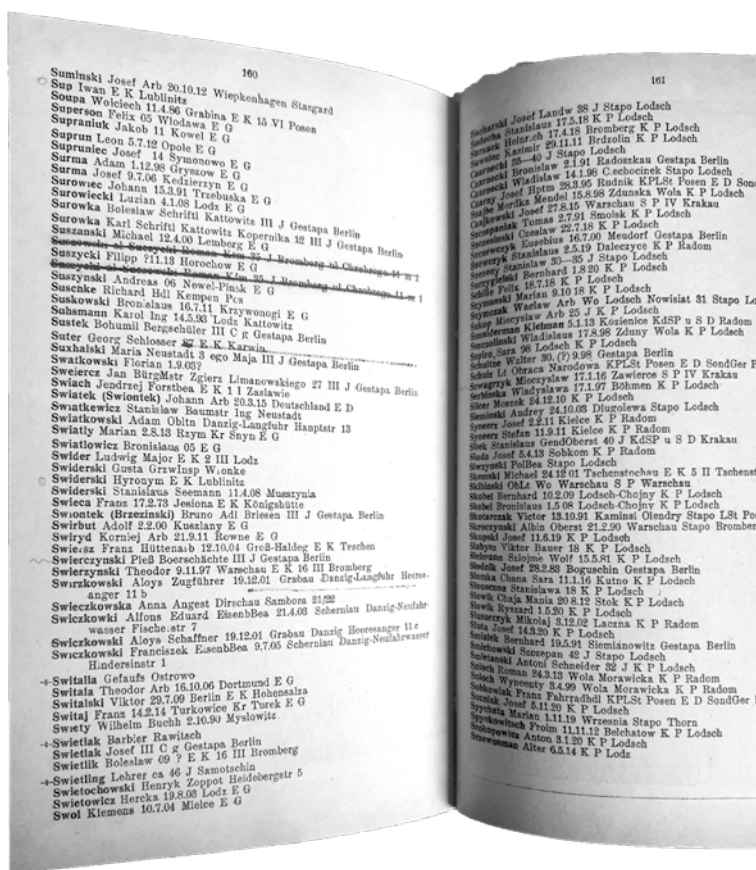
- duchowieństwo: bp Stanisław Adamczak (Bischof) i księża: Bolesław Kominek, Emil Szramek, Skrzypczak z Rudy Śląskiej.

- nauczyciele – to najliczniejsza grupa licząca 116 nazwisk. Wymienić wypada tylko reprezentantów: Władysława Folkierskiego i prof. Kocura z Bogumina.

- medycy: dr Rostek z Rybnika, dr Maksymilian Wilimowski i dr Ignacy Nowak z Katowic.

To zaledwie garść nazwisk przywołana na zasadzie pars pro toto a przypomniana przez Andrzeja Szefera. Jakże znacząca. „Gromobicie ciszy” polskiego trwania.

Od tamtych czasów nasza wiedza o piśmiennictwie proskrypcyjnym znacznie się rozszerzyła i wzbogaciła dzięki pracom Grzegorza Bębniaka: „Sonderfahndungsbuch Polen” (*Specjalna Księga Gończa dla Polski*). Reprint. Katowice – Warszawa 2019; czy *Proskrypcja w nowej odświeżonej. Niemieckie listy gończe w przededniu i początkach II wojny światowej*, Warszawa 2020. Jemu też zawdzięczamy sprostowanie wielu uproszczeń w dotychczasowym stanie naszej wiedzy. I to często zasadniczych, choćby momentu ukazania się drukiem księgi i faz pracy nad kształtem ostatecznym dokumentu. Szacunek budzą analizy ksiąg gończych „w ujęciu czasowym i przestrzennym”. Właśnie ksiąg, bo Grzegorz Bębniak przypomina ich kilka. Dla mnie jednak ogromnym zaskoczeniem była *Druka emigracyjna proskrypcja* – „Sonderfahndungsliste Gross-Britannien” (G. Bębniak: *Proskrypcja...*, s. 267–293), w której znaleźli się między innymi przedstawiciele władz polskich na uchodźstwie: Ignacy Jan Paderewski, Władysław Sikorski, Stanisław Mikołajczyk. To oczywiście. Czytając jednak tę listę znalazłem też informację o niezwyklej postaci, jaką dla naszego środowiska był Kazimierz Smogorzewski (1896–1992). Dziennikarz, urodzony w Sosnowcu, redaktor „Free Europe”, „lansujący powo-



jenny federacyjny ład europejski”. Emigracyjna kolekcja tego publicysty, na którą złożyły się dokumenty osobiste, korespondencja służbowa (szczególnie na temat artykułu „Janczary Stalina”, kilkakrotnie przedrukowywanego na Zachodzie), przebogaty księgozbiór, zbiór grafiki i porcelany wraz dopełniającym a uroczyście gabinetem, przeniesionym z Londynu, został ofiarowany Bibliotece Śląskiej w latach 90-tych, wzbogacony jeszcze w 2005.

Dziś znamy losy wielu osób wymienionych w księdze gończej. Najlepiej z tych sztandarowych. Ale też często tych zapoznanych, których dzieje przechodzi jedynie rodzinna pamięć przekazywana z pokolenia na pokolenie. I przez nie rekonstruowana. Prerażające prawo przemijania.

11 września 2009 z Warszawy nadszedł list: „Zwracam się do Państwa z prośbą o sprawdzenie, czy na niemieckiej liście gończej w wydaniu książkowym pt. >Sonderfahndungsbuch Polen< umieszczono jest nazwisko [...] To mój ojciec. Ja jestem rocznik 1938. Ojciec został aresztowany przez Niemców w nocy 23 na 24 października 1939 roku, to jest w przeddzień zakończenia niemieckiej operacji Tannenberg. Czy został aresztowany z listy »Sonderfahndungsbuch«?»



Uwikłany w nieśmiertelność

WOJCIECH LIPOWSKI

Czasem człowiek chciałby stanąć przykład dla innych, uczynić się sprawcą wszystkiego, co go otacza. Wzmocniony ignorancją wyobraża sobie, że jest w stanie przeniknąć sprawy i rzeczy tego świata, bo rozumie lepiej, wie lepiej, choć brodzi w iluzji własnego rozumu, pełen niepokoju, gdyż każde sprrowadzenie świata do siebie wcześniej czy później musi skończyć się porażką. Im bardziej stara się przy tym ocalić materialne dowody własnego istnienia, tym bardziej rzeczywistość, w której żyje staje się dla niego zdeformowana i niezrozumiała a on sam budzi litość, zażenowanie, zwykłe współczucie, stając się ikoną rozdarcia, frustracji, narażając na pośmiewisko.

To wszystko skupia niczym soczewka jeden człowiek, pełen chaosu, wściekłości, któremu na naszych oczach przełamuje się świat, bo musi dokonać dramatycznego wyboru między dobrem materialnym a miłością i zupełnie, przejmująco szczerze wybiera siebie, destrukcyjną miłość do pieniędzy. Wiemy już doskonale, kto jest bohaterem powyższych wywodów: Harpagon.

Kolejna premiera w bielskim teatrze to interesująca adaptacja *Skąpca*. Reżyseruje Paweł Aigner, który ma dobrą rękę do kreślenia teatralnych portretów ludzi przyciśniętych przez los, nieprzystosowanych, pogubionych w codzienności. Sięgnął po Moliера, bo tam jest cała galeria podobnych bohaterów.

Groteska, komedia to doskonale miejsce, twierdzi autor adaptacji, aby pokazać ich mieniący się różnymi odcieniami świat. A korowód jest długi i jak wiemy barwny. Jean Baptiste Poquelin przystawiając krzywe zwierciadło do francuskiej obyczajowości XVII wieku zbudował przepastne studium charakterów ludzkich, pokazał, jak odbija się w nim epoka i typy postaw, które mimo upływu czasu, stanowią nieustannie punkt odniesienia, inspirację dla opisanego współczesności. Tak było w *Świętoszku*, *Szkole żon*, *Chorym z urojenia*, tak jest w *Skąpcu*, który oglądać można na scenie Teatru Polskiego.

Co jeszcze dzisiaj zainteresowało twórców w tym oddalonym od nas wieki teście? Jakie motywy, wątki, treści stały się inspiracją, by stworzyć kolejną adaptację? Czy to jest może tak, że sięgamy po coś znanego niemal na pamięć i widzimy jakieś nowe, niepokojące możliwości, jakie odsłania nasze doświadczenie lekturowe? A może powstaje głębokie wrażenie, nowy podmuch, który pobudza wyobraźnię, składa się na fenomen twórczego powtórzenia?

Zacząć chyba należy od stwierdzenia, że ten nowy *Skąpiec* Aignera kładzie nacisk na wielogłosowość i wrażenie ogólnego chaosu narracyjnego. Spokojnie, nikt się w tym nie pogubi, choć i taką ścieżkę lektury można wybrać. To bardzo atrakcyjna propozycja dla widzów, ale od razu powiedzmy, że jej mechanizm, choć niewidoczny, ma swą skomplikowaną i dobrze przemyślaną strukturę. Od pierwszej sceny jesteśmy bowiem skutecznie atakowani dynamiczną dialogicznością, sypią się cięte repliki, mamy wrażenie, że mówią wszyscy jednocześnie, co nie tylko nadaje niesłychany rytm poszczególnym scenom, sytuacjom, ale sprawia wrażenie totalnej dekompozycji rzeczywistości, w jakiej funkcjonują postaci. W języku ludzkiej mowy udało się autorom spektaklu utrwalić obrazy, przeżycia, doświadczenia najpierw rozbite na fragmenty, części następnie zespolone przy pomocy tej właśnie formy wyrazu, tak wymyślonej teatralnej transpozycji popularnego oryginału.

Cały zamysł kompozycji, integralność kolejnych scen, zyskuje swoją formę i istotę, gdy opisywany jest świat Harpagona w stanie nieustannej metamorfozy, zmienności, dynamiki nastroju, przeżywania, odniesień i postrzeżenia

fot. Dorota Koperska



nia rzeczywistości w tonacji orzekającej. Śmiejemy się głośno, ale po chwili czujemy, że przecież z człowieka w sytuacji, gdy artykułowane jest jego nieszczęście, gdy rozpada się świat, gdy trzeba wybrać, może banalnie, ale bardzo szczerze i dojmująco między uczuciem a sarkawką. Aigner uruchomił wszelkie dostępne narzędzia, aby pokazać stłuczony niczym porcelana, bardzo kruchy świat Harpagona i otaczających go ludzi. Czego tam nie ma. Powaga, absurd, groteska, zgrywa, czasem do przesady wygrana sztuczność, totalna teatralizacja i dewastacja wszystkiego. Efekt każdy musi ocenić sam.

W tym jednym z możliwych przybliżeń rzeczywistości Moliera doskonale odnalazł się grający głównego bohatera Rafał Sawicki. Przekonująco wygrał wszelkie potrzebne tony rozpacz, wściekłości i przerażenia, gdy miłość oraz fortuna ulatują bezpowrotnie. Aktor sam stał się wielogłosem, jakby nieustannie polemizował nie tylko z adwersarzami, ale niemal całym światem, by dokonać niemożliwego, przewyciężyć nieodwracalność czasu i uniknąć bolesnego doświadczania prawdziwej, przerażającej go terażniejszości. Sawicki bawi, zaskakuje, nie daje wytchnienia, gdy wydaje się, że wyczerpał już możliwości nagle potrząsa przyprawionymi do pleców pawimi piórami, ale jednocześnie w jednej chwili sprawia, że jego hałaśliwa dewastacja przestrzeni przeraża. Szczególnie, gdy zaczyna krzyczeć na swojego autora oskarżając go, że stworzył postać koszmarną, pokiereszowaną egzystencjalnie, klauna, który od trzystu lat bawi publiczność a chciałby już po prostu umrzeć. Nie może, został skazany na wieczność opętany destrukcyjnym pragnieniem posiadania, nad którym zapanować niepodobna. Sawicki ujmująco pokazał konflikt wewnętrzny swojego bohatera, którego drugą stroną jest potrzeba urządzenia życia u boku zupełnie niepasującej doń kobiety, Marianny zagranej z dużym wdziękiem i dystansem przez Oriane Soikę. To się nie uda, bo udać się nie może zatem ciąg zdarzeń nigdy już się nie zatrzyma i wszystko trwać będzie zawsze stanowiąc najcięższe z możliwych brzemień nieśmiertelności.

Galeria postaci tej inscenizacji nie kończy się na Harpagonie i Mariannie. Swój kunszt i możliwości interpretacyjne, pomysłowość pokazali także Barbara Guzińska jako zabawna swatka Frozyna; Weronika Lesiak świetnie oddała niezwykle barwną postać córki Harpagona Elize; interesująco wypadł w roli Kleanta, z wdziękiem ją przerysowując, Mateusz Wojtasiński; natomiast Michał Czaderna wcielając się w postać Walerego okazał się mistrzem manipulacji oraz udawania popierając skazany na



niepowodzenie zamysł ożenku Harpagona z Marianną; Adam Myrczek jako Anzelm po raz kolejny zachwyił tym razem mistrzostwem opanowania i skromności środków wyrazu osiągając niezwykle efekty komiczne; Sławomir Miska bawił zmiennością ról grając Jakuba, kucharza i woźnicę; Tomasz Lorek ciekawie pokazał się w roli Komisarza a Jagoda Krzywicka dynamicznie w postaci Pani Claude, gospodyni Harpagona. Widzowie docenili także charakterystyczne role epizodyczne, ciekawie zagrane: Eugeniusza Jachyma jako księdza proboszcza i Aleksandra Pestyka ministranta.

Jak zwykle mocną stroną w bielskich realizacji jest strona wizualna. Scenograficzna przestrzeń spektaklu autorstwa Magdy Gajewskiej nawiązuje do epoki, ale jednocześnie została skonstruowana tak, aby zapewnić możliwość realizacji wymyślnych pomysłów autorów. Jest zatem miejsce na prezentację farsowych zdarzeń, w których dochodzi do zwariowanych gonitw, rękoczynów, nawet strzelaniny. Chyba spórą przyjemność sprawiło widzom wielkie koło diabelskie ustawione na scenie, na którym czarował damę serca Kleant, dokonując na nim popisów niemal cyrkowych. Nie sposób zliczyć wszystkich technicznych atrakcji, które zapewniły niesamowitą dynamikę poszczególnych epizodów łącznie z finałową dewastacją ścian tego roztrzęsionego domostwa niczym w slapstickowej komedii. No i kostiumy Zofii de Ines, osobny rozdział przedstawienia, niekonwencjonalne, pomysłowe, dopełniające charaktery poszczególnych postaci i całą wielobarwną strukturę tego spektaklu.

Muzyka chyba nieco zaskoczyła odbiorców, ale nie mogło być inaczej w nieprzewidywalnej materii ukazanych tu spraw. Piotr Klimek postawił na okres międzywojenny stąd dla lubiących szum starej płyty przerna-

czona została piosenka Tadeusza Faliszewskiego *Co bez miłości wart jest świat* z towarzyszeniem Orkiestry Syrena Record, czy próbki instrumentalne takich utworów lat 30. jak *Ujrzałem cię w Sorrento*, *Tu jest Wacusz*, *Gdy Neapol śpi*, co sprawiło, że zapachniało w teatrze bielskim starym kinem. Ilustracja muzyczna zresztą podobnie jak niezbyt nachalne, ale obecne odwołania do rzeczywistości za murami teatru otworzyły spektakl także na zupełnie współczesne sprawy, które zostały na moment za plecami widzów.

Można się czuć osaczonym przez nadmiar wszystkiego z czym przyszło się zetknąć na scenie podczas lektury tego widowiska, ale nie można odmówić mu gęstości i spójności narracyjnej. Przecież i tak w finale teatr farsy zmienia się w teatr refleksji wchodząc w dyskurs o nieodwracalnym zmierzchu wszelkich wartości, smutny, ale też atrakcyjny z którego ocalić może człowieka tylko prawdziwe uczucie.

Harpagon w końcu będzie zmuszony stanąć w finale na twardym gruncie, jaki oferuje mu rzeczywistość. Mimo rozpaczliwych prób uchwylenia oddalającego się szczęścia, czyli w jego wypadku drogocennej szkatułki odpływającej w nieznaną, chyba zrozumie razem z innymi, że wszelkie wyobrażenia o sobie, własnym losie, mimo egzystencjalnej rozpacz, trzeba pozbawić iluzji i rozpocząć nową wędrówkę drogą jeszcze pustą, ale mogącą doprowadzić w stronę wyczekiwanego spełnienia. ■

Molier
Skąpiec
Adaptacja, opracowanie i reżyseria Paweł Aigner
Premiera 7 stycznia 2023
Teatr Polski w Bielsku-Białej

Sztuki plastyczne oraz muzyczne przemawiają w sposób uniwersalny, umożliwiając porozumienie, integrację, a nawet zawarcie przyjaźni mimo różnic kulturowych, narodowościowych czy językowych. Świetlica twórcza polsko-ukraińska to miejsce, gdzie dzieci i młodzież zza wschodniej granicy, które schroniły się w Katowicach przed wojną, spotykają się z miejscowymi rówieśnikami. Pod opieką animatorek biorą udział w warsztatach rękodzieła, rytmicznych oraz tanecznych, uczą się gry na pianinie elektrycznym, a także uczestniczą w wystawach i koncertach.

Projekt realizuje Instytucja Kultury Katowice – Miasto Ogrodów we współpracy z Fundacją Gniazdo, przy wsparciu Funduszu Narodów Zjednoczonych na Rzecz Dzieci UNICEF. Koordynatorką z ramienia KMO jest Mariola KulaWiak. Warsztaty prowadzą sympatyczne, pełne entuzjazmu artystki i pedagogi z Ukrainy: Olena Dmytriieva oraz Kateryna Chruszczowa.

Olena w ojczyźnie pracowała w szkole muzycznej, gdzie uczyła rytmiki, śpiewu oraz gry na pianinie. W świetlicy polsko-ukraińskiej angażuje się zarówno w warsztaty muzyczne, jak i plastyczne, a ponadto udziela indywidualnych lekcji gry na pianinie elektrycznym. Uczestniczą w nich dzieci, które dopiero zaczynają przygodę z instrumentem oraz kontynuujące naukę. Natomiast specjalnością i pasją Kateryny, członkini Stowarzyszenia Twórców Ukrainy, jest rękodzieło. Przekazując jego tajniki dzieciom i młodzieży, pomaga odkrywać oraz rozwijać talenty, uczy cierpliwości i wytrwałości, jak również przekazuje bogate tradycje kulturowe swojego kraju. W pracę świetlicy angażują się ponadto pracownicy Fundacji Gniazdo, organizacji pozarządowej opiekującej się rodzinami zagrożonymi marginalizacją: pedagoga Violetta Kielan-Uszko oraz psycholożka Daria Kurzawa, których misją jest wspieranie poczucia własnej wartości oraz poczucia bezpieczeństwa i twórczych pasji u najmłodszych. Do Darii można się również zgłosić na prywatne konsultacje psychologiczne. W przyszłości planowane są także konsultacje w języku ukraińskim.

Świetlica działa od czwartku do niedzieli. Zajęcia są bezpłatne, ze względu na ograniczoną ilość miejsc na warsztaty należy się wcześniej zapisać, do świetlicy zaprasza się wszystkich chętnych. Mile widziani są również rodzice czy opiekunowie, zwłaszcza najmłodszych dzieci, które mogą obawiać się kontaktu z obcymi animatorkami, a także potrzebować opieki, kiedy przychodzi używać nożyczek czy gorącego kleju.

W grudniu 2022 roku podczas warsztatów dzieci pod opieką pań prowadzą-



Integracja poprzez rękodzieło i muzykę

WERONIKA GÓRSKA

cych tworzyły świąteczne ozdoby i dekoracje, którymi później mogły przystroić swoje domy lub podarować bliskim w prezencie. Violetta Kielan-Uszko i Daria Kurzawa pomogły wyczarować choinki ze styropianu oraz sznurka jutowego, a następnie przyozdobić je bibułą, wstążkami, koralikami, gwiazdkami. Natomiast Olena Dmytriieva nauczyła najmłodszych wykonywać bombki oraz inne świąteczne ozdoby, jak też sprawiła, że w Sali Muzykodromu KMO narodziły się... skrzaty. Dodatkową atrakcją była wystawa ludowego rzemiosła i sztuki Ukrainy, podczas której można było podziwiać barwnie haftowane serwety oraz odzież, ręcznie wykonane lalki „Motanki”, biżuterię, świąteczne stroiki i wianki, a także wyroby drewniane czy domowe mydła. Warto dodać, że sztuka ludowa Ukrainy, ze względu na oryginalność motywów, kompozycji, kolorystyki, technik wykonania (w tym niepowtarzalnych ściegów haftu) w 2013 roku została wpisana na listę światowego dziedzictwa UNESCO.

W styczniu 2023 roku w świetlicy odbyły się warsztaty „Dźwięk, rytm, taniec”, jak również zajęcia rękodzieła, podczas których najmłodszy tworzyli prezenty na Dzień Babci i Dziadka oraz maski karnawałowe. Wśród upominków dla babć i dziadków, tworzonych przy pomocy animatorek, znalazły się nie tylko zdobione laurki, ale również breloczki, ramki na zdjęcia oraz słoiki na laskocie. Natomiast maski karnawa-

łowe zostały przyozdobione różnobarwnymi mazakami, brokatem, koralikami, świecącymi gwiazdkami, piórkami oraz pomponikami. Po wykonaniu zadań plastycznych dzieci bawiły się przy użyciu chusty Klanzy, a także miały okazję uczestniczyć w wydarzeniach odbywających się równolegle w KMO, między innymi w Warsztatach Pierwszej Pomocy czy obejrzeć wystawę na Ścianie Sztuki Dziecka.

Animatorki prowadzące świetlicę są nie tylko wrażliwe, twórcze i pełne pomysłów, ale też ujmują elastycznością oraz otwartością wobec podopiecznych. Na bieżąco modyfikują plany zajęć, w zależności od wieku, zainteresowań oraz potrzeb zgłaszanych przez dzieci, które w nich uczestniczą. W ich postawie widać nie tylko doświadczenie w pracy z najmłodszymi, ale również prawdziwe powołanie i pasję. Rodzice mogą zostawić pociechy pod skrzydłami pań prowadzących warsztaty, mając pewność, że dzieci nie tylko ciekawie spędzą wolny czas oraz rozwiną się artystycznie, ale też zostaną otoczone fachową, ciepłą, pełną empatii opieką oraz nawiążą miłe znajomości z polskimi i ukraińskimi rówieśnikami. ■

Świetlica twórcza polsko-ukraińska. Organizatorzy: UNICEF i Miasto Katowice. Spotkania: Sala Muzykodromu w KMO, grudzień 2022 – grudzień 2023 roku.

Gorzka presja powrotów

RYSZARD JASNORZEWSKI

Biografię Janne Ahonena opatrzone w Finlandii tytułem *Królewski Orzeł*. Banalnie i jakby odnajdując – w 2009 roku, gdy ukażała się pierwsza edycja – imię książki na taśmie fabrycznej sportowych banałów. Tej samej, której od początku stulecia zawdzięczamy zastęp orłów z Wisły, Zakopanego, a nawet Zębu. Dobrze zatem, dla uniwersalnej równowagi, wspomnieć ornitologiczne spostrzeżenie legendarnego Stanisława Marusarza („Tatrzańskiego Orła”), którym podzielił się z młodzieńskim Wojciechem Fortuną: „Będzie z ciebie skoczek, jak cię wrona nie porwie na gniazdo.”

Do polskich czytelników wydawca nie adresuje już ptasiej metafory, ale lapidarny, precyzyjny komunikat. Zaproponowano po prostu biografię, przy tym oficjalną, a więc niesprzeczną z wyobrażeniem jej bohatera o samym sobie. Wybitny sportowiec, wielokrotny medalista, pięciokrotny zwycięzca Turnieju Pięciu Skoczni, wyobraził sobie jednak za dużo, bo aż dwa powroty na skocznię, każdy kolejny mniej udany. Te gorzkie powroty mogłyby stać się tematem osobnej, pasjonującej książki. W narracji, którą uporządkował dziennikarz Pekka Holopainen, przeznaczono im rolę poboczną i niewyraźną, jakby coś starano się przed nami ukryć, jakby obawiano się, że zważymy w niezłomność skoczka. Ahonen już jako junior nie ulegał presji, nie pragnął za wszelką cenę wygrywać, cierpliwie znosił porażki, po czasie uznając je za zwyczajne i wpisane w los wyczynowca, za konieczny fragment narciarskiego rzemiosła. O tym w książce sporo. Nie dowiemy się natomiast, czego nauczyły dojrzałego sportowca klęski powrotów na skocznię. Integralny ze skakaniem jest ból. Skocznię w Lahti, na której nieletni Janne zyskał pierwsze poważne i brutalne wtajemniczenia, nazywano „Betonem”. Czy ktoś wznowiłby karierę z tęsknoty za adrenaliną bólu?

Babcia sportowca zgromadziła albumy z wycinkami prasowymi dokumentującymi karierę sławnego wnuka. Takie albumy, przeglądane po latach, wymuszają pewien dystans, ale nieco sztywny, mało urozmaicony i pozbawiony energii. Podobną strategię wybrano w konstruowaniu biografii Ahonena – biografii aż do przesady wiernej chronologii wydarzeń, wyczerpująco skomentowanych przez skoczka oraz innych aktorów tej samej sceny sportowej. Wyczerpująco, solidnie i po równi. W efekcie nie potraktowano z należytym szacunkiem wątków naczelnych i zanudzano niejednym drugorzędny, nijakim epizodem.

Tam gdzie taśma produkcyjna, tam i matryca. Aktualne trendy w sztuce tworzenia portretów (autoportretów) celebrytów uwzględnia-

ją zdarzenia o wartości skandali, a przejawem dobrego smaku stają się wyznania o kolorystyce skłonności seksualnych lub świadectwa wszelakich terapii, zaleconych przez psychiatrów. Ahonena wyróżniają ciekawostki związane z paleniem papierosów i wytrzymałym, dzielnym objętościowo, spożywaniem (grupowym lub samodzielnym) trunków. W epilogu adresowanym do polskiego odbiorcy skoczek przyznaje, że jest niepijącym alkoholikiem. Zdecydowanie bardziej szokujące jest jednak odnotowane sto kilkadziesiąt stron wcześniej wykonywanie obowiązków sportowych na kacu, czego spektakularnym efektem był (zakończony upadkiem) skok na mamucie w Planicy na rekordową odległość 240. metrów. Szczególne potrzeby wyczynowców zauważył już w 1929 roku Kornel Makuszyński, ironizując przed światowymi mistrzostwami w Zakopanem: „rano przedstawiciele wszystkich narodów będą skakali na złamanie karku, a wieczorem już bez markowania wyników będą pili wodę ognistą.”

To jednak nie alkohol jest największym problemem skoczków narciarskim. Zdecydowanie trudniej przychodzi im poradzić sobie z lękiem. „Zawodnik – pisał Bohdan Tomaszewski – zsuwa się z rozbiegu na próg, za którym otwiera się przepaść.” Musi wznieść się ponad tę przepaść, przez ułamek sekundy będzie toczył się rozgrywka między życiem a śmiercią. Być może w mgnieniu później skoczkowie przeżyją piękno lotu, a ich doznania staną się czyste i nieskazitelne. Częściej jednak zmierzają się z bezradnością i samotnością w obliczu własnego strachu.

Ahonen nigdy nie dramatyzował. Był wyjątkowy lub pragnął, by mu wierzono, że jest taki naprawdę: „Mogłem zaufać swej technice, odkąd skończyłem mniej więcej piętnaście lat. Na skoczni nigdy się nie bałem. Ktoś inny nazwałby to uczucie strachem, ale na pewno nie ja.” Zdarzały się upadki, wstrząsy mózgu, złamanie, ale stoickim fundamentom osobowości Fina nic nie zagrażało: „Wypadki były nieodłączną częścią mojego hobby.” Hobby, przyznajmy, dobrze wynagradzane, bo przez całą karierę Ahonen zarobił około 2 miliony euro (mimo że daleko mu było do uposażeń najlepszych zawodników z Niemiec lub Austrii).

Ahonen skakał w zimnych, posępnych maskach. Dzięki przemyślanemu kamuflażowi oraz małowomnym, oszczędnym, niemal ascetycznym relacjom z mediami, umacniał się (i zyskiwał na oryginalności) wizerunek chłodnego, powściągliwego, a nawet ponurego, niechętnego światu sportowca, zamkniętego na niepotrzebne emocje i wolnego od zbędnej ekspresji. O jego stanach wewnętrznych zaświadczały co najwyżej kapryśne fry-



zury oraz zmieniające się kolory włosów. Nie wszystkim Ahonen dogodził. Jedna z fińskich gazet punktowała bez litości: „prymitywny mruk, dzikus i niekomunikatywna mumia.”

Mumia z natury nie cierpi. Nie da się tego samego powiedzieć o skoczkach, także i o tych, którzy kryją prawdziwe dolegliwości pod efektownymi maskami. Skoczek, odbijający się z całą mocą od progu i natychmiast szukający lotu ku górze, musi być lekki i mocny, sztywny i zwinny, silny jak atleta i szczupły jak modelka. Nie dzieje się tak bezkarnie. Rygorystyczna dieta, przez cztery bądź pięć miesięcy w roku, skazuje w praktyce na głodowanie: „rano musli i trochę beztłuszczowego jogurtu albo maślanki, a obiada nic, a wieczorem znów to samo, co na śniadanie.” Mimo tych wyrzeczeń, a także nieuchronnych problemów z zaakceptowaniem własnej fizyczności, pewną przesadą jest doszukiwanie się sakralnych kontekstów odchudzania (czy wręcz pokornej zgody na anoreksję): „Kiedy 184-centymentrowy Janne Ahonen chudnie do 65 kilogramów i zapuszcza brodę, kojarzy się trochę z królem cierpiącym, czyli Jezusem z Nazaretu”. Nie wiadomo, jakie w istocie skojarzenia i koszmary prześladowały niedożywionego skoczka. Żadna biografia nie ocali najtrudniejszych snów i nieobecnych luster. ■

Janne Ahonen oraz Pekka Halopainen: *Janne Ahonen. Oficjalna biografia legendy skoków narciarskich*. Przełożyła Marta Laskowska. Wydawnictwo SQN, Kraków 2022, s. 453.

Zapomniana katowicka „Gazeta Ludowa”

HENRYK SZCZEPAŃSKI

Fronton mieszczarskiej kamieniczki, ze sklepikami na parterze i zgrabnymi balkonami na II oraz III piętrze, towarzyszy spacerowiczom zaglądającym na ulicę Wojewódzką. Znajduje się pod numerem 14; mniej więcej naprzeciwko wylotu Sienkiewicza. Bliżej znają go kolekcjonerzy sekretów dawnych Katowic i to tylko ci w czepku urodzeni.

Skromna komemoracja polskiego dziennikarstwa na Śląsku przywołuje czasy doktora Zygmunta Seydy i księdza Pawła Pośpiecha oraz ich popularnego, endeckiego czasopisma: „Gazeta Ludowa”. Kusiło pełnym atrakcji, ilustrowanym dodatkiem „Niwa Śląska”. Biuro redakcji mieściło się na parterze, od frontu a w oficynie pracowali czerzy, metrampaże i maszyny poligraficzne. Część zespołu drukarskiego ulokowała się w domu przy dzisiejszej ulicy Kościuszki 16, gdzie miał siedzibę Polski Bank Ludowy.

„Gazeta” początkowo należąca do adwokata i polityka Seydy a następnie do katolickiego duchownego ks. Pośpiecha ukazywała się w latach 1911–1920 – ostatniej dekady zwycięskiej wojny o polski Śląsk. Tak jak kamienica przy Wojewódzkiej 14, godna jest umieszczenia w kolekcji „Katowickiej niezapominajki” symbolu pamięci i sympatii współczesnych Górnoślązaków.

W tym domu, od 1924 (już po śmierci ks. Pawła), kontynuatorami jego dzieła były kolejne sztafety polskich poligrafów i dziennikarzy. Firma była znana pod szyldem: „Gazeta Ludowa” — Książd Paweł Pośpiech — Drukarnia i Zakład Wydawniczy w Katowicach, Polskie Zakłady Wydawnicze.

Zapraszała pod adresy:

XI. Przemysł graficzny (Graphische Industrie.)

A. Drukarnie, litografie, stereotypy

(Druckereien, Kunstdruckanstalten.)

„Drukarnia Gazety Ludowej” Katowice,
ul. Wojewódzka 14—20

Przypominała o swoim rodowodzie i o swoich czytelnikach:



Oferowała:

Zakłada Pan nową firmę na Górnym Śląsku i potrzebuje Pan zapewne rozmaitych druków jak

- formularze firmowe*
- koperty*
- broszury propagandowe*
- bloczki kasowe*
- kwitariusze*
- bilety wizytowe*
- plakaty*
- ulotki*
- szylki*

radzimy wszystko to zamówić

w Drukarni „Gazety Ludowej”
Polskie Zakłady Wydawnicze Sp. z o. o.
Katowice Wojewódzka 20

Ręczymy za solidne, szybkie, gustowne i tanie wykonanie.
Niech Pan spróbuje!

Filja w Bielsku „Hotel Grand” ul. Kolejowa

Zapraszała:

POLSKIE ZAKŁADY WYDAWNICZE Spółka o. o. w KATOWICACH Wojewódzka 20 Wojewódzka 20	POLNISCHE VERLAGSANSTALTEN o. m. b. H. (POLSKIE ZAKŁADY WYDAWNICZE Sp. z o. o.) in KATOWICE Wojewódzka 20
Jesteśmy Firmą Wydawniczą, a specjalnością naszą jest wykonywanie wszelkich prac wchodzących w zakres propagandy prasowej, publicystyki, reklamy we wszystkich dziennikach jak krajowych jak i zagranicznych. (Dyskrecja zapewniona). Posiadamy również własne zakłady drukarskie, gdzie wykonujemy szybko, tanio i gustownie wszelkie prace wchodzące w zakres drukarstwa. Prosimy zatem o zawiadomienie nas a natychmiast zrobimy dokładne plany, oferty, (bezpłatnie) które napewno zyskają aprobatę Szanownych Panów. Prosimy uprzejmie spróbować!	Ein gutes Gedächtnis ist Gold wert. Erbringen Sie den Beweis Ihres guten Gedächtnisses dadurch, dass Sie unsere adresse Katowice Wojewódzka 20 nie mehr aus der Erinnerung verlieren. Wir sind die Spezialfirma für Pressepropaganda, Werbe- und Reklamarbeiten jeder Art in allen polnischen und ausländischen Zeitungen. Wir besitzen auch eine modern eingerichtete Druckerei, in welcher wir alle Druckarbeiten prompt u. billig erledigen. Schreiben Sie an uns, wir werden Ihnen kostenlos u. prompt dementsprechende Vorschläge vorlegen, die gerade für Sie die richtigen sind.
Prosimy pamiętać o naszym adresie Katowice Wojewódzka 20	Das Adressbuch zur Hand nehmen, heißt an unsere Adresse Wojewódzka 20 denken!

Jej biura mieściły się vis-à-vis:

Polskie Zakłady Wydawnicze, Sp. z o. o., Katowice, ul. Sienkiewicza 3, parter na lewo. Własna drukarnia. Druk ksiąg adresowych. Oddział przyjmowania reklam wszystkich gazet krajowych i zagranicznych. Wykonywanie budżetów reklamowych. Prospekty plakatów. Ofset. Rotograwiura etc. Przedstawicielstwa firm zagranicznych.

W tej firmie pod redakcją Janusza Bernata i pod protektorem Konstantego Wolnego, marszałka Sejmu Śląskiego, ukazała się jedna z pierwszych polskich ksiąg adresowych naszego miasta i okolic. W 1926 roku, prócz „Gazety Ludowej” był tu także drukowany tygodnik „Narodowa Trybuna”, z biurem i redakcją w Bielsku Białej.

Przedsiębiorczy adwokat. brońca i szermierz sprawiedliwości

Zygmunt Seyda studiował w Saksonii, na uniwersytecie Marcina Lutra w Halle nad



Dr Zygmunt Seyda portret z fotografii członków Wydziału TG Sokół Katowice 1906

Soławą. Tam uzyskał stopień i dyplom doktora nauk prawnych. Urodzony w Poznaniu w roku 1876, swoje własne rodzinne

gniazdo postanowił urządzić w Katowicach. W 1903 r., gdy mijała trzecia rocznica ślubu Zygmunta z uroczą panną Stefanią Kutznerówną, również Wielkopolaną z Trzemeszna, wynajęli skromne mieszkanie przy ulicy Stawowej 9.

Jeszcze tego samego lata wspólnie z dwoma znanymi finansistami zainicjował przygotowania do batalii o miej-

sca w ławach rady miasta nad Rawą. Prasa donosiła:

„Katowice. Utworzył się tu komitet polski, który się zajmie sprawą wyborów do rady miejskiej. Komitet stanowią panowie: dyr. Wacław Szyperski, adwokat dr. Zygmunt Seyda i dr. Piotr Hylla.” (Gwiazda. Gazetka Tygodniowa dla Ludu Polsko-Katolickiego, 1903, R. 1, Nr. 22)

Tamtego roku katowiccy koledzy zachęcali Zygmunta do pracy w zarządzie Polskiego Towarzystwa Ludowego dla Śląska, niedawno powołanego do życia. W tym czasie młody prawnik należał do tajnej Ligi Narodowej (LN) i z roku na rok stawał się jednym z jej wybitnych działaczy na terenie zaboru pruskiego. Był współorganizatorem Polskiego Towarzystwa Demokratycznego na Górnym Śląsku, powstałego w grudniu 1909. W 1910 na zjeździe w Warszawie wybrano go do Rady Głównej LN.

Z widokiem na cesarskie posągi

Po kilku latach, młodzi Seydowie, ze skromnego mieszkanka przy Stawowej, przeprowadzili się do eleganckiej kamienicy Frantziocha u zbiegu obecnej Słowackiego i 3. Maja, a od 1911, już na dłużej, do bardziej wygodnego lokum, na II piętrze domu Zimmermanna, obecnie Matejki 5. Stąd mieli bardziej rozległe widoki i nowych sąsiadów, między innymi Wojtkę Korfantego z rodziną, mieszkającego po drugiej stronie placu, tuż za rogiem przy Gliwickiej 4. Chcąc, nie chcąc aby zamienić kilka słów, spotykali się w cieniu monumentu dwu cesarzy: Wilhelma Białobrodego i jego syna Fryderyka III.



Dom Zimmermanna, obecnie ul. Matejki 4, fot. J. Owczarek

Wychodząc na balkon, skąpany w promieniach popołudniowego słońca, oglądali plac z oryginalnym dendrarium, a w głębi, za Domem Koncertowym ulicę Karola, dziś znaną pod nazwą Sokolska. Tam, nieopodal, na sąsiedniej parceli stała ekskluzywna willa Aleksandra Pohlmana, nadburmistrza Katowic.

To był dość niespodziewany zbieg okoliczności. Miejscowi satyrycy żartowali, że Seyda i Pohlmann, z Poznania do Katowic jechali tym samym pociągami.

Dwaj przybyszkie znad wielkopolskiej Warmy, zamieszkałi na Załęskim Przedmieściu. Ukwiecony skwer z pruskimi monarchami na cokole, raczej ich dystansował niż zbliżał. Przestrzenna styczeń była zdarzeniem błahym, ale rychło się stała zarzewiem politycznego fermentu.

Kim był ten prominentny urzędnik?

Nad Rawę przeprowadził się prawie w tym samym czasie co Seyda. Zanim tutaj się rozgościł jako przewodniczący rady miasta Poznania, wyróżniał się gorliwością w służbie Hohenzollernom, niemieckim masonom i liberałom. W uznaniu za-

ślug, cesarscy ministrowie przeflancowali kolegę do Katowic. Od 1903., w charakterze naczelnego administratora „bastionu niemieczyny na wschodnich rubieżach Rzeszy”, urzędował w budynku magistratu przy dzisiejszej Pocztovej.

Vis-à-vis ratusza, mecenas Seyda, otworzył swoje prywatne biuro adwokackie. Od 1913 r., jak polska reduta tkwiło na parterze narożnej kamienicy u zbiegu Pocztovej z dzisiejszą 3 Maja.

Dwaj adwersarze – jeden Polak a drugi Niemiec – również i w tym zakątku, zostali sąsiadami z naprzeciwka. Humoryści, stosownie do sympatii politycznych, twierdzili, że

ta parcela, to pierwszy narożnik placu rynkowego a ich antagoniści, upierali się, że – ostatni!

Okna kancelarii adwokata Seydy wychodziły wprost na frontową elewację nadburmistrzowskiej rezydencji. Tam znajdował się gabinet najważniejszej osoby miasta.

Znaleźli się w ostrej opozycji. Barykadę zastępowała im jezdnia ulicy Pocztovej.

Jak na ringu

Do pierwszego starcia pomiędzy Seydą a Pohlmannem doszło w lutym 1906 roku, gdy Seyda zorganizował w Katowicach inauguracyjny wiec założycieli stowarzyszenia

oświatowo-wychowawczego „Straż” na Śląsku. Sympatycy tej inicjatywy mieli spotkać się, w audytorium wielkiej Sali Domu Koncertowego. Uzyskali wszystkie administracyjne i policyjne zezwolenia. W prasie opublikowali zaproszenia. Do publiczności zebranej w wielkiej Sali Koncertowej mieli przemawiać członkowie zarządu głównego z Poznania, z poetą i filantropem, hr. Józefem Kościelskim na czele, który wśród Ślązaków cieszył się sławą protektora utalentowanej młodzieży polskiej. Książę Czartoryski miał mówić o „potrzebie łączności i połączeniu Polaków w zaborze pruskim” a na zakończenie miał wystąpić młody i rezolutny – poseł Korfanty.

W przeddzień wiecu miejscowy policmajster zawiadomił pana Seydę, że zezwolenia zostały odwołane, ale po interwencji u nadburmistrza Pohlmana, niestępliwemu obrońcy praw polskiego zgromadzenia udało się zdobyć zgodę na „wiecowanie” ale tylko w dolnych, ciasnych salach budynku. Na inauguracyjny wiec „Straży” przybyło ponad 150 osób. Nim zdążyły zająć miejsce w audytorium, do akcji wkroczył ko-

misarz policji i rozwiązał zebranie, wzywając do natychmiastowego opuszczenia lokalu. Następnego dnia w prokuraturze złożyl doniesienie na opieszale i prowokujące opuszczenie budynku przez wiecowników.

W charakterze świadków przed sądem wystąpili – nadburmistrz Pohlmann i jego komisarz policji. Zapadł wyrok. Adwokata Seydę skazano na grzywnę 750 marek a pozostali uczestników na nieco mniejsze mandaty. Uznaczenie tych wyroków za nieważne Seyda wygrał dopiero w apelacji do sądu najwyższego w Berlinie.

Hr. Kościelski tak był poruszony zakulisowymi układami Pohlmana i jego pruskich żandarmów, że już pod koniec tamtego roku, wykupił gmach przy Sokolskiej, który od tej pory stał się domem społecznym polskich organizacji. Jeszcze tego samego miesiąca mecenas Seyda zwołał wiec do Oświęcimia, za austriacką granicą. Tam już nie sięgały restrykcje polonofobicznych burmistrzów i prokuratorów.

Podobne szykany Polaków przez magistrackich urzędników i policjantów, a w ich następstwie niezasadnione wyroki sądowe towarzyszyły organizacji wiecu przedwyborczego katowickich Polek. Również i w tej sprawie dr Seyda odniósł sukces, ale dopiero po apelacji do berlińskiej instancji.

Adres Kancelarii Adwokackiej mecenas Seydy był dobrze znany wszystkim Ślązakom szukającym ochrony przed represjami pruskich szowinistów, a jak belka w oku, tkwił instygatorom, żandarmom i szpiclom wyspecjalizowanym w tropieniu wszelkich „niecesarskotwórczych” przejawów Polskości.

Seyda figurował na specjalnej liście osób przewidzianych do uwięzienia, natychmiast po ogłoszeniu stanu wojennego na obszarze Rzeszy. Prokuratura i policja usiłowała dowieść, że jest emisariuszem tajnego, międzyzaborowego „Towarzystwa ku wspieraniu moralnych interesów ludności polskiej na Górnym Śląsku”.

Pod auspicjami myśli polskiej

Wśród Górnoślązaków Zygmunt Seyda miał znajomych i serdecznych kolegów z czasów akademickich. Do grona jego dozgonnych przyjaciół należał pisarz i publicysta, późniejszy senator II RP Jan Jakub Kowalczyk. Pośród rodaków studiujących na niemieckich uniwersytetach, Zygmunt był lubianym, podziwianym i szanowanym liderem Związku Młodzieży Polskiej, skrótowo nazywanego „Zet”; był też wybitną postacią Ligi Narodowej.

Jego życiowa dewiza brzmiała: „Wszystko dla Polski”. Zygmuntowi i Marianowi – swoim synom – wpoił tę myśl zacny Wojciech Seyda, profesor poznańskich gimnazjów. Temu ideałowi, pozostali wierni do końca swych dni.

Na krawędzi stuleci, „Śląsko” – bezpartonowo germanizowana kraina Lompy, Damrota i Bończyka, wzywała do spełnienia honorowego obowiązku. To pobudzało do działania. Była miejscem wymagającym szczególnej troski i życzliwości praw-

dziwych polskich patriotów rodem z Poznania, Warszawy, Krakowa, Wilna i Lwowa.

Dla nich Górny Śląsk i Wielkopolska stanowiły jeden region i własność polskiej wspólnoty narodowej. Śląsk w tym gremium reprezentowali m.in. Ks. Aleksander Skowroński, Dr Józef Rostek, ks. Paweł Pośpiech, Józef Rymer, Wojciech Korfanty i dziesiątki innych rodowitych Ślązaków z polską lub śląską metryką a obok nich tacy jej orendownicy jak Kazimierz Czapla z Bytomia czy Wojciech Sosiński z Katowic.

Ks. Skowroński optował za związaniem polskiego ruchu na Górnym Śląsku z ruchem narodowym w Wielkopolsce. Po wyborczym zwycięstwie Korfanteo, w lipcu 1903 r., zainicjował powołanie do życia Polskiego Towarzystwa Ludowego. W gronie współzałożycieli znaleźli się ks. Paweł Pośpiech, adwokat dr Zygmunt Seyda, radca sprawiedliwości Kazimierz Czapla i aptekarz Michał Wolski z Bytomia,

Za cel postawili sobie: upodmiotowienie ludu polskiego, jego uświadomienie i wysunięcie go na czoło narodu. Kierowali się systematycznie aktualizowanym statutem Ligi Polskiej ustanowionym w 1887 roku. Propagowali hasła „obrony czynnej”. Cieszyli się powszechną popularnością i zaufaniem polskich Ślązaków.

Jako zwolennicy ideałów narodowej demokracji, osobistymi autorytetami poparli rewolucyjną, ale – nie mającą jeszcze społecznego zaplecza – inicjatywę Wojciecha Korfanteo apelującego: „Precz z Centrum!”. Zostali rzeczywistymi szermierzami nadchodzącej burzy. Swym doświadczeniem, zaufaniem i potencjałem społecznego poparcia konsekwentnie promowali debiutującego polityka Korfanteo, demaskującego lojalistyczne oblicze centrowców, przez Tomasza Teodora Jeża słusznie zdegradowanych do rangi „adwokatów bojaźni”. O doniosłości tych rekomendacji świadczą sukcesy „śląskiego bożyca” na forum publicznym. W tym czasie Korfanty został politycznym gwiazdorem górnośląskiego nieba.

Rozłam

Tak było do roku 1910. Wtedy to Wojciech Korfanty niespodziewanie odwrócił się od radykalizmu Towarzystwa Ludowego. Stał po stronie „Centrum”, bastionu ideologów ugody z zaborcami – którzy inicjatywy górnośląskich chadeków próbowali zintegrować z dyrektywami cesarskich nacjonalistów.

Dzięki rekomendacjom wpływowego wydawcy i polityka Adama Napieralskiego, Korfanty z mieszkania przy ulicy Gliwickiej 4, z żoną i dziećmi przeprowadził się do Berlina. Prócz kwatery otrzymał posiadłość. Został korespondentem Agencji Telegraficznej. Wycofał się z szeregów narododemokratycznych. Z gościny nad Sprewą zrezygnował dopiero po siedmiu latach, gdy wielkopolscy niepodległościowcy zaczęli kompletować gabinet cieni Polski zmarłych wstającą.

Pierwsze zgrzyty i niesnaski pomiędzy liderem Korfantym a wytrwałymi entuzja-

stami radykalnego programu Ligi Narodowej dały się zauważyć już około 1905 roku. Rąbka tajemnicy tego sekretu uchylił Jan Jakub Kowalczyk, wieloletni kolega, sojusznik i współpracownik Korfanteo, wspólnie z którym założył i redagował legendarnego „Górnoślązaka”. Oto fragment jego wspomnień z „Odrodzenia Górnego Śląska”:

„Gdy odbywałem kaźń więzienną w 1905 roku, odwiedzał mnie częściej mój przyjaciel i adwokat dr. Zygmunt Seyda, by zemną omawiać różne sprawy procesowe, gdyż prusacy nie ustawali w szykanowaniu mnie wytaczaniem mi różnych śledztw. Przy jednej z takich okazji – było to w maju 1905 r. – oświadczył mi, że wiadomość, którą mi przynosi, zetnie mnie z nóg, poczem na moje naleganie, by mi powiedział, o co chodzi, oznajmił mi, że Wojciech Korfanty, korzystając z mej nieobecności w „Górnoślązaku”, kręctwem pozyskawszy dla siebie kilku mych zwolenników, którzy materialnie „Górnoślązaka” popierali podpisaniem weksli i innymi poręczeniami, założył pismo trzy razy tygodniowo wychodzące, pod tytułem „Polak”. A zrobił to w tym celu, by ubić „Górnoślązaka”, mnie zaś i kolegę Piechulka by utracić politycznie. Używszy pod adresem Korfanteo pewnego ostrego wyrazu, pogodziłem się z tym faktem, złorzecząc losowi, że jestem skrupowany i nie mogę się bronić przed podstępną akcją zrekomego przyjaciela i „brata” ligowego.”

Tekst dostępny pod adresem internetowym: <https://www.sbc.org.pl/dlibra/publication/68234/edition/64977/content>

„Gazeta Ludowa”. Narodziny

W rezultacie zmian na górnośląskiej arenie politycznej, dr Seyda został partyjnym adwersarzem Wojciecha Korfanteo. Zaczęła go otaczać legenda przywódcy górnośląskiej endecji. Niezależnością i radykalizmem, skutecznie przeciwstawiał się politycznie rozchwianym i niejednoznacznym inicjatywom tandemem Korfanty – Napieralski.

Wspólnie z dr Józefem Rostkiem i grupą 29 akcjonariuszy-działaczy endeckich ze Śląska i Wielkopolski, założył spółkę wydawniczą o nazwie „Gazeta Ludowa”. Redagowanie czasopisma powierzył ks. Pośpiechowi. Jako strategiczny akcjonariusz pełnił funkcję członka rady nadzorczej. Zyskiwał wpływy i uznanie. Awansował w strukturach endecji zaboru pruskiego.

Razem dla Polski

Polityczne swary i awersje wygasły w latach Powstań Śląskich i Plebiscytu. 22 czer-

ca 1922 roku, gdy do Katowic pod wodzą gen. Stanisława Szeptyckiego uroczyście wkraczała 25 Dywizja Piechoty Wojska Polskiego. Na granicy miasta żołnierzy maszerujących pod Biało-Czerwoną witali: członkowie tymczasowej Rady Wojewódzkiej z wojewodą Józefem Rymerem a wraz z nim Wojciech Korfanty, wiceminister MSZ Zygmunt Seyda, Jan Jakub Kowalczyk i inni bohaterowie wojny o Śląsk.

Przypomina o tym pamiątkowa fotografia.



Wkroczenie wojska polskiego na Śląsk 1922. Na trybunie stoją od lewej: wiceminister Zygmunt Seyda, Józef Rymer, ks. Jan Kapica i inni

U schyłku kariery

W 1922 roku dr. Zygmunt Seyda został szefem Warszawskiej Delegatury Górnośląskiego Związku Przemysłowców Górniczo-Hutniczych, zgodnie z umowami międzynarodowymi, wciąż jeszcze zatrudniającego niemieckich menadżerów. Piastował wtedy godność wicemarszałka Sejmu RP. Przeciwnicy parlamentarni zgłosili votum nieufności wobec jego inicjatyw ekonomicznych; wskazywali, że wykonując czynności administracyjne na rzecz wrogiemu Polsce kapitału, jednocześnie pełni kluczową funkcję w państwie Polskim. Wicemarszałek Seyda, natychmiast złożył rezygnację ze stanowiska w izbie poselskiej. Dalszy bieg wypadków przerwała niespodziewana śmierć. Zmarł w szpitalu podczas operacji.

Decyzje menadżerskie marszałka Seydy dowiodły, że priorytetowym celem jego strategii była starannie przemyślana polonizacja kadr górnośląskiego przemysłu, tymczasowo (zgodnie z traktatami) kierowanego przez niemieckich urzędników, a równocześnie, racjonalnie i systematycznie przekazywanego pod wyłączną kontrolę produkcji, dobrobyt Polakom a pomysłne perspektywy polskiej gospodarce.

W 1925 r., po nagłej śmierci wybitnego dyplomaty i parlamentarzysty, jednej z ulic w Dębie, katowiczanie nadal imię Zygmunta Seydy. Z urzędowego spisu zostało usunięte w 1951. Nie pasowała do bolszewickiej legendy Stalinogrodu.



Katowice, Kamienica, ul. Wojewódzka 14



Michał Czulak – założyciel i dyrygent chóru



Śpiewająca aktorka – Wiktoria Węgrzyn-Lichosyt



Bielski Chór Gospel w anielskich strojach

O kres sylwestrowo-karnawałowy tradycyjnie sprzyja radosnemu muzykowaniu. W ostatnim czasie interesujące przedsięwzięcia zorganizowano w dwóch różnych miastach naszego regionu.

Cała sala śpiewa z nami

Prywatny Teatr Muzyczny Wit-Wit w Gliwicach rozbrzmiewał w sylwestrową noc melodyjnymi szlagierami z rozmaitych epok muzycznych. W programie atrakcyjnego koncertu – powtórnego na zbiorowe życzenie widzów 22 stycznia – znalazły się m.in. sławne arie operetkowe, przeboje ze znanych musicali, piosenki z przedwojennych filmów polskich, a także współczesne hity o tanecznym charakterze. Nie brakło również sentymentalnego utworu z czasów szaleńczej popularności big-beatu w naszym kraju. Wokalne i taneczne popisy artystów z Gliwic były przyjmowane z ogromnym aplauzem przez zgromadzoną w teatrze publiczność.

Sylwestrowa impreza przebiegała pod hasłem „Cała sala śpiewa z nami”, bo pamiętny przebój zmarłego niedawno piosenkarza Jerzego Połomskiego o takim właśnie tytule stanowił charakterystyczne motto całego koncertu. Okazji do wspólnych chóralnych śpiewów było mnóstwo. Ponadczasowe szlagiery operetkowe z „Wesołej wdówki” Lehara („Usta milczą, dusza śpiewa”) czy „Ptasznika z Tyrolu” Zellera („Lat dwadzieścia miał mój dziad”), utwory z musicali „My fair lady” Fredericka Loewe („Przetańczyć całą noc”) czy „West side story” Bernsteina (melancholijna „Maria”) wprawiły widzów w pogodny nastrój.

Nostalgiczną atmosferę w stylu „retro” tworzyły zaś piosenki ze starych polskich filmów, by wymienić chociażby utwory: „Już nie zapomnisz mnie”, „Zimny drań”, „Ach, jak przyjemnie” oraz „Umówiłem się z nią na dziewiątą”. Widowskawy kankan z pochodzącego sprzed 160 lat widowiska operetkowego „Orfeusz w piekle” Offenbacha był jedną z gorąco oklaskiwanych atrakcji koncertu, podobnie jak efektowny układ

Od operetki do big-beatu

ZBIGNIEW LUBOWSKI

choreograficzny przy dźwiękach tanecznego hitu „Samba de Janeiro” z końca XX wieku.

Przypomniano również piosenkę „20 lat, a może mniej” z repertuaru Jacka Lecha, wokalisty big-beatowej formacji Czerwono-Czarni, funkcjonującej w Polsce w czasach wczesnego rock’n’rolla.

Repertuarowa różnorodność muzyczna była cennym atutem imprezy. Pomysłodawcy koncertu – artystyczne małżeństwo Ewy i Stanisława Witomskich – zadbali po prostu o urzeczywistnienie znanego powiedzenia: „dla każdego coś miłego”. Ukontentowani widzowie zgotowali w rewanżu długotrwałą owację śpiewakom – Katarzynie Krajcer i Stanisławowi Witomskiemu, a także tancerzom, w tym zwłaszcza żeńskiemu tercetowi, złożonemu z Alicji Danel, Natalii Mikolasek oraz Olivii Pajonk, utalentowanych słuchaczek Studia Aktorskiego Teatru Wit-Wit. Oprawa taneczna widowiska była scenicznym majstersztykiem.

Kolędowanie w stylu „gospel”

Ciekawy charakter miała również impreza muzyczna w Bielskim Centrum Kultury im. Marii Koterbskiej. W ostatnią sobotę stycznia zorganizowano tam koncert Bielskiego Chóru Gospel. Była to prezentacja najpiękniejszych kolęd i pastorałek w aranżacjach utrzymanych w oryginalnej konwencji „gospel” – chrześcijańskiej muzyki obrzędowej, tkwiącej u źródła jazzu. Publiczność miała też okazję wysłuchać niebanalnych interpretacji znanych standardów gospel, wywodzących się z XIX-wiecznych tradycji muzykowania („boskiego śpiewania”) czarnoskórych mieszkańców USA.

Bielski Chór Gospel istnieje od roku 2017. Od początku działalności jest związany z Domem Kultury w Olszówce, peryferyjnej dzielnicy Bielska-Białej, w której zbudowano przed 70 laty dolną stację beskidzkiej kolei gondolowej na Szyndzielnię. 60-osobowy chór zrzesza miłośników radosnego gatunku muzyki sakralnej. Dyrygentem zespołu jest Michał Czulak, który stara się dbać o zachowanie równowagi między różnorodnymi środkami artystycznego wyrazu w twórczości spod znaku „gospel”. Całkiem niedawno grupa wydała swoją debiutancką płytę CD pt. „Gospel – w tę świętą noc”.

Występ chóru w sali widowiskowej BCK (w popularnym parku w mieście) spotkał się z dużym zainteresowaniem bielskiej publiczności. Warto odnotować, że aranżacje poszczególnych utworów były dziełem świetnego pianisty Jacka Obstarczyka, kierującego zespołem, w którym wyróżniali się instrumentalści z sekcji rytmicznej: basista Jakub Bejda, perkusista Seweryn Piętka oraz Patryk Zakrzewski grający na tzw. perkusjonaliach. Pulsacja rytmiczna zaprezentowanych utworów przesądziła w dużym stopniu o ich atrakcyjnym brzmieniu.

Widzowie usłyszeli m.in. najślawniejsze kolędy: „Wśród nocnej ciszy”, „Przybieżeli do Betlejem”, „Cicha noc”. W wykonaniu chórzystów rozbrzmiewały ponadto standardy gospel – „You are faithful”, „Do not pass me by”, „Stand on the word”. Sześcioro wokalistów z kilkudziesięciuosobowego chóru miało w rękach mikrofony – dwa sopranu z lewej strony, dwa altu z prawej i dwa tenory – w środku. Był to świadomy zabieg dyrygencki – chęć dźwiękowego uwypuklenia głosów z różnych rejestrów wokalnych. Przyczyniło się to do nadania koncertowi nowej, efektownej formy, co niezbyt często zdarza się w wokalistyce chóralnej.

Impreza miała też swój dodatkowy atut. Nad oprawą konferansjerską koncertu czuwała z dużym wyczuciem estradowym Wiktoria Węgrzyn-Lichosyt, śpiewająca aktorka Teatru Polskiego w Bielsku-Białej. Wystąpiła ona w podwójnej roli – prezenterki i utalentowanej wokalistki. Dość ekspresyjnie zaśpiewała z towarzyszeniem chóru dwie pastorałki – „Pomoc z nieba” (w duecie z Michałem Czulakiem) oraz „Tę świętą noc”, uwiecznioną na płycie zespołu. Publiczność nie chciała wypuścić ze sceny rozśpiewanych chórzystów. Bielski Chór Gospel musiał dwukrotnie bisować. Radosne kolędowanie w bielskim przybytku kultury przybrało niezwykle oblicze!

fol. Radosław Rzepka



Śpiewaczka Katarzyna Krajcer w otoczeniu gliwickich tancerek z Teatru Wit-Wit

Mężowi

Pamiętam jeszcze jak Twoje oczy
piękne, brązowe oczy
smakowały moje ciało,

jak miałeś apetyt na życie,
a ja czułam nie tylko
mnie ale i duszę
nieśmiertelną.

Ile to już lat, powiedz,
nie czuję już ciała,
a moja dusza
tęskni za wiecznością.

VIII, 2013

Degustacja perfum

zapach popiołu
nie pasuje
do ciała

Twoja miłość
i wspomnienia
nie pozwalają
zestarzeć się

2013

Pieszczota rzęs

gdy moje rzęsy dotykały
twojej twarzy
myśli były ponad nami
a tylko oddech naszego ciała
mówił
że miłość przeniesie nas
przez wszystkie lzy

Ostatnia koszula

ostatni raz prasowałam
Twoją koszulę
była biała jak śmierć
która dwa dni temu
kazała Ci umrzeć

tę koszulę włożono Ci
na ostatnią drogę

pamiętam
wybrałam tę najładniejszą
jeszcze te spinki aby
dopiąć mankiety

przy końcu świata
nie będziemy nadzy
zostanie miłość
jak ta starannie
wyprasowana koszula
po raz ostatni

XI, 2010

Wspomnienie

może to nie był
ostatni raz
gdy otulałeś
kocem
moje ciało
bym czuła się
bezpieczna i kochana

2010

Odległość

Już dalej nie mogłeś ode mnie uciec.
Spotkamy się w wieczności
i tak.

Tęsknota

wyciągam dłoni
na długość
twojej obojętności

Patrząc na fotografię

czy zatańczysz ze mną
jeszcze raz
by mogło zdarzyć się znów

to spojrzenie
piękniejsze od słów

w cichym tańcu obojga ciał
otulona ciepłem Twoich rąk
czuję siebie piękniejszą
niż kiedykolwiek

2001

nie wiedziałam goniąc przez mrok
że znajdę siebie
w dłoniach Boga

Marzenie

jak Bóg da
i będzie chciał
jeszcze sobie kiedyś pogadamy

czy to możliwe
ty i ja
w samotność wejść
i w miłość

co uczy jak bez grzechu żyć
radować się i śnić

1983

W rocznicę ślubu

choć to już tyle lat
może dziesięć

a ja cieszę się
że dotykam raju
twego ciała
myślą nieskończoną
bo miłosną

i zastanawiam się
czy w wieczności
powtórzą się te chwile
które na ziemi wydają się
niebem



rys. Bogna Skwara

Pytanie

nie pytam siebie
czy to miłość
jeżeli ostatni grosz
zamiast na szminkę
wydaję na żeton
by z drugiego krańca świata
usłyszeć twój głos

1997

Opis Ukrainy Gogola

MARIAN SWORZEŃ

Bylem w Ukrainie – daleko za Kijowem, blisko Połtawy – jesienią 2007 roku. Pojechałem tam z plecakiem śladami Mikołaja Gogola, syna kozackiej rodziny. Mieszkałem w Mirgorodzie, skąd pochodzili jego dziadkowie, byłem w Soroczyńcach Wielkich, gdzie go ochrzczono i w Gogoliewie, w jego rodzinnym dworku, także w Dikańce, opisaną przezeń w pierwszym zbiorze opowiadań. Dotarłem do miast, w których pobierał naukę – do Połtawy i Nieżyna. Te miejsca i napotkanych ludzi opisałem w książce¹, której fragmenty zamieszczam.

Właśnie nadjeżdżał półciężarowy mercedes. Machnąłem ręką, auto zaraz stanęło. Zapytałem, czy jedzie do Mirgorodu. A tamten do mnie: – Pan Polak? Potwierdziłem. Kazał wsiadać: choć jedzie do Kijowa, to podrzuci mnie do Mirgorodu, nie ma o czym gadać. Kostia pracował pięć lat w Gdańsku jako brukarz, ma tam nadal znajomych, a teraz sam prowadzi firmę, też brukarską: – *Kiedyś ją przekazę mojemu synowi, ale teraz muszę zdrowo zasłużyć: ja i moi współpracownicy.* Powiedział mi, że Kibińce są położone najwyżej na Połtawszczyźnie, zaś majątek tutejszy należał kiedyś do kochanka imperatrycy: – *Ty znasz? Ka-tie-ri-na!* – i trzymając kierownicę jedną ręką, drugą wykonał kilka posuwistych ruchów. Kostia, który dla mojej wygody zrobił dwadzieścia kilometrów i drugie tyle musiał wracać, stanowczo odmówił jakiegokolwiek zapłaty za jazdę. Poprosiłem, by mnie wysadził na rogatkach miasta. Gdy odjeżdżał, długo machałem mu ręką.

Minie jakiś czas i już w Polsce przeczytałem w książce Leonida Kuczmy opis rozmowy „z pewnym działaczem partyjnym z Moskwy”. Tenże działacz postawił sprawę tak: *Przecież i pan, i ja wiemy, gdzie się kończy Europa. [...] Zachód kończy się tam, gdzie kończy się Ukraina Zachodnia.* Kuczma pisze porozumiewawczo: *Udałem, że dobrze rozumiem, o czym mówi.* Mimo przykładu „partyjnej szczerości” i moich wątpliwości, czy było per pan czy raczej per towarzysz, ofiaruję konia z rzędem temu, kto wszedłby w sens wypowiedzi owego działacza: czy szło o przedwojenną granicę Polska-ZSRR, czy o granicę PRL-ZSRR. Niemniej, tenże gość z Moskwy uświadomił prezydentowi Kuczmi, naoczny dyrektorowi kombinatu raketowego, nader dobitnie, że nawet dla Rosjan Ukraina jest niezmiennie częścią Europy. Dodam do tego jeszcze jeden głos, całkiem odmienny, nazwany przez jego autora, Jurija Andruchowicza, „wnioskami wodnym”. Warto posłuchać tego ukraińskiego pisarza: *Ukraina dlatego całkowicie należy do cywilizacji zachodniej, europejskiej, ponieważ w naszym kraju nie ma kropli wody, która by nie należała do Atlantyku.* Jak więc z tego widać, markiz de Custine bardzo się wyrychlił swoim niefrasobliwym stwierdzeniem: „Syberia zaczyna się nad Wisłą”, gdyż jeśli chciał w ten sposób dosłonić Rosjanom, to przy okazji dołożył i Polakom, i Ukraińcom. Eh, niech mu tam będzie!

Jazda *marszrutką* na Szyszaki starą drogą – przez ulicę Niepodległości, potem kręcenie wokół miasta i hajda, przed siebie. Jedziemy jak zwykle na Wielkie Soroczyńce, wzdłuż drzew i pól. Przy drodze ani jednego domu, i słusznie – dro-

ga jest do jazdy, domy do mieszkania. Chaty bieleją w oddali, drogi odchodzą pod kątem prostym. Co jakiś czas widać równoległe grzebienie drzew rosnących w szpalerach. Ktoś tę Ukrainę wyrównał – to pozostałości *pieriekowki* krajobrazu z lat trzydziestych. Pisał o tym niewinnie Breżniew, wówczas mierniczy i tzw. organizator rolnictwa: *Musieliśmy przecież nie tylko kasować miedze, łącząc na planach rozdrobione indywidualne grunty w jedno wspólne pole.* Dodawał również: *Opracowywaliśmy nowe mapy gruntów – pierwsze plany zorganizowanego, naukowego użytkowania ziemi w kołchozach.* Mimo takich zbożnych starań ni stąd, ni zowąd znajdujemy u niego utyskiwania: *Grożono nam kołami, widłami, pełnymi nienawiści liścikami, kamieniami rzuconymi w okna.* Ano tak, wiadomo, kto za tym stał: „kułacy i ich zausznicy”. Nie wspomniał ani słowem, że przy kasowaniu granic niszczone ludzkie życia i dusze, że kolektywizacja nie polegała bynajmniej na pyskówkach z geodetami i analizie „liścików” z pogróżkami, ale na bezwzględny terrorze wobec nieposłusznych. Ukraińskie pola nie mają więc miedz, zamiast nich są linie drzew, tworzących wielkie prostokąty; jedni mówią, że dla ochrony przed wiatrami, inni, że przeciw czołgom (sam słyszałem) – nie widać nigdzie ludzi, czasem dostrzeżesz przyczepy zostawione na polu. Są to olbrzymie połacie ziemi, o których mógłby marzyć każdy rolnik Europy. Byli tacy „marzyciele”, przechodzący zaraz do czynu...

Po wkroczeniu Hitlera do ZSRR wywożono stamtąd ziemię, by wzbogacić czarnoziemem chude calizny Rzeszy. Tłuste kawały ukraińskiej ziemi rzucono na nieurodzajne piaski Brandenburgii i Meklemburgii, a także Pomorza – niegdyśszego *Heimatu* księżniczki Zofii Augusty von Anhalt-Zerbst, późniejszej carycy Katarzyny II. Równoległe wykarczowane tereny pod nową kolonizację, ludzi tutejszych nigdzie nie wożono, zabijano ich na miejscu; rozpozczęto od mordowania Żydów: do dołów śmierci w Babim Jarze pod Kijowem ofiary docierały pieszo. Zwłok nie zasy-



fol. Marian Sworzeń

Cerkiew w Wielkich Soroczyńcach

¹ Wywiad udzielony przez Autora „Opisu krainy Gog” Witoldowi Turantowi zamieściliśmy w miesięczniku „Śląsk” nr 8/2012.

pywano, nie było na to czasu, stale nadciągały tysięczne kolumny... Już, już wydawało się, że to zostanie zapomniane, ale niedawno pojawiła się książka Jonathana Littella *Laska we*, a w niej kilkadziesiąt przejmujących stron o tej zbrodni rozpoczętej w żydowskie święto Jom Kippur, w Sądny Dzień, 29 września 1941 roku.

Potem była jazda w deszczu, drogi coraz to węższe, obsadzone drzewami. W jakiejś wiosce widziałem komin podobny w swym przechyle do wieży w Pizie – wyglądał jak ceglany łuk, napięty przez jakiegoś mocarza, może nawet przez bohatera kijowskich bylin – Ilję Muromca. Wysiadka w Priłukach, kozackim mieście pułkowym: stamtąd za kwadrans ruszę kolejnym autobusem do samego Nieżyna. Nowy autokar już się podtoczył, motor warczy, ludzie wsiadają – nie ma szans, bym zdążył podskoczyć do monasteru hustyńskiego, położonego całkiem blisko; kiedyś stał na rzecznej wyspie, teraz już bez tej ochrony, bo odnogę Uda-ja zasypało. To tutaj powstał *Latopis hustyński*, jeden z najważniejszych tekstów ruskiego kronikarstwa, doprowadzony skrupulatnie do roku 1596 – nie tylko powstał, ale i przetrwał. Jest w nim zapis, który warto zapamiętać, dotyczący roku 1516, brzmiący jakże zdecydowanie: „Tego roku zaczęli się na Ukrainie kozacy, o nich zaś, skąd i jak początek swój wzięli, nieco powiemy”. Z tego „nieco” wybieram tylko jeden kąsek.

„I potem ten wojny miłujący naród, zasmakowawszy sobie w zdobyczy, ustanowił sobie przywódcę spośród siebie, nazywanego kozak, od niego zaś samego i sami potem kozakami nazwali się”. Chociaż nie wątpimy w dobrą wiarę autora, to i tak dyskusja o pochodzeniu słowa „Kozak” nadal trwa w najlepsze, od dawna i do dzisiaj. Jedną z takich teorii odsyła do tatarskiego słowa *Kazak wilejati*, znaczącego „ziemie Ukrainy”. Tak jest właśnie podane u naszego Glogera w *Encyklopedii staropolskiej*, ale on na tym bynajmniej nie poprzestał. Dowiadujemy się od niego, że książę Józef Poniatowski w chwili śmierci miał na sobie burkę kozacką utkaną „z długiej czarnej sierści wielbłądziej, materją karmazynową podbitą”. Dlaczego kozacką? Bo jego oddział przyboczny składał się z „czterdziestu najpiękniejszych mołoców” wybranych z pułku „Wiernych Kozaków”, którego był atamanem. O wierności kozackiej wiele dobrych słów znajdziemy też w *Pożodze* Zofii Kossak-Szczuckiej, której dworek na Wołyniu, zanim przyszła do niego zagłada, był pilnowany przez Kozaków dońskich. „Morowe to były chłopcy i do dzisiaj wspominam ich z prawdziwą sympatią. Niechaj to, co piszę, nie dziwi nikogo. Ogół naszego społeczeństwa polskiego nie zna prawie zupełnie kozaków i odnosi się do nich z niesłusznym a niesłychanie mocnym uprzedzeniem”. I dalej pisze o ich janczarskiej tresurze podczas zaprawy do służby wojskowej i o nieuniknionych tego skutkach – okrucieństwie wobec innych, wykorzystywanym przez rządy carskie. Koda jest jednak podniosła: „Jest to rasa mająca większą przyszłość niż sami Rosjanie, zżarci nieuleczalnym nihilizmem”. Skoro w książce „naszych sześciu Dońców” przedstawiało doskonale typy prawdziwych, rdzennych kozaków – rozciągnijmy to na wszystkich z ich plemienia. I to mogą być nasze najlepsze życzenia dla tego narodu.

Gdy oddawałem się zrywaniu ostów z bluzy, z bocznej dróżki podjechał chłop z babą na motorze. Zatrzymuję ich, pytam o Kapnistów; każą mi iść z powrotem, do Obuchowki, bo tu jest całkiem inna miejscowość. – *A jaka?* – pytam zdziwiony. – *Obuchowka*. Mówię, że idę właśnie z Obuchowki. – *Ale tutaj jest Obuchowka Mała i do tego inny rajon, powiat*. Są nienagannie uprzejmi, gotowi nawet zabrać mnie na trzeciego. Dziękuję, bo jadą w przeciwną stronę, więc dla mnie musieliby się cofać, a pani z motocykla

ma ponad setkę wagi. Dają mi jeszcze radę, każą po drodze szukać drewnianych schodków. Zawracam. Moja szosa staje się groblą między dwoma płaskowyzami. Po prawej ręce rozpościera się po horyzont wielka płaska ziemia. Podobne, dalekie i czyste widzenie, aż do granic wytrzymałości, przydarzyło mi się niedawno w Polsce, gdy patrzyłem na Opolszczyznę ze szczytu Góry św. Anny, całkiem blisko Gogolina, znanego dobrze dominium Karolinki i Karliczka, w którym od wieków lud – jak na całym Śląsku – nazywał gógólkami (albo i gogołami) wszelkie niewyrośnięte owoce. Pamiętam z katowickiego dzieciństwa słowa babci przy przebieraniu gruszek: – *Synek, to je gógóła, można jom wyciepać. Wiyncyj mi takich nie noś*.

Połtawa leży nad Worskłą, tą samą rzeką, nad którą, w jej górnym brzegu, w środku lata roku 1399 wojska wielkiego księcia Witolda zostały pobite przez Tatarów, a polskie posiłki w sile czterystu rycerzy wybito doszczętnie: wśród poległych był pan na podtarnowskim Melsztynie, wojewoda krakowski Spytko. Ilekroć przejeżdżałem autobusem przez Melsztyn, tylekroć dochodziła do mnie ta średniowieczna śmierć, odległa w czasie, ale bez czytelnego miejsca w przestrzeni. Teraz już było łatwiej... Musiałem odnaleźć w Połtawie dworzec autobusowy z ruchem lokalnym, żeby stamtąd pojechać do Dikańki. Taka *awtostancja* znajdowała się na drugim końcu miasta, dotarłem tam wlokącym się miejskim autobusem. „W tym mieście uczył się Gogol” – chociaż to najzwyczajniejsze zdanie, nie pochodzi jednak z przewodnika: znalazłem je u Bunina.

Ostatni kieliszek wypiliśmy koło północy. Zasnąłem na jedną noc w moim małym pokoiku, z czerwoną koldrą i różowymi zasłonami, tu, gdzie Gogol budził się i zasypiał trzy tysiące razy (mowa o Nieżynie). Był teraz rok 2007, trzysta czterdzieści lat temu ziemia czernihowska przeszła pod władanie Rosji. Toż to niewyobrażalny kawał czasu, kilkanaście pokoleń! I oto teraz Ukraińcy chcą odkręcić tę przeklętą nahajkę zwaną historycznym czasem, odgiąć, potrzymać w ugięciu i rozpocząć drogę powrotną. Może raczej od-wrotną, nie do, ale od: od wrót Rosji. Byle dalej, chociaż powoli... Jest coś takiego jak komunizm duchowa – dochodzi do niej, gdy wielkie pragnienie wyprzedza wytrwała walka lub cierpienie. Ukraina wycierpiała jak mało kto. ■



Autor przy wjeździe do Gogolejewa

Mowa erudyty i poliglotty

O *Oziminie* Wacława Berenta (1)

JERZY PASZEK

Pierwsze wydanie *Ozimy* nakładem Jakuba Mortkowicza wyszło pod koniec 1910 roku¹, choć na karcie tytułowej książki widnieje data MCMXI, co zresztą można ujrzyć nie tylko na półce w zasobnej bibliotece, ale także w Internecie, gdzie zaprezentowano właśnie tę edycję. Za życia pisarza przedrukowano powieść w roku 1924 i 1933, ale były to bardzo uszczuplone wersje oryginalnego dzieła, gdyż pominięto w nich duże fragmenty utworu (Berent wyrzucił około jednej trzeciej tekstu!). Firma Mortkowicza nie zatrudniała ani redaktora inicjującego, ani adiustatora, ani korektora (co wiem z dziejów dwu wydań *Wiatru od morza* Stefana Żeromskiego z roku 1922, w których doliczyłem się aż 300 literówek i również poważniejszych pomyłek w odczytywaniu kaligraficznego pisma autora²), więc nic dziwnego w tym, że brzmienie niektórych wyrazów lub zdań w publikacjach tej oficyny budzi spore wątpliwości uważnego czytelnika. Zresztą nieliczne duże błędy pierwszego nakładcy poprawiono w przedwojennych jeszcze wznowieniach *Ozimy* (np. zdanie rosyjskiego pułkownika: „A ty mi z tą łapą w **pieczatce** nicianej pod bok nie leż!”³ w wydaniu z roku 1933 brzmi: „A ty mi z tą łapą w **pieczatce** nicianej pod bok nie leż!”; gdyż chodzi tu o rękawiczki kelnera⁴).

Stąd biorą się kłopoty zwykłego czytelnika, ale także wszelkiej maści interpretatorów i polonistycznych znawców (Marian Kisiel rzekłby nawet „znawców” i „wyznawców”⁵). Tekst powieści Berenta jest trudny sam w sobie (ale i celny w przewidywaniu odrodzenia Polski⁶), a do tych sporych komplikacji i zawikłań polifonicznej (w Bachtinowskim rozumieniu terminu „powieść polifoniczna”), polisemantycznej (o czym pisałem⁷) i poliglotycznej narracji autorskiej wrzucają jeszcze swój wdowi grosz komentatorzy, zaczynając od anonimowego redaktora „Czytelnika”, poprawiającego liczbę „fig”, pokazujących przez barona Niemana młodej Ninie, z trzech na dwie⁸, co sprostował zresztą Ludwik Bohdan Grzeniewski⁹, a kończąc na Jacku Łukasiewiczu, który w słowach, odnoszących się do profesora z Krakowa („Tu, na **tratwiane dyle** u samego brzegu Wisły opadł”, Oz 324), dopatrywał się rzeczno przejazdu humanisty przez Powiśle na tratwie¹⁰.

Myślę, że wielojęzyczność bohaterów powieści (pamiętajmy, iż w roku 1904, czyli wtedy, gdy dzieje się akcja 18-godzinnej relacji Berenta z biesiady u Niemana i pochodów manifestacyjnych po ulicach Warszawy, kraj był jeszcze pod zaborem, stąd Polacy znali język rosyjski i niemiecki, a elity rozmawiały po francusku) może leżeć u podstaw wielu nieporozumień w kontakcie czytelnika z tekstem utworu. Nie dosyć, że mamy tu do czynienia z obcymi wyrazami i frazeologizmami, to autor dodatkowo te trudne słówka albo zapisuje po polsku (liczne hybrydy rosyjsko-polskie), albo wtlacza w skomplikowane syntaktyczne konteksty literackie, kreując zaskakujące aluzje literackie.

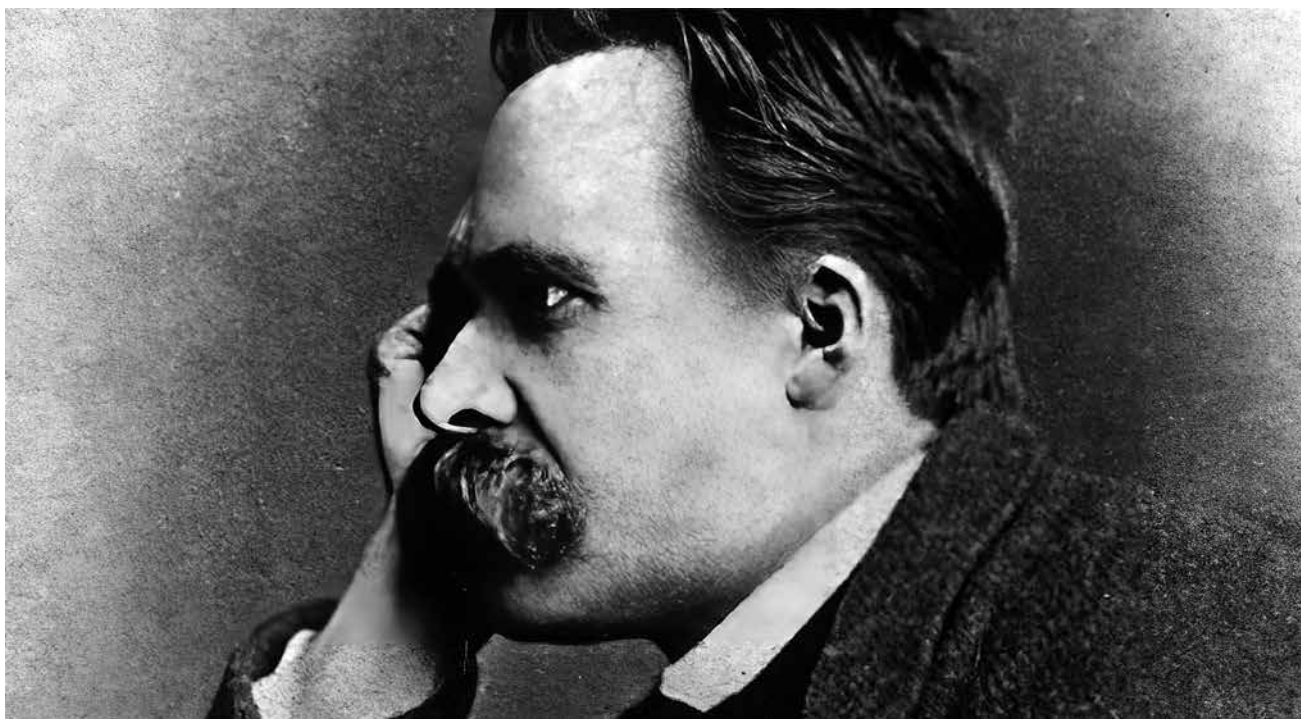
Zacznę od **atitudów**. Cały akapit (riposta hrabiego w rozmowie z księdzem kanonikiem) brzmi następująco: „Nasz gospodarz jest w zachowaniu się, w **atitudach**[.] w sposobie ujęcia sprawy i wytrwałości całkowicie ministrable... **Aa**, – – zupełnie ministrable!” (Oz 50). Słowo „atitudy” jest spolsz-

zeniem francuskiego rzeczownika attitude (‘postawa’, ‘sposób postępowania’) lub wyrazu angielskiego attitude (‘postawa’, ‘poza’ – ‘przybierać pozy’). Tak więc hrabia dostrzega w baronie pozowanie na ministra, przybieranie min ministerialnych. Dodany zaś wykrzyknik „Aa”, choć bez odpowiedniego znaku interpunkcyjnego, przypomina czytelnikowi zakończenie sonetu Mickiewicza *Widok gór ze stępów Kozłowa*, gdzie pojawiają się aż dwa wykrzykniki „Aa!”, mające oddać zdziwienie Pielgrzyma opowieścią Mirzy o Czatyrdahu, który widoczny jest z daleka „w postaci olbrzymiej chmury nowego koloru”¹¹. Czyli lektor *Ozimy* napotyka na zderzenie dwu słówek francuskich (nb., w najnowszej edycji powieści w „Kolekcji Prozy Polskiej XX Wieku”, PIW 1995, brak jakichkolwiek objaśnień pod tekstem lub na końcu książki!), a między nimi – dotychczas nigdy jeszcze nieprzyspilonnej – aluzji do poezji wieszczka. Warto dodać, iż stary major Komierowski na wieść o wybuchu wojny japońsko-rosyjskiej również wykrzykuje zdumiony „Aa...?!” oraz „Aa!...” (Oz 104). Tym razem narrator nie zapomina o znakach interpunkcyjnych. Po raz trzeci to echo Mickiewicza pojawia się w wykrzykniku Leny na słowa Niny skierowane do Oli („zamilknąć proszę!”) – „Aa?!” (Oz 190). Ola ripostuje wykrzyknikiem „Oo!” (ib.).

Podobna sytuacja wyłania się na początku biesiady u Niemianów. Bolesław Zaremba spotyka Ninę, swoją znajomą ze wsi. Chce ją uroczyście powitać jako Amalteę: „**Amalteo!** – zaczął już było, gdy ten gest ostatni [Nina wbiła szpilke we włosy „jak widły w snop”] tajemniczym kojarzeniem drobiazgów naprowadził go na dawne wspomnienie” (Oz 5), czyli tak, jak Zosia została przywitana przez hrabiego w *Panu Tadeuszu*: „O ty! rzekł, jakimkolwiek uczczę cię imieniem, / Bóstwem jesteś czy nimfą [...]”. Ale Zaremba mityguje się i powiada: „Panna Nina?” (Oz 5). Amalteę była w mitach greckich albo nimfą, karmiącą Zeusa mlekiem i miodem, albo tylko kozą, służącą olimpijczykowi swoim mlekiem. Czy Bolesław zamierzał igrać tą dwuznaczną nazwą Amaltei? Bo hrabia też myślał o „złotym rogu Amaltei”, z którego Zosia częstuje dzieci, a nektar okazał się marchewką!¹² Tę akurat aluzję objaśnił czytelnikom tomów „Biblioteki Narodowej” Michał Głowiński (BN LI).

Zaremba, wspominając tyradę diwy operowej, uważa, iż na początku XX wieku „rozpętanie młodego życia imituje przed nią [maską współczesnych, „larwą dusznego bezwładu”] opiumowa lubieżność **megery** wielkowiejskiej” (Oz 136; zob. też Oz 116: „Beardsleyowskiej **megery** opiumowa lubieżność”). Prus i Żeromski pisali „megiery”. Czyżby Berent chciał tu wskazać na mitologiczną postać Megajry, u Wergilego zabijającej Turna, walczącego z Eneaszem – ‘jednej z trzech erynii, bogiń kary’¹³, a nie tylko na ‘kobietę despotyczną, kłótniawą, złą, przeważnie starą i brzydka; jędzę, heterę’¹⁴? Oto dylemat dla lektora-znawcy i entuzjasty!

Tak więc megera nie musi być megierą, a markiza nie zawsze bywa arystokratką, wychodzącą o piątej ze swojej rezydencji (Flaubert): może zdobić palce niewiasty. Zaremba, obserwując dawną swoją kochankę, dostrzega jak tańczy „niby



kusa marionetka diwy palec wskazujący, na pół długości przysłonięty rubinową **'markizą'** pierścienia. I tak krwawnikiem płonąca, migotliwy od brylantów otoczy w ptaszka naśladowaniu wabił ku sobie palec śpiewaczki, ku tej piersi wzdętej i rozdygotanej pod rezonansem potężnego śpiewu" (Oz 116). Doroszewski twierdzi, iż markizą nazywano ongiś 'pierścienek o owalnym ząbkowanym oczku'¹⁵. Z cytatu jednak wynika, że mógł to być klejnot bardzo bogaty, bo i z krwawnikiem, czyli karneolem, który 'najcenniejszy, krwistoczerwony, pochodzi z Indii'¹⁶, i w „otoczy brylantów”! Żeromski – cytowany przez Doroszewskiego – stwierdzał, że taka markiża mogła pokrywać całe palce, ale to chyba hiperbola! Warto zwrócić uwagę na styl, w którym wyzyskano pokrewne (śpiewaczka i śpiew) lub podobne (pierścień i pierś) wyrazy. Jest to proces zagęszczania tekstu, charakterystyczny dla prądu ekspresjonistycznego¹⁷.

Gdy mowa o strojach kobiecych, to czytelnik powinien zastanowić się nad zadziwiającą predylekcją pisarza do rotund i zarzutek. Rotundy noszą tu i diwa, i Ola. Zarzutki lubi tylko śpiewaczka: „w puchach **zarzutki** jak w piórach ptaka białego” (Oz 31), „jej postać zatulona w białych puchach **zarzutki**” (Oz 32). Zarzutka jest tu zapewne 'pelerynką zarzucaną na ramiona', a nie 'lekkim okryciem głowy'¹⁸. Natomiast rotunda dla kogoś, kto mieszkał w okrągłym akademiku UJ koło krakowskich Błoni i chodził do przylegającego doń kina „Rotunda”, pogodzenie się z widokiem wytwornych kobiet w takich owalnych narzutach jest zaskoczeniem. Fachowy dykjonarz powiada szeroko: 'wierzchnie, sięgające do ziemi okrycie kobiece, o kształcie kolistym, rozszerzającym się do dołu, wykończone przy szyi zwykle małym kołnierzykiem, z pionowymi małymi rozcięciami na ręce; zapinane na guziczki od góry do dołu'¹⁹. Lektor odczytujący zdanie: „Zamknęła skrzydła **rotundy** – zatuliła się [diwa] w płaszcz królewski” (Oz 132) jest zakłopotany, bo wedle definicji słownikowej trudno sobie wyobrazić „królewskość” takiej szaty! Nie pomagają mu inne cytaty: „W długiej **rotundzie** na ramionach [...] zmierzła diwa ku wyjściu” (Oz 131; zob. też Oz 133 i 134); „W mgłą jakby zasnutej poświacie amplii stała Ola owinięta w swą **rotundę**” (Oz 184); „zatuliła się [Ola] cała drżąca i przybladła jeszcze bardziej, a wężutkie dłonie, wysunawszy się z ukrycia **rotundy**, sięgnęły jak macki drżące skroni obu” (Oz 186); Ola „drobna była z siebie i szeroko przysłonięta jasną **rotundą** z białym futrzanym kołnierzem” (Oz 253); „Tam w głębi stała ona [Ola] w **rotundzie** na ra-

mionach. Złota głowa o migdałowym owalu i ustach dziecka spoczywała na białym futrze podniesionego kołnierza jak na misie ofiarnej, cała w dymach od cygar jak w kadzidłach obywatelskich” (Oz 15; zob. też Oz 320: „jasna **rotunda** z białym futrzanym kołnierzem”).

Uważam, iż Głowiński zbyt skąpo skomentował frazę dotyczącą męskiego ubioru: „kłaniała się **maciejówką** jakaś niska figurka” (Oz 292) poprzez definicję: 'czapka z okrągłym denkiem, z paskiem lub sznurkami nad daszkiem' (BN 265). Cytowany już profesjonalny *Słownik terminów artystycznych i architektonicznych* w wyjaśnieniu dodaje ważne informacje historyczne (Legiony Piłsudskiego!): 'okrągła czapka męska z szarosinego lub granatowego sukna, z daszkiem skórzanym, rozpowszechniona pod kon[iec] XIX w. wśród pol[skiej] ludności wiejskiej; przed I wojną świat[ową] używana przez członków organizacji strzeleckich w Galicji i w Legionach'²⁰.

Pod literą „A” warto jeszcze podeliberować o takich hasłach, jak: **androceum**, **absolucja**, **abraxax**. Baron Nieman, chcąc przekonać Ninę do swojego pragmatycznego spojrzenia na życie, wszelkie mistycyzmy określa „czarnoksięskim” słówkiem „*Abraxax!*” (Oz 241 i 250). Wedle barona wyraz ten może być i „purpuratowy” (Oz 241; w innym miejscu mowa o „purpurowej pasji”, Oz 98; wargi Niny są jak „pękający owoc granatu”, a jej słowo 'jak **purpurowe** tego granatu ziarno”, Oz 5 – czyżby ukrywała się tutaj pierwsza aluzja do mitu o Persefonie i Demeter?). Ma to być jednocześnie i nawiązanie do poezji Woydy (jego „purpura marzeń”, Oz 240, 267, 268), i sugestia do podniosłego stylu wymowy dostojników kościelnych, „purpuratów” (tak tłumaczy ów neologizm Głowiński, BN 221). Nb., na sabacie czarownic widać „purpurę ogniska” (Oz 252).

Możliwe jest, że baron ma rację, gdyż w leksykonie obcych wyrazów pod redakcją Mirosława Bańki pojawiają się dwie definicje słów abraxas i Abraxas: 1. 'bóstwo gnostycyckie późnej starożytności, którego imieniu, zgodnie z zasadami numerologii, odpowiada liczba 365 i które jako magiczne zaklęcie umieszczano na talizmanach, czasem z wizerunkiem człowieka z głową koguta i wężami zamiast nóg'; 2. 'talizman z takim wizerunkiem, będący dawniej przedmiotem handlu (prawdopodobnie) akronim utworzony z początkowych liter hebrajskich imienia Boga'²¹. Tu trzeba przyjąć, iż Nieman mówiąc „*Abraxax!*”, miał na myśli słówko „Abraxas”...

„Absolucja” ('rozgrzeszenie') pada z ust młodszego Komierowskiego, powracającego do swoich przeżyć na Sybe-

rii: „Zaś ta odśrodkowość dusz ich [Rosjan], ta ‘taska’ i **absolucja** zarazem przesyłana bezkresom ziemi rodzimej zaciętym mnie w czuciach znajduje; co ich na połowę ziemi rozprasza, mnie w siebie zbiera ponuro” (Oz 158). Widać pomieszanie słów rosyjskich (taska – ‘smutek, troska’) z leksyką pochodzenia łacińskiego (absolucja) i to jeszcze w oksymoronie: w równoczesnym przebaczeniu (ziemi rodzimej) i zatroskaniu o losy synów tej ziemi. To tak, jak gdyby Rosjanom trudno było odseparować się i od Wschodu (pesymizm i „taska”), i od Zachodu (katolicyzm, rozgrzeszenie). **Androceum** jest neologizmem Berenta na określenie ‘części domu przeznaczonej dla mężczyźni’ (BN, 16). Głowiński dodaje, iż nowotwór ten powstał na wzór łacińskiego terminu „gynaecium” (‘część domu przeznaczona dla kobiet’), czyli Berent – tak jak Olga Tokarczuk w tytule horroru *Empuzjon* – wymyśla wyraz, by odróżnić Olę, somnambuliczną malarzkę, od praktycznych mężczyzn: „buchnęło ku niej [Oli] powietrze **androceum** przez uchylone drzwi palarni. – Ilu mężczyzn tu było, oczy wszystkie roziskrzyły się ciekawością” (Oz 15). Gwoli ścisłości mogę dodać, iż antonimem gynaecium jest andron lub andronitis: ‘część starożytnego] domu gr[eckiego] przeznaczona wyłącznie dla mężczyzn, w odróżnieniu od części przeznaczonej dla kobiet [...]]; był to perystyl [dziedziniec domu], dookoła którego znajdowały się jadalnia i biblioteka²²’.

Przechodzę do litery „B”. Dawniej uważałem, iż słowo „**brewiono**” w pierwodruku (zdanie: „Na palenisku osunęło się kilka **brewion**, dobywając z zarzewia płomienie ostatnie [...]” Oz 60) jest błędem, bo powinien tu figurować oczywiście inny wyraz, **bierwiono**. Tak pisałem w artykule o „*Tkaninie duchowego stylu czasów*”²³. Wszakże lektura *Empuzjonu* (zbitka wieloznacznego słowa „empuza” – m.in. jako Empusa: nimfa strachu, towarzysząca Hekate, greckiej bogini ciemności; jako słówko francuskie „empuse” to ‘wampir’, rodzaj modliszki; ‘grzyb’ – oraz „sympozjonu”: m.in. ‘przyjęcie połączone z dyskusją na tematy artystyczne’) zmusiła mnie do zastanowienia, czy w jakimś dialekcie lub gwarze nie istnieje synonim bierwion w postaci zapożyczonej z rosyjskiego rzeczownika „briewno, briewien”. Co pisze Tokarczuk w swoim horrorze? Oto groźny krajobraz górski z wypalaczami drewna w tle: „Wokół stosów tłących się **brewion** rozwalało się grząskie błoto pełne kory, szyszek, gałęzi, jakby zdarto skórę lasu i jątrzoną ranę”²⁴. Nb., Linde w swoim dykcjonarzu pod hasłami Bierwiono, Bierzwiono, Bierzmo wspomina, iż w języku staro-cerkiewno-słowiańskim było słowo „briewno” i „briewieno”²⁵. Czy pisarz nie pomylił bliskich brzmieniowo słów? Tak jak myłono jedwab i jedbaw czy facelot i fa-colet?²⁶ Bo Berent lubi wszelakie archaizmy typu „**pakość**” (Oz 34; ‘złość, dokuczliwość’), „**złoba**” (Oz 279; ‘złość, złośliwość, przewrotność’), „**wróżda**” (Oz 337; ‘prawo krwawej zemsty za zabójstwo lub obrazę krewnego’), „**zrzałe** kształty” (Oz 184; ‘dojrzałe, dorosłe’), „**pawa**” (Oz 123; ‘samica pawia’), „**jątko**” (Oz 118; ‘jętko’)²⁷, a nawet „**bożyc**” (Oz 335, dwa razy; ‘syn Boga’) z *Bogurodzicy*: „dwoisty **bożyc** walki o wiosenne odnowy życia: Dionizos”, „Dioniz, zokrutniały **bożyc** walki o wiosenne odnowy życia, zstępuje na – rozszarpanie”). W innym horrorze, w apokaliptycznej wizji *Myśliwice*, *Myśliwice* Krzysztofa Bartnickiego oglądamy obraz Śląska pod rządami Siczy: „pospadały gruszki i jabłonki, zapyliły huty **brewno** nam, [...] rozdymały się hałdy dymiące”²⁸.

Dużo kłopotu Głowińskiemu przyniosło skomentowanie fraz „przed druidową świątynią **Carnac’u**” (Oz 170; „świątynię **Carnac’u**”, Oz 172; „ta świątynia **Carnac’u**”, Oz 175). Zapisał bowiem błędnie owe słowa jako „przed druidową świątynią **Karnaku**” (BN, 156; czyli szedł za DW, 144, 148, 255), a druidów umieścił w Egipcie, pisząc w objaśnieniu o „miejscowości [...] nieopodal Luksoru” (BN, ib.). W edycji z roku 1988 pojawia się co prawda określenie „przed druidową świątynią **Karnaku**”, ale u dołu stronicy czytamy: „*Carnac* – miejscowość w Bretanii (Francja); w pobliżu Carnac

znajduje się słynny zespół menhirów ustawionych w 13 rzędach”²⁹. Dziwna jest ta pomyłka komentatora, bo w epoce Młodej Polski odwiedzano Carnac! Stefan Żeromski pisał w roku 1910 do córki Henryka Sienkiewicza, Jadwigi, w liście: „Jesteśmy tutaj, w Carnac, od trzech dni, a jutro jedziemy do Paryża. Zwiedzamy bez przerwy menhiry i dolmeny nadzwyczajnie ciekawe”³⁰.

Profesor z Krakowa w bogatej bibliotece Niemana snuje porównania naszych trzech wieszczów romantycznych z celtyckimi druidami. Nie za bardzo lubi mistycyzm i ezoteryzm Mickiewicza (mówi o jego Vulgacie, Oz 172), bowiem woli „postaci o posągowym geście i jasnym spojrzeniu wieku Oświecenia” (Oz 169). Wśród białych kruków Niemana spostrzega druki „**drohomilskie**” (Oz 167). Pisząc o bibliofilstwie Berenta, doszedłem do wniosku, iż chodzi tu o druki „**dobromilskie**”, czego nie mógł Głowiński wyzyskać (tak, jak bez podania mojego nazwiska skorzystał z recenzji³¹, informującej, że tajemniczym Niemcem, piszącym o polskiej szlachcie, był Karol Kautsky: zob. ALFA 126), bo artykuł opublikowałem dopiero w roku 1988³².

Nie była to jedyna skaza **erudycyjna** na BN-owskiej edycji *Oziminy*.³³ Stosunkowo łatwo tu było wskazać na fakt powiązania tej powieści (podobnie jak i *Próchna*) z nazwiskiem Zenona Przesmyckiego, czyli Miriama. Chodzi mi o metaforę „**czara młodości**” (Oz 71), która niekiedy przemienia się w „**fanfarę młodości**” i „młodości **fanfarę**” (Oz 118), a nawet w „**pióropusz młodości**” (Oz 115). Berent nawiązywał tutaj do tomiku poezji Miriama pt. *Z czary młodości. Liryczny pamiętnik duszy* (Wiedeń 1893). Przypuszczam też, że neologizm z pierwszego wiersza tego tomu (*Ave vita!*) – „**płomienienie**” (z frazy „szarów płomienienie”)³⁴ mógł pojawić się zamiast słowa „płomienie” we fragmencie: „kurz i duchota jakby od potu ludzkiego zawisały w powietrzu pod jednej świecy [,] i gromniczne jakby [,] **płomienie**” (Oz 177). Zastanawiam się, czy w rękopisie było „płomienienie” czy „płonienie”, gdyż w kolejnym akapicie występuje paralelne zdanie z tym samym „rozpędnikiem” (jak mawiał Karol Irzykowski) – „Pod świecy żółte **mruganie** miotał się ten cień jak strzygą” [mowa o starym Komierowskim] (ib.)³⁵. Warto dodać, iż Nina mówi o swoim „konopianym błysku **splonienia**” (Oz 262).

Trudniejszym do wykrycia faktem adoracji młodopolańską późną twórczością Słowackiego jest cytacja – w ustach erudyty z Krakowa – frazy „czyj to ich porwał **wichr** i czyje **ramię**” (Oz 171), powracającej też na końcu powieści: „Pókiż tego urzeczenia romantyzmu nad każdym tu twardszym czynem gromadnie przodownym?! Pókiż tego zwalczania hydry siłami kolebek i zmagania centaurów ramionami dziewcząt?! Pókiż to poetów **ramię** i **wichr** będą porwały niedouków nie w dziedzinę ducha na ogarnianie ‘ludzkości całych ogromów’, lecz do przodownego czynu z małych doktryn ciasnoty?” (Oz 329). W przytoczeniu tym Głowiński wyłapuje (BN 300) tylko aluzję do *Ody do młodości* Mickiewicza, a nie dostrzega tekstu VI pieśni *Beniowskiego*: „To mój go porwał **wiatr**... i moje **ramię**...”³⁶. A przecie pisarze modernistyczni studiowali *Pisma pośmiertne* Słowackiego w wydaniach z lat 1866 i 1885, opracowanych przez Antoniego Małeckiego; czas pisania *Oziminy* to obchody 100-lecia urodzin poety, pobudzające filologów do prezentowania swoich prób edycji utworów wieszczą w opracowaniu naukowym (Bronisław Gubrynowicz i Wiktor Hahn ogłosili pierwsze 10-tomowe wydanie krytyczne *Dzieł* Słowackiego we Lwowie w roku 1909).

Hasło Miriama *Ave vita!* tłumaczy Berent na „radosność życia” (słowa diwy operowej, Oz 133), a również na rosyjski odpowiednik w ustach pułkownika, mówiącego o „**żyjniaradosti**” (Oz 145: „żyjniaradosti”; nb. po rosyjsku: „żyjniaradostnosti”). Tenże wojskowy spogląda na Ninę i dostrzega, iż jest „życiu rada tymczasem, przerada!” (Oz 144). Baron do Niny: „ta pani młoda, radosna ciekawość życia” (Oz 230); będzie też perswadował jej: „trzeba mieć twardą pięść dla tych wszystkich, co oblegają radość życia” (Oz 239). O go-

spodarzu przyjęcia Rosjanin powie: „ot i głównokomanduszczy ichniej tu dziś egzystencji” (Oz 146), czyli „jenerał sam” (ib.). Archaizm (jenerał) i hybryda leksykalna (polsko-rosyjska) będą ważnym chwytym artystycznym *Oziminy*, utrudniającym niewątpliwie lekturę tego dzieła czytelnikom, którzy w szkole podstawowej i liceum nie uczyli się języka rosyjskiego. Ale poliglotyzm Berenta jest uzasadniony nie tylko realiami 1904 roku, o których opowiada, ale i ukrytym celem nadrzędnym narracji: profecją odrodzenia Polski. Takie przepowiednie w 1910 czy 1911 roku musiały być zamaskowane przed carską cenzurą zagadkowymi słowami i frazami! Wszak pisał to „Norwid powieści historycznej XX wieku”³⁷.

Przypisy końcowe

1 Zob. rec. J. Kleczyńskiego w „Kurierze Porannym” (1910, nr 361) i anonimową w „Czasie” (1910, nr 587). Pisze o tym I.E. Ruśsek: *Życia lampy niewygasła. Studium o „Oziminiu” Wacława Berenta*. Warszawa 2017, s. 16-17.

2 Zob. J. Paszek: *Mortkowicz, Pigoń i Goliński wydają „Wiatr od morza”*. „Pamiętnik Literacki” 2011, z. 1, s. 195-206.

3 W. Berent: *Ozimina*. Warszawa – Lwów 1911, s. 98. Odwołania do tej edycji oznaczam skrótem Oz; wszelkie podkreślenia tekstu pochodzą ode mnie (J. P.). Nb., wcześniej (Oz 97) mamy: „w białej nicianej rękawiczce”!

4 Zob. W. Berent: *Ozimina*. Oprac. M. Głowiński. Wrocław 1974, s. 92. Cytując to wydanie z serii I, numeru 213 „Biblioteki Narodowej”; używam skrótu BN.

5 M. Kisiel: *Kairos. Szkice o poematach Karola Wojtyły*. Kraków 2022, s. 133. Na s. 128 kontaktujemy się tutaj jeszcze także z „entuzjastami”.

6 Zob. J. Paszek: *Profuzja profecyj w „Oziminiu”*. „Teksty Drugie” 2004, nr 6, s. 145-156.

7 J. Paszek: *O polisemii „Oziminy” Berenta*. „Pamiętnik Literacki” 1975, z. 1, s. 167-190.

8 Zob. W. Berent: *Ozimina*. Warszawa 1958, s. 280. Edycję tę oznaczam skrótem DW, gdyż wchodzi do serii „Dzieł Wybranych” pisarza.

9 L.B. Grzeniewski: *Druga czy trzecia figa w „Oziminiu” Berenta*. W tegoż: „*Drobniaków duch wspaniały i powietrzny*”. *Szkice o realiach literatury*. Warszawa 1981, s. 46-49.

10 J. Łukasiewicz: *Światła i (malarzkie) obrazy w „Oziminiu”*. „Prace Literackie” LV, Wrocław 2015, s. 134.

11 A. Mickiewicz: *Objaśnienia [poety] do „Sonetów krymskich”*. W tegoż: *Wiersze*. Oprac. Cz. Zgorzelski. Warszawa 1993, s. 254. Zob. hasło Aa! w *Słowniku Mickiewiczowskim* Marka Piechoty i Jacka Łyszczyny (Katowice 2000, s. 11). Nieoczekiwanie okazało się, że już Kraszewski w powieści *U babuni* (1878) użył rzeczownika „atitudy”: „Uważałeś – rzekł Sylwester, biorąc za rękę kuzyna – **atitudy** całego dworu. A! to było nieopłacone! Każdy udawał, że nie patrzy, a wszyscy [...] jedli oczyma nowo przybyłą” (J.I. Kraszewski: *U babuni*. Kraków 1976, s. 93-94). Od lingwistów (prof. Alicji Kijasowej i prof. Magdaleny Pastuch) słyszę, że w żadnym polskim dykjonarzu czy korpusie tekstów nie ma „atitudów”. Brawo Berent i Kraszewski!

12 A. Mickiewicz: *Pan Tadeusz*. Oprac. Z.J. Nowak. Warszawa 1995, s. 79, 77, 81.

13 *Wielki słownik wyrazów obcych PWN* pod red. M. Bańki. Warszawa 2003, s. 803.

14 *Uniwersalny słownik języka polskiego* pod red. S. Dubisza. T. 2: K – Ó. Warszawa 2003, s. 600.

15 *Słownik języka polskiego* pod red. W. Doroszewskiego. T. IV: L – Nić. Warszawa 1962, s. 462.

16 *Słownik terminów artystycznych i architektonicznych*. Oprac. K. Kubalska-Sulkiewicz, M. Bielska-Lach, A. Manteuffel-Szarota. Warszawa 2011, s. 187.

17 P. Hultberg: *Styl wczesnej prozy fabularnej Wacława Berenta*. Przeł. I. Sieradzki. Wrocław 1969, s. 154. Zob. też podstawową dla badań ekspresjonizmu *Oziminy* rozprawę M. Podrazy-Kwiatkowskiej i J. Kwiatkowskiego pt. *Magnuszewski – Berent – Kaden. Próba analizy nurtu stylistycznego* w t. zb. *Księga pamiątkowa ku czci Stanisława*

Pigonia (Kraków 1961, s. 415-433); w tymże t. zb. znajduje się szkic J. Garbaczowskiej pt. *U podstaw ideowych „Oziminy” Wacława Berenta*, kończący się zdaniem: „Koncepcja ideowa utworu była gotowa w roku 1906 [w *Ideji w ruchu rewolucyjnym*]. Po pięciu latach ubrał ją pisarz w kształt powieści ekspresjonistycznej” (ib., s. 535).

18 Zob. *Słownik języka polskiego* pod red. W. Doroszewskiego. T. X: Wyg – Ż. Warszawa 1968, s. 756.

19 *Słownik terminów...*, s. 355.

20 Ibidem, s. 249 (hasło Maciejówka, Maciejka).

21 *Wielki słownik wyrazów obcych...*, s. 4 (hasło Abraxas lub Abraksas).

22 *Słownik terminów...*, s. 13 (hasła Andron, Andronitis, Gyneceum).

23 J. Paszek: „*Tkanina duchowego stylu czasów*”. *O tekście „Oziminy” Berenta na nowo*. „Pamiętnik Literacki” 2014, z. 3, s. 13.

24 O. Tokarczuk: *Empujon. Horror przyrodoleczniczy*. Kraków 2022, s. 99.

25 M.S.B. Linde: *Słownik języka polskiego*. T. I: A – F. Warszawa 1951, s. 107 (reprint wydania: Lwów 1854). Zob. również: Z. Greń, H. Krasowska: *Słownik górali polskich na Bukowinie*. Warszawa 2008, s. 38: brewno to ‘pień drzewa, okrągły’.

26 *Słownik terminów...*, s. 113 (Facelot, Facolet), s. 174 (Jedwab, Jedbaw).

27 Zob. *Słownik języka polskiego* pod red. W. Doroszewskiego. T. III: H – K. Warszawa 1963, s. 359 (hasło Jątka). W edycjach następnych niepotrzebnie przyjęto, że tylko „jątka” jest poprawną formą! W tekście jest też „jętka” przez ‘ę’: „trwoga takiej ot jętki o młode życie” (Oz 217).

28 K. Bartnicki: *Myśliwice, Myśliwice*. Mikołów 2021, s. 130. Na okładce podpowieź kalamburów tytułu: *MYśliWice, MYśliWice*. Chyba jest tu też palimpsest: „myśliwi: chcemy śliwowiec”!? Piosenka ułanów z roku 1830 brzmiała: „Poszły panny na śliwcy, na śliwcy, na śliwcy, / a za nimi myśliwcy, myśliwcy, myśliwcy” (to wedle *Wspomnień o Warszawie* Ignacego Balińskiego, Warszawa 1987, s. 202).

29 W. Berent: *Ozimina*. Tekst i przypisy oprac. M. Głowiński. Wstępem poprzedził W. Bolecki. Warszawa 1988, s. 125. Edycję tę oznaczam skrótem ALFA (40000 egz. wydrukowało bardzo niestannie efemeryczne i efemerydalne Wydawnictwo ALFA).

30 S. Żeromski: *Listy. 1919-1925*. Oprac. Z.J. Adamczyk. Warszawa 2010, s. 536. Na s. 538 6 wersów o menhirach i ich funkcjach kultowych.

31 J. Paszek: [rec.] W. Berent: „*Ozimina*”. Oprac. M. Głowiński. Seria: *Biblioteka Narodowa, nr 213*. „Pamiętnik Literacki” 1975, z. 1, s. 369. Moją informację podał w 43 przypisie cz. II (ALFA, s. 126).

32 J. Paszek: *O bibliofilstwie Berenta*. „Studia Bibliologiczne”. T. 2. Red. J. Paszek. Katowice 1988, s. 56-69.

33 Dziwne jest pominięcie przypisu do wyrazów ujętych przez autora w cudzysłowach: „śmiej czerwony” (Oz 295), gdyż chodzi o tytuł opowiadania Leonida Andriejewa z roku 1905. Zob. R. Nycz: *Język modernizmu. Prolegomena historycznoliterackie*. Wrocław 1997, s. 239. Monografie Fundacji na rzecz Nauki Polskiej. *Możliwe, iż „Dzwonek Loretański. Pismo dla Sług” (Oz 48) swą fikcyjną nazwę zawdzięcza aluzji do sceny z *Bez dogmatu*, w której narrator boi się przekonać ciotkę, że podczas burzy nie należy „chwyciwszy loretański dzwonek, [...] obiegać cały pałac i dzwonić zawzięcie” (H. Sienkiewicz: *Bez dogmatu*. Oprac. T. Bujnicki. Wrocław 2002, s. 261; „Biblioteka Narodowa”). Zob. też hasło Dzwonek loretański w *Słowniku mitów i tradycji kultury* Władysława Kopalińskiego (Warszawa 1991, s. 239): ‘poświęcony, którym dzwoniło w czasie burzy’.*

34 Z. Przesmycki (Miriam): *Wybór poezji*. Oprac. T. Wałas. Kraków 1982, s. 42.

35 J. Paszek: „*Tkanina duchowego...*”, s. 14.

36 J. Słowacki: *Dzieła wszystkie* pod red. J. Kleinera. T. XI: *Beniowski* [...]. Wrocław 1957, s. 206. Zob. też nowszą edycję: J. Słowacki: *Beniowski*. Poemat z roku 1841 i dalsze pieśni. Nowe wydanie krytyczne. Oprac. J. Brzozowski i Z. Przychodniak. Poznań 2014, s. 440 (tu „ramie” = „ramię”!). Redakcja edycji DW z roku 1958 (s. 283) wie o cytacie z *Beniowskiego*!

37 J. Kwiatkowski: *Dwudziestolecie międzywojenne*. Warszawa 2002, s. 366.

Już sam pseudonim artystyczny Wano Krueger (prawdziwe nazwisko ukraińskiego poety brzmiałoby Iwan Kołomijec) sugeruje preferowaną tematykę i estetykę. Imię Wano pochodzi z Gruzji (ojczyzny Józefa Stalina), natomiast niemiecko brzmiące nazwisko nasuwa skojarzenie z Freddyem Kruegerem, psychopatą z serii slasherów *Koszmar z ulicy Wiązów*. Freddy Krueger, podobnie jak Włodzimierz Lenin i Józef Stalin, okazał się wiecznie żywy. Spalony żywcem przez rodziców dzieci, które zgwałcił i zabił, nadal dopada młodociane ofiary, tyle że we śnie.

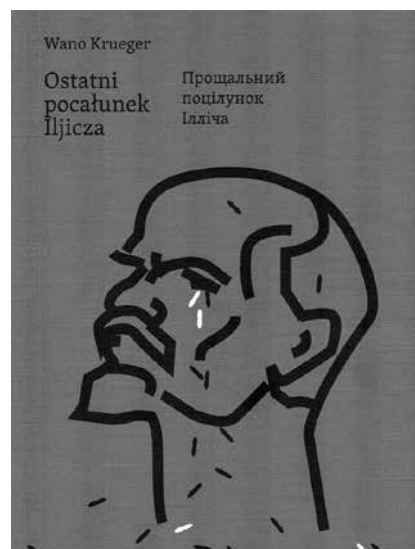
Tytuły tomów wierszy Wano Kruegera również odnoszą się do Związku Radzieckiego, snów, mitów oraz horrorowych utworów: *Łagodny uśmiech Berii* (2010), *Ziggy Freud i Cthullu* (2014), *Wertep na Kurenioyce* (2015), *Pożegnalny pocałunek Iljicza* (2015), *Ceber bez dna* (2020). Sam autor określa swój styl jako nekrokomunizm. Widmo komunizmu krąży nad jego wierszami, wchodząc w obrazoburcze, postmodernistyczne alianse: z kulturą popularną, religiami czy obrazami brutalnego, obscenicznego seksu.

Mimo że utwory z *Ostatniego pocałunku Iljicza* zostały opublikowane przed siedmiu laty, odczytywanie ich w kontekście ataku Rosji na Ukrainę narzuca się samo przez się. Tom rozpoczyna się mottem z Domietija Zawolskiego: „Państwo Federacja Rosyjska zaczęło się od tego, że z prehistorycznego chaosu wyłonił się Stalin i zrobił z kamienia fajkę.” Pieriestrojka to proces pozorny, bowiem niezależnie od aktualnego ustroju oraz nazwy administracyjnej, rządy w Rosji zawsze sprawuje taki lub inny satrapa, bezwzględnie podporządkowujący sobie nie tylko własnych poddanych, ale też sąsiednie narody. Kult, jakim społeczeństwo rosyjskie otacza przywódców – nie tylko żyjących, lecz również zmarłych – dowodzi, jak bardzo jest podatne na propagandę. A może, jak bardzo jest stłamszone i zastraszone, jak bardzo przeraża je sama myśl o buncie? Wszak na jego czele stoi nadczłowiek, wręcz bóg, wszechwiedzący i wszechmocny. „Ojciec Stalin / Myśli o narodzie / Nawet w nocy / Naród wie i się boi”, wżak imperium zbudowano na jego kościach i krwi, „najmocniejszym fundamentem / ze wszystkich możliwych” (*Stalin*).

Wano Krueger stylizuje wiersze na język socrealistycznej propagandy tak umiejętnie, że momentami popada w przesadę i śmieszność. Tym samym obnaża pompatość i fałszywość tego języka, karykaturalizuje i dekonstruuje go: „Czerwony – to kolor naszej – sławnej na wieki – rewolucji! / A cytryna – to kwaśny owoc, który otrzeźwia... / Cytryny rosną w słonecznej Gruzji, na południowych zboczach Kaukazu... / Cytryna z Pomidorem mają być rozbójnikami! / Będą rabowali dyliżanse ze złotem / Dla napelnienia partyjnej kasy / I szczęśliwej przyszłej klasy robotniczej!” (*Z tajnych archiwów*, „SOJUZMULTFILM-u).

Wafelkowy Lenin jako lider nekrokomunizmu

KSIAŻKI



WERONIKA GÓRSKA

Efekt wyszydzenia propagandy potęguje nadanie komunistycznym zbrodniarzom tytułów lamy czy mahatmy, kojarzących się z piewcami pokoju: „Ławrientij Beria, tybetański mnich / Medytuje / (...) Podnosi rękę z mauzerem / Do karku branki, wprost do dołka / Który podstępnie ukrył się we włosach / Mauser czule całuje brankę w dołek / Jej ciało wzdraga się i bezgłośnie pada do dołu” (*Medytacja tybetańskiego lamy*); „Mahatma spokojnie śpi / Arka czeka na swój czas / Tylko chytry uśmieszek / Pała / Jak czerwony sztandar / Na woskowych ustach” (*Mahatma Lenin*). Te zaskakujące zestawienia obnażają kłamliwość propagandy, odwracanie przez nią sensu podstawowych pojęć. Podobnego zabiegu dokonał George Orwell w *Roku 1984*, tworząc hasło: „Wojna to pokój. Wolność to niewola. Ignorancja to siła”.

Podmiot liryczny *Ostatniego pocałunku Iljicza* jest świadomy, że historię piszą zwycięzcy. Każdego przywódcę można przedstawić zarówno jako dobroczyncę i wizjonera, jak też jako szubrawca i okrutnika: „Był wcielonym Diabłem / Jak mówią o Hitlerze / Reichsführerze, Reichskanclerzu / Zbawcy narodu / Wodzu / Którego pierś / Zdobił Krzyż Żelazny / Chociaż przyjaciele naziści zaprzeczają / On / Był Bogiem i wykańczał Żydów / I / W ogóle / To był zuch / Dobry człowiek”. Dystansując się do poważnego tematu rozważań, podmiot liryczny stwierdza, że on sam z pewnością nie osiągnie takiego kunsztu ani w dobru, ani w złu, a tym samym tak ogromnej sławy. Najgorsze – a zarazem najbardziej pikantne – co będzie można o nim powiedzieć po śmierci, to: „Był gnojkiem i nie myśl po sobie naczyń” (*Mój ojciec do mojego brata*).

Humor i dystans pojawia się także w utworze, którego bohaterem jest komunistyczny dygnitarz Jurij Andropow, marzący o tym, by być równie skutecznym

i czarującym, co James Bond: „Młody piękny czekista / Przenika wszystkie plany NATO / Wykańcza reakcję w Chile / Ratuje Fidela Castro / (...) To on uwodzi Margaret Thatcher / I proklamuje Brytyjską Republikę Radziecką / Na Trafalgarze” (*Izolotka CSK*).

Wano Krueger często opisuje dzieci, które w państwie totalitarnym poddaje się indoktrynacji od najmłodszych lat: „Lenin to co najświętsze w dzieciństwie / Lenin to naszego dzieciństwa wódz! / Lenin to nauczyciel pionierów / Lenin to Dziadek Mróz zuchów! / Wie to każdy w przedszkolu / Wie Wasia, wie Pietia, wie Masza / Wszystko co słodkie w przedszkolu / Wszystkie cukierki i wafelki / Nie są możliwe bez Lenina / no i nie takie słodkie”. Słowa te przywodzą na myśl scenę z filmu *Europa Europa* Agnieszki Holland, w której sieroty proszą Boga o cukierki (oczywiście ich nie dostają), po czym proszą Stalina, a wtedy pracownik radzieckiego domu dziecka spuszcza ładkię przez otwór w suficie. Czasami jednak dzieci okazują się odporne na nachalnie serwowany przekaz, uświadamiając sobie, że król jest nagi: „Czemuś Maszy przychodzi na myśl / Dziwaczna myśl, że Lenin to debil / Wafelek więźnie Maszy w gardle / Z jej oczu płynie grad łez / Jaki wstyd! Jak tak można pomyśleć o Leninie?” (*Wafelkowy Lenin*).

Lektura wierszy Wano Kruegera jest niełatwa. Nawet jeżeli jego błyskotliwe, ironiczne poczucie humoru w pewnej mierze rozbraja sadystycznego kolosa, to kolos wciąż pozostaje na tyle potężny i uzbrojony, by rzucać równie posępny cień, co tołkiewski Mordor na Śródziemiu. ■

Wano Krueger, *Ostatni pocałunek Iljicza*, przeł. Bohdan Zadura, Warszawa: Wydawnictwo Kultury, Lublin 2022, s. 141.

Pierwszy krok poetyckiego tańca smutku Andrzeja Wojciechowskiego jest ruchem przemyślanym. Czytelnik nie może mieć żadnych wątpliwości co do jego znaczenia, obserwuje bowiem doświadczonego artystę, który zaprasza do dostrzeżenia głębokiej tajemnicy ludzkiej egzystencji ukrytej w strumieniu najdoskonalszego ruchu człowieka – ruchu myśli. Pierwsze słowo tomiku jest kluczowe. Wojciechowski kieruje czytelnika w przestrzeń niebezpieczną, niezrozumiałą i niepewną – w przestrzeń wielowymiarowej śmierci. Ogarnia ona swą nieuchronnością i tajemniczością podmiot, który staje się jej oddanym akolitą. Tomik otwiera słowo „żyłem”.

Owo „żyłem” zapowiada kres znanego świata. Czytelnik ma do czynienia z przestrzenią poranioną, pełną żył, igieł, płynów ustrojowych („Moje gwiazdy / doustne dożyłne / widzę w oknach / szpitala”). Wymykają się one jednak jednoznaczności – stanowią składniki majątku, który został zapisany w poetyckim testamencie, a ich głównym zadaniem jest przekazanie uczuć, które towarzyszą człowiekowi w najmroczniejszych chwilach życia.

Emocje określają świadomość podmiotu. To one są jedynym pewnym elementem świata pozbawionego bezpiecznych zasad. Lęk oraz strach oddziałują na mówiącego, który bezustannie cierpi – psychicznie i somatycznie. Uczucia, mieszkające się z odczuciami, tworzą wielopłaszczyznową wizję nowej rzeczywistości, w której cielesność i duchowość budują zniewalającą całość, której zrozumienie jest możliwe jedynie poprzez słowo – poetyckie, przemyślane i wymykające się językowi („teraz siedzę / w kącie mózgu razem / z lękiem mojej śliny / niewiele mam / do powiedzenia”). Podmiot nie porzuca jednak człowieczeństwa. Ewokuje z niebycia części wspomnień, relacji i doświadczeń („Lęk się wije / sznurem w głowie / tam gdzie miały być oczy / zwisa jak droga do ły”). Zadaniem odbiorcy jest odczytywanie prochów, deszyfrowanie atomów i układanie tkanek. W *Tańczę smutek* konkret ulega rozmyciu – zrozumienie zawsze przenika wątpliwość. Wojciechowski ukazuje znaczenie strzępów.

Wiersze naznaczone są obecnością w nich substancji psychoaktywnych. Mają umożliwić podmiotowi poradzenie sobie z otaczającym światem, zakrzyknąć rzeczywistość, jednak jedynie ją zakrzywiają, potęgując tym samym wrażenie niejasności otoczenia. „Ja” liryczne próbuje „lęk alkoholem zgasić / ojczyznę wyrzygać / morfina okaleczać żyły”. Odczuwa ono więcej, jego wrażliwość sprawia, że konieczne jest zejście w ciemne krainy własnego umysłu, zrozumienie mechanizmów nim rządzących. Wędrowka jednak nigdy się nie kończy. Liczne zachowania autodestrukcyjne stanowią nieodłączny element egzystencji podmiotu. To one go stwarzają („wciąż żyją ślady / na kamieniach / niezwykłe / nocnym moczem / nawet krwią / planowanych śmierci / na szubienicy krat / żył wypełnionych / płaczu melodią / wyrastam ze śmierci”). „Ja” zostało wrzucone w cykliczny

Ratunek przed samym sobą

KSIAŻKI

świat, będący dla niego zagrożeniem. Obserwujemy człowieka, pełnego otwartych i gojących się ran znajdujących się na pokrytym bliznami ciele. Egzystencja podmiotu Wojciechowskiego stanowi wyzwanie, przypominające to, z którym każdy z nas się mierzy. Wrażliwość nie pomaga w radzeniu sobie z nim, dlatego konieczne jest spojrzenie z szerszej perspektywy.

Perspektywę tę zapewnia odwołanie się do wyższej instancji, która swoją obecnością pomogłaby znieść ziemskie doświadczenia. Podmiot zwraca się zatem do Absolutu, który wymyka się jednak wizerunkowi bóstwa do broczynnego i miłosiernego. Jest przyczyną wszelkiego bytu, leży u podstaw myśli człowieka. Modlitwy Wojciechowskiego są swego rodzaju introspekcjami, które pozwalają dostrzec prawdziwego siebie w rozpadającej się rzeczywistości („W moim mózgu stoisz / skąd Ciebie mam / pytałem”). Stanowią poszukiwanie odpowiedzi na pytania o własną tożsamość. Umożliwiają zrozumienie praw rządzących psychiką („Jesteś wszystkim / co w głowie wywołaasz / w kropki serca zobaczysz”), a także pomagają odkryć w sobie wielkiej cząstki, stale rozgrywanej się kosmicznej gry, której zasady nie są człowiekowi znane. Uświadomienie sobie uczestnictwa w niej sprawia, że bolesne doświadczenia stają się jedynie doczesną niedogodnością. („Modlitwy / bez szumu łoż / pełnych śmietników / z gniesionego żalu / ojca krwi / we mnie rozlanej / dotykem myśli”).

Wojciechowski wprost ukazuje, że kres jest bliski, a jedyny ratunek dla podmiotu stanowi poezja. To ona sprawia, że tożsamość w ogarniętym krzywdą świecie ma znaczenie. Poezja jest wędrowką w przestrzeń lęków i niedopowiedzeń, dzięki czemu staje się kluczem do zrozumienia samego siebie. Intelktualny konformizm przynosi przedwczesną śmierć pozbawiającą doświadczenie wartości. Stanowiłoby ono w takiej sytuacji jedynie zbiór zachowań, które, odarte z głębi, pozbawiały



ANDRZEJ HANDZLIK

człowieka jego elementarnego prawa – prawa do zrozumienia istoty własnego życia. „Ja” poszukuje w wierszach odpowiedzi, ale to na czytelnika ciąży odpowiedzialność za wydobycie sensu („Słowa przydzwigałem / jak ciężki worek na plecach / związany sznurem / do powieszenia się”). Podmiot Wojciechowskiego jest wędrowcem odkrywającym przed odbiorcą swoją *psyche*, ukrytą w poranionych przestrzeniach, przedmiotach i bliznach. To właśnie wejście w tę sferę zmusza do ponownego odczytywania rzeczywistości („tam tusz lęku / prowadzi moją dłoń / do wiersza / co odbiera mi przepaść / szubienicy”).

Tańczę smutek jest wędrowką w głąb świata ludzkich lęków i doświadczeń. Obrazy, z którymi zostawia czytelnika Wojciechowski wywołują dyskomfort. Brakuje w nich elementów stałych. Zmuszają odbiorcę do wejścia w przestrzeń nieprzyjazną, kwestionującą porządek znany ze świata realnego. Poeta w ten sposób sprawia, że konieczne jest porzucenie bezpiecznego myślenia o naszej egzystencji. W tomiku mamy do czynienia z grą pozorów, poetyckich powidoków składających się na pewną całość, dla której największym zagrożeniem byłaby spójność. Restytuowałyby ona bowiem zastany porządek i utwierdzała nas w przekonaniu o własnej nieomyślności. Zadaniem poety jest wyrwanie ze skostniałych systemów myślowych i kierowanie na drogę prowadzącą do zakwestionowania własnej pozycji w otaczającej rzeczywistości. Wojciechowski, poprzez poezję, zmusza do zadania pytania o istotę życia: Co znaczy, że jestem? To właśnie wywoływanie wątpliwości sprawia, że *Tańczę smutek* stanowi wartościową pozycję. Poezja bowiem musi budzić, a zadaniem poety jest wąpiąć. ■

Andrzej Wojciechowski: *Tańczę smutek*. Wydawnictwo Signi, Warszawa 2022, s. 48.

Trzeci tom wierszy Sylwii Jaworskiej, który obok *Mistrzowskich trójek* i *Echa serca* ukazał się w *Ut Pictura Bibliotheca* – serii Biblioteki Śląskiej – został zatytułowany *Pustynia*. Już okładka i jej skrzydełka informują nas, że mamy do czynienia z przestrzenią konkretną topograficznie, Pustynią Błędowską. Blisko niej poetka mieszka. Z nią związane było jej dzieciństwo.

Pustynia konkretna ewokuje jednak obraz pustyni wewnętrznej, niezgody na przemijanie, umieranie, pustkę, która po nas zostanie. Już motto zaczerpnięte z *Nocy i dni* Dąbrowskiej jest tego jednoznacznym wskazaniem: „Żyjemy, umieramy, a życia wciąż wystarcza. Z nami czy bez nas noce i dni jednakowo się toczą, jakby nas wcale nie było na tym świecie”. Ów nastrój melancholii wywołany wanitatywnym charakterem istnienia znajdzie także swój obraz w szacie graficznej tomu. Pierwszą stroną okładki wypełnia po brzegi czarno-biała fotografia Pustyni Błędowskiej autorstwa poetki. Wierszom towarzyszą monochromatyczne zdjęcia miejsc „pustynnych” oraz portret kota Witkacego. Co interesujące, nawet numery stron obsypane piaskiem zyskały pustynną oprawę. Ziarenka kwarcu są tak realistyczne, że chce się je początkowo zdmuchnąć. Jednak po chwili lektury i studiowania ilustracji zaczyna się balansowanie tego znaku pomiędzy jakimś mglistym, wakacyjnym wspomnieniem, a przesypującą się zawartością klepsydry, co rodzi nieokreślone uczucie melancholii właśnie, tęsknoty za tym, co minęło i mija.

Ów nastrój odnajdziemy w początkowych wierszach tomu: „Najlepszego w moim życiu./ Lody Bambino na patyku/ obok pijanych ojców dzieci./ Zimna cola w szklanej butelce/ przy białym stoliku/ z ciężkiego metalu. Za ladą kotlet mielony i wódka./ Lato nie tak upalne./ Wieczorami w gryzącym sweterku/ z czerwonej wełny/ Palcem wyrobiłam większą/ dziurę na guzik” (*Najlepsze*); „Nie musimy jeździć nad morze./ Z ręcznikiem nad Zielony./ Byle utopić się jak on./ A kiedy buczy fabryka/ to znak, że będzie ciepły obiad/ i wiśnie w papierowej torbie” (1981). Przebijają się przez nie, nie tylko siermiężne obrazy PRL-u, ale charakterystyczny dla dziecka sensualny obraz postrzegania świata. Smak, zapach, gwar dzieciństwa to skarby, którymi poetka zdaje się nas obdarowywać.

We wspomnieniach *Pustyni*, której obraz nosi Jaworska w sobie, sentymentalizm jest jednak jak na lekarstwo. Nie są to błogie, pogodne ogrody dzieciństwa, a skrawki tego, co utkwilo, czasem radośnie, czasem boleśnie w świadomości. Już tytułowy wiersz nosi w swoim zarodku ów dysonans: „Tutaj nie ma pustynnej burzy,/ a po piasku nie wloką się karawany. Chyba, że trumien./ Trafiamy strzałą w punkt zaczepienia./ Mam dobre oko./ Zawsze zawieszam je/ na atrakcyjnym widoku”.

Efemeryczność tamtego, przywołanego z przeszłości świata zasnuwa jakimś uwie-

Spokoju zaznam dopiero po śmierci

KSIAŻKI



PIOTR SKOWRONEK

rającym wątpliwym. Buduje aurę utraty, odchodzenie, pożegnania. Wydaje się, że sine, ołowiane chmury i zwały piasku nie pozwalają swobodnie oddychać, a atmosfera z wiersza na wiersz, staje się cięższa i coraz bardziej przygnębiająca, by wkrótce otrzeć się o rodzaj przeganianej z głowy autodestrukcji: „dzisiaj był plan, żeby wreszcie się zabić./ W myślach układałam listy pożegnalne./ Zafatwiałam sprawy pogrzebowe i pozagrzebowe./ Lęk, że ze wszystkim nie zdążę./ Cały plan diabli wzięli,/ kiedy zaczęłam myć podłogę” (*Kobieta samotna*). To mocny wiersz. Zdaje się, że wobec minorowego tonu bezsilna jest tu nawet końcowa ironia. Olgierd Dziechciarz tak odczytuje ów nastrój: „Na podstawie tych wierszy mam pewność, że Sylwia Jaworska nie jest osobą szczęśliwą, to niedobrze dla niej, ale bardzo dobrze dla literatury. W tych wierszach nie dzieje się nic szczególnego i to jest niebywałe, że z tak pozornie błahych wydarzeń, jak wspomnianie czasu, gdy autorka nosiła podkolanówki, czy z czynności mycia podłogi, można ulepić wiersz, który poruszy i zostanie w czytelniku”. Czy na pewno?

Wbrew pozorom zwyczajności w kreacji poetyckiej elementy syndromu presycydalnego są aż nazbyt widoczne, bo jak napisał Marcin Zegadło: „Nad tym światem wisi zapowiedź «jakiejś» klęski albo jest w nim ukryta oferta konfliktu, konfrontacji, walki”. Dominują negatywne uczucia i myśli, lęk, poczucie bezradności, znalezienia się w sytuacji bez wyjścia. Brak nadziei odbiera poczucie sensu. Czasem, by pogłębić narastający niepokój, tytuł wieszka staje w jawnej opozycji do jego treści, tworząc zadziwiający oksymoron, który ścisła za gardło. Tak jest w wierszu *Pieśń radosna*, w którym dodatkowego napięcia dostarczają początkowe rymy: „Niosę ze sobą śmierć w ubraniach./ Wieszam ją w portretach zmarłych gwiazd na ścianach./ Gaszę jej światła w miesz-

kaniu./ Rozmawiam cicho, żeby nie spłoszyć./ Niech jedzie ze mną samochodem,/ kiedy się zderzam sama z sobą./ Ścisłkam ją mocno w ramionach/ i proszę – wyżej i wyżej, niech spłone!”

Poetka obniża wcześniej cenione wartości, w tym religijne, których znaczenie wytarło się, jak w wierszu noszącym tytuł *Mistrz*, gdzie czytamy: „Moja babcia umarła, mając dziewięćdziesiąt lat. Chorowała./ Ze dwadzieścia lat przed śmiercią przestała chodzić do kościoła./ Na pogrzebie ksiądz nie powiedział o niej nic./ Kompletnie nic./ Bo co miał powiedzieć, jak jej nie znał./ Pogrzeb był o Jezusie”. W ten sposób porządkuje swoje sprawy. Kiedy powtarza wielokrotnie w wierszu *Obieg zamknięty*: „Czuję się w obowiązku opowiadać o moim życiu/ i planowanej śmierci oraz o poglądach na życie pozagrzebowe i żadne”, to w jakiej mierze rozlicza się z sobą i światem także tym duchowym.

Na pustyni można się osiedlić, a zło i winy zabierane są do ziemi bezpłodnej, biblijnego miejsca najwyższego doświadczenia Boga. W tym sensie można by nawet odczytać wiersze Jaworskiej w kluczu religijnym. Symbolicznie pustynia jest miejscem decyzji – odrzucenia i powrotu, miejsce ucieczki od świata, ale i przygotowania. Opat André Louf radził, aby zagłębiać się wciąż *ad interiora deserti*, „w najbardziej tajne miejsca pustyni (...), w bezbrzeżną samotność, w której człowiek może dotrzeć do jeszcze głębszych pokładów swojego wnętrza”. I tak chyba paradoksalnie jest i tutaj, kiedy w wierszu *Martwe morze*, zamykającym tom, poetka przekornie wyznaje: „Może jestem już martwa./ Bo to niemożliwe,/ żeby tak lekko chodzić po ziemi”.

Sylwia Jaworska: *Pustynia*. Biblioteka Śląska, Katowice 2022, s. 56.

Kryzys to początek negatywnych zmian. Mało kto reaguje pozytywnie na to słowo. Bo kryzys to sygnał, że poprzedni stan był dobry, stabilny, dawał poczucie pewności jutra i bezpieczeństwa. A jednak takie trudne doświadczenie może też być szansą. Profesor Andrzej Piasecki w nowatorski sposób podjął się prezentacji zjawiska kryzysów, które miały miejsce w Polsce w latach 1990–2022.

Czy powrót do relatywnie „dawnych” wydarzeń ma sens? Czy nie należy skupić się na obecnej sytuacji? Powtarzane jak mantra, szczególnie przez młodych ludzi, slogany, że to, co było, ich już nie dotyczy, bo nie zdarzy się ponownie – jak na przykład „powódź stulecia”, czy konflikt wojenny – stają się dla nich niejako realnością, współczesnością.

Czy ktoś chce jeszcze wrócić do wydarzeń z Wrocławia 1997 roku? Tak. Dogłębną analizę zdarzeń i konsekwencji, przedstawioną przez Andrzeja Piaseckiego, możemy uzupełnić przebojowym serialem „Wielka woda”, który stał się wręcz superprodukcją, podejmującą z pozoru „przeszły i nieatrakcyjny” temat z „zamierzchłej przeszłości”. Wracając do tamtych wydarzeń, powinniśmy zastanowić się, czy w czasach nam obecnych nastąpiłby podobny kryzys, czy władze i odpowiednie służby działałyby lepiej, więc może żyjemy znów w złudzeniu? Poprzez przypomnienie owej tragedii uzmysławiamy sobie iluzję, że nie zagraża nam już żadna klęska żywiołowa na miarę tej sprzed 25 lat. *Vide* epidemia koronawirusa – przecież epidemie nie mogą mieć miejsca w XXI wieku. Pytanie – skąd biorą się owe przekonania? Są niestety rezultatem powyższego sloganu.

Omawiane przez Piaseckiego zagadnienia tworzą zbiór wielowątkowy i wielopoziomowy: od protestów i blokad rolników, aferę Rywina, po wydarzenia na najwyższych szczeblach władzy. Autor swobodnie przywołuje nie tylko kryzysy Odrodzonej Polski, ale i kluczowe dla niej postaci Tadeusza Mazowieckiego, Jacka Kuronia, rozpatruje też czas Stana Tymińskiego.

Warto na ten personalny aspekt książki zwrócić uwagę. Znajdziemy tu ponad trzydzieści fotografii i biogramów ludzi, którzy byli związani z poszczególnymi kryzysami jako ich sprawcy, beneficjenci, albo też decydenci. W ten sposób autor przypomina czytelnikowi, że kryzysy to nie tylko dramatyczne wydarzenia i zjawiska, to nie tylko normy i instytucje czy organizacje. To przede wszystkim ludzie. Warto o tym pamiętać w czasach, w których mamy tak wiele przykładów dehumanizacji.

Publikacja Andrzeja Piaseckiego poprzez swój przekrój tematyczny, jak i czasowy staje się niejako sprawdzianem pamięci dla Czytelnika w wieku 50+.

Co naturalne, wydarzenia z lat 90. XX wieku jawią się jako bardzo odległe; pewne fakty oraz sytuacje przywracane są do pamięci jako odkrywane na nowo. Im bliżej czasów nam współczesnych, łatwiej

Stały element gry

KSIAŻKI

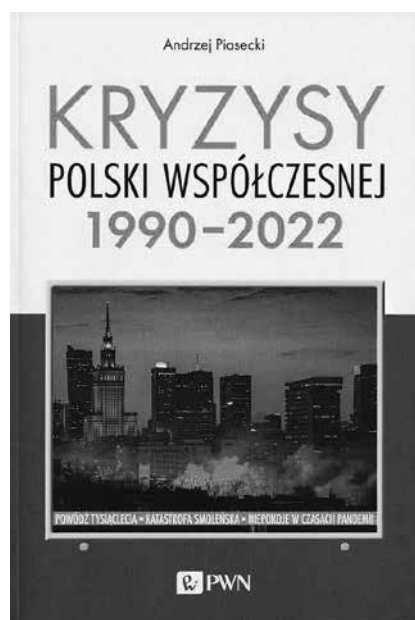
nam przywołać omawiany kryzys w historii Polski. Każdy Czytelnik posiada niejako własną „granicę czasu”, w której porusza się i może odnieść się do prezentowanych zagadnień wraz z osobistymi refleksjami i wspomnieniami.

Z kolei dla młodych czytelników „Kryzysy Polski współczesnej 1990–2022” to książka, która opowiada o czasach, o których mogą mieć mgliste wspomnienia, ale też o takich, które są tematem rozmów z rodzicami i dziadkami. I tak dwudziestolatki znają Antoniego Macierewicza jako zwolennika wersji zamachu pod Smoleńskiem w 2010 roku. Z kolei dla ich rodziców ten sam polityk kojarzy się też z lustracją.

Można zastanawiać się nad każdym z dziesięciu kryzysów, które opisał autor. Czy na pewno blokady rolnicze w 1999 roku destabilizowały państwo? Czy sprawa Rywina z 2003 roku była największą aferą polityczną III RP? Tu z pewnością znajdują się polemiki. Z drugiej strony Piasecki już we wstępie uprzedza, że każdy z tych kryzysów w momencie jego trwania wydawał się prowadzić co najmniej do destabilizacji, jeśli nie do jakiejś katastrofy. Tymczasem po czasie okazało się, że państwo i społeczeństwo nie straciło na nich wiele. Ani materialnie, ani kadrowo. A zyskało doświadczenie.

Omawiana książka dla świadków analizowanych wydarzeń jest niejako podróżą w przeszłość, połączoną z refleksjami nad czasem obecnych kryzysów, dla młodych zaś stanowi wręcz podręcznik do historii Polski współczesnej i zarazem ostrzeżenie przed złudnym przekonaniem, iż „historia niczego nas nie uczy”. Nie uczy, jeśli staramy się od niej uciec i zapomnieć.

Pora na koniec postawić pytanie, komu, oprócz miłośników historii i polityki z różnych pokoleń ta książka może być potrzebna? I tu, lista potencjalnych odbiorców bę-



NINA JARZYŃSKA

dzie długa. W ostatnich latach na niemal każdej uczelni do najliczniejszych kierunków należą studia nad bezpieczeństwem. Studenci i doktoranci mają tu gotowy materiał do powtórzenia i uzupełnienia (zwłaszcza, że bibliografia jest obfita).

Kolejną grupą potencjalnych czytelników mogą być pracownicy służb publicznych, odpowiedzialnych za zarządzanie kryzysowe. Jest ich co najmniej kilka tysięcy, w samych jednostkach samorządu terytorialnego. Pracownicy referatów zajmujących się bezpieczeństwem oczekują na tak potrzebne im materiały.

Żyjemy w czasach kryzysu militarnego u granic państwa (autor o tym też zdążył napisać). Przed nami być może kryzys gospodarczy, naturalny (klimat) i polityczny (rok trudnych wyborów). Zapewne recenzowana pozycja będzie miała ciąg dalszy. Może sam autor dopisze kolejny rozdział w drugim wydaniu?

Andrzej Piasecki napisał już kilka książek z zakresu historii, politologii, administracji. To m.in. „Referenda w III RP” (2004), „Menadżer i polityk. Wójt, burmistrz, prezydent miasta” (2006), „Samorząd terytorialny i wspólnoty lokalne” (2009), „Polskie wybory 1989–2011” (2012), „Wiek burzy i spokoju. Kalendarium dziejów Polski 1918–2018” (2018). Jest pracownikiem Uniwersytetu Ekonomicznego w Krakowie, popularyzuje historię i politykę otwartymi wykładami, udziela się w mediach. Książka o polskich kryzysach to jego najnowsza monografia, ale zapewne nie ostatnia. ■

Andrzej Piasecki, *Kryzysy Polski współczesnej 1990–2022*, Wydawnictwo Naukowe PWN, Warszawa 2022, s. 302.

Urszula Żydek-Bednarczuk

30 kwietnia 1952 – 24 grudnia 2022

TADEUSZ MICZKA

W ostatnim dniu 2022 roku Rodzina, Pracownicy byłego Zakładu Komunikacji Kulturowej, który zakończył działalność trzy lata wcześniej, Koleżanki i Koledzy z Instytutu Nauk o Kulturze, z Wydziału Humanistycznego Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach i z innych uczelni oraz Przyjaciele i Znajomi pożegnali Urszulę Żydek-Bednarczuk. Swoim licznym współpracownikom zostawiła Pani Profesor bezmiar ciepłych wspomnień oraz bogaty dorobek naukowo-dydaktyczny, który wnosi duży i trwały wkład do śląskiej, polskiej i europejskiej humanistyki.

W 1974 roku Urszula Żydek-Bednarczuk ukończyła trzyletnie studia wyższe zawodowe w Filii Uniwersytetu Śląskiego w Cieszynie w zakresie filologii polskiej według programu Wyższego Studium Nauczycielskiego. Przez następne dwa lata odbyła studia magisterskie na Wydziale Filologicznym Uniwersytetu Śląskiego w Sosnowcu w zakresie filologii polskiej. Stopień doktora nauk humanistycznych otrzymała w 1984 roku, doktora habilitowanego w 1995 roku, a tytuł profesora nauk humanistycznych w zakresie językoznawstwa, nadany przez Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej, w 2008 roku.

W swojej, trwającej prawie pół wieku, pracy akademickiej w macierzystej uczelni oraz za granicą, w Uniwersytecie Marcina Lutra w Halle (była lektorką języka polskiego w latach 1985–1989) i w Uniwersytecie Mateja Bela w Bańskiej Bystrzycy (kierowała studiami polonistycznymi w latach 2008–2012), pozostała wierna dwóm dziedzinom wiedzy, które najbardziej fascynowały Ją jeszcze w okresie studiów: językoznawstwu i pedagogice. Nieustannie poszerzała swoje pola badawcze i dydaktyczne o tematy aktualne, wypracowywała własny warsztat badań interdyscyplinarnych i zdecydowanie wkraczała na tereny dyscyplin i dziedzin pokrewnych, przede wszystkim na obszary nauk o kulturze i komunikacji interpersonalnej i społecznej.

O oryginalności i konsekwentnym rozwoju Jej programu badawczego dobitnie świadczą już tytuły rozpraw i książek przygotowywanych do awansu naukowego: *Nazwy ulic Rybnika* (praca dyplomowa przedstawiona na zakończenie studiów zawodowych), *Nazwy narzędzi kowalskich i ślusarskich* (praca magisterska), *Słownictwo z zakresu motoryzacji we współczesnym języku polskim* (często cytowana rozprawa doktorska), *Struktura tekstu rozmowy potocznej* (dysertacja habilitacyjna), *Wprowadzenie do lingwi-*

stycznej analizy tekstu (tak zwana książka profesorska) oraz *Spotkanie kultur. Komunikacja i edukacja międzykulturowa w glotodydaktyce* (książka przedstawiona do tak zwanego uzwyczajnienia profesury).

Wielu polskich gimnazjalistów oraz uczniów zasadniczych szkół zawodowych i szkół średnich, liceów i techników, wtajemniczała Urszula Żydek-Bednarczuk w arkanach sztuki pisania i mówienia w języku ojczystym – w latach 1995–2004 była współautorką (z Jadwigą Kowalikową) sześciu cenionych przez środowiska nauczycielskie podręczników szkolnych (m.in. *Nasza polszczyzna, Współczesna polszczyzna, Mów i pisz po polsku, Barwy epok. Nauka o języku*). Była również autorką programu nauczania języka w gimnazjum oraz współautorką (z B. Kołcz i J. Kowalikową) programu kultury, literatury i języka w szkołach średnich.

Szczególnie ważna zawsze dla Niej była popularyzacja języka ojczystego za granicą. Jeszcze jako młoda Pani Doktor, w 1988 roku, opublikowała w Lipsku *Poradnik metodyczny dla nauczycieli języka polskiego jako obcego*.

Imponujący jest Jej dorobek w tym zakresie od początku lat 90. poprzedniego wieku, zwłaszcza gdy zaczęła wieloletnią współpracę z Szkołą Języka i Kultury Polskiej Uniwersytetu Śląskiego, uczestnicząc w organizowanych przez nią kursach, seminariach i konferencjach w Polsce, w Niemczech, we Włoszech, w Ukrainie, na Białorusi i w innych krajach europejskich oraz publikując swoje teksty w „Postscriptum Polonistycznym” (m.in. na temat kompetencji międzykulturowej, 2012), piśmie redagowanym przez polonistów związanych ze Szkołą. W latach 1998–2004 Urszula Żydek-Bednarczuk kierowała letnim kolegium polsko-austriackim prowadzonym przez Szkołę w porozumieniu z austriackim Ministerstwem Szkolnictwa, Nauki i Kultury. Stworzyła program zajęć: bilingwizm w nauczaniu języka polskiego jako obcego, które były wtedy nowością w polskiej glotodydaktyce i prowadziła zajęcia m.in. z tego przedmiotu na Podyplomowych Studiach Kwalifikacyjnych Nauczania Kultury Polskiej i Języka Polskiego jako Obcego od początku ich istnienia.

Środowiska naukowe i akademickie doceniały Jej uzdolnienia badawcze, edukacyjne i organizacyjne. Europejskie stowarzyszenia językoznawcze zapraszały Ją z referatami na coroczne Linguistisches Kolloquium. Komitety naukowe przyznały Jej granty, m.in. na badanie odstępstw od norm językowych czy

li błędów językowych popełnianych przez młodych użytkowników języka oraz stylów współczesnej polszczyzny, ze szczególnym uwzględnieniem języka mediów i Internetu, które realizowała z badaczami z macierzystej uczelni i innych polskich uniwersytetów. Wydawcy zapraszali Ją do współpracy edytorskiej – była redaktorką lub współredaktorką sześciu tomów, m.in. książki: *Gry w języku, literaturze i kulturze* (razem z Ewą Jędrzejko, 1997). Przez dwie kadencje, w latach 1996–2002, była prodziekanem ds. Studenckich na Wydziale Filologicznym UŚ oraz przewodniczącą Senackiej Komisji ds. Kształcenia na UŚ. Uczestniczyła w pracach kilku rad naukowych i redakcyjnych pism naukowych, m.in. była konsultantką językową w redakcji „Transformacji. Pisma Interdyscyplinarne”, wydawanego przez Fundację Edukacyjną „Transformacje”, Centrum Badań Ewaluacyjnych i Prognostycznych oraz Akademię Leona Koźmińskiego w Warszawie.

Od 1999 roku przez kilkanaście lat była aktywną członkinią Zespołu do Spraw Kwalifikowania Lektorów Języka Polskiego jako Obcego w Zagranicznych Ośrodkach Akademickich oraz powołanej w 2003 roku przez Ministra Edukacji Państwowej Komisji Poświadczania Znajomości Języka Polskiego jako Obcego, prowadzącej prace w Polsce oraz w wielu krajach europejskich i Stanach Zjednoczonych.

W czasie swojej czteroletniej aktywności zawodowej w słowackiej uczelni inicjowała i organizowała konferencje naukowe, była członkinią Rady Redakcyjnej serii wydawniczej: „Język Polski i Kultura”, publikując również własne artykuły w kilku tomach wydanych w Bańskiej Bystrzycy. We współpracy z Instytutem Polskim w Bratysławie założyła na Uniwersytecie Mateja Bela Centrum Języka i Kultury Polskiej, które prowadziło rozległą działalność naukową i oświatową, m.in. warsztaty tłumaczeniowe dla studentów.

Dwadzieścia lat temu, prof. Urszula Żydek-Bednarczuk w artykule pt. *Sprawność językowa we współczesnej edukacji polonistycznej* (2002) napisała m.in.: „Podstawą do określenia tego typu sprawności stał się akt komunikacji wraz ze wszystkimi jego warunkowaniami. Nie określamy już sprawności na mocy kodu, lecz na mocy wyznaczników komunikacyjnych: sytuacji, intencji, zachowań pozawerbalnych. [...] Nie wystarczy już poprawność wynikająca z wiedzy o systemie. Ważna jest również wiedza

o świecie nadawcy i odbiorcy, która stanowi konieczny warunek tego, aby tekst był zrozumiany. [...] Nikt już dzisiaj nie wątpi, że związek między językiem – poznaniem i kulturą jest bezsprzeczny”. Słowa te stanowiły swoiste podsumowanie Jej kilkunastoletnich badań naukowych prowadzonych w czasie pracy na Wydziale Filologicznym Uniwersytetu Śląskiego, najpierw w Pracowni Polszczyzny Mówionej, później – od 1977 roku, w Zakładzie Dydaktyki Języka Polskiego i Literatury Polskiej. Napisała je językoznawczyni, która – wtedy była już Autorką kilkudziesięciu publikacji naukowych i kilkudziesięciu referatów wygłoszonych na konferencjach ogólnopolskich i zagranicznych – osiągnęła wysoką pozycję w gronie socjolingwistów i metodyków nauczania, zajmując się pragmatyką języka, dydaktyką języka, lingwistyką kulturową, geneologią lingwistyczną oraz problemami komunikacji językowej, zwłaszcza perswazją, argumentacją i strategią.

W swoich badaniach i w swojej praktyce dydaktycznej Urszula Żydek-Bednarczuk zawsze zwracała uwagę na kulturowe konteksty i uwarunkowania języka, a od lat 90. przede wszystkim na komunikację multimedialną. Często współpracowała z kulturoznawcami, komunikologami, filozofami techniki i medioznawcami. W 2002 roku, gdy była już autorytetem z zakresu medio-lingwistyki, została zatrudniona w Zakładzie

Komunikacji Kulturowej w Instytucie Nauk o Kulturze (później Instytut Nauk o Kulturze i Studiów Interdyscyplinarnych) Uniwersytetu Śląskiego i kierowała Pracownią Języka Mediów. Przez dwadzieścia lat prowadziła intensywne badania nad nowymi mediami i rolą języka w społeczeństwie informacyjnym, nadal biorąc udział w licznych projektach naukowych razem ze śląskimi i polskimi językoznawcami i metodykami.

Urszula Żydek-Bednarczuk aktywnie uczestniczyła w kilkunastu programach badawczych, jakie realizowali śląscy kulturoznawcy i komunikolodzy we współpracy z krajowymi i zagranicznymi partnerami. Najdłużej, od 2003 roku do końca swojego życia, razem z innymi pracownikami Zakładu, była bardzo aktywna pod względem naukowym i organizacyjnym w ramach „International Network on Cultural Diversity and New Media (CULTMEDIA)”. Wydaje się jakby wszystkie Jej wcześniejsze wybory i drogi naukowe prowadziły właśnie do tego interdyscyplinarnego projektu badawczego, realizowanego przez badaczy z Niemiec, Pol-

ski, Austrii, Hiszpanii, Słowacji, Czech, Węgier i Dominikany. Została członkinią zespołu redakcyjnego berlińskiego wydawnictwa Trafo, które rekomendowało i przygotowało do druku w serii „e-Culture” artykuły naukowe wcześniej przedstawiane na konferencjach przez uczestników tej sieci badawczej w formie referatów. Z tym projektem związane były również inne formy Jej aktywności, m.in. praca w Radzie Programowej Międzynarodowego Centrum Zrównoważonego Rozwoju i Społeczeństwa przy Uniwersytecie Śląskim we współpracy z Fraunhoferowskim Centrum Zastosowania Planowania Systemów Logistycznych i Inżynierii Informatycznej w Cottbus.

Zestaw kilkunastu tekstów, które Urszula Żydek-Bednarczuk opublikowała w ramach projektu badawczego CULTMEDIA, tworzy spójny i bardzo bogaty obraz złożonej i za-



razem atrakcyjnej współczesnej rzeczywistości komunikacyjno-kulturowej, jednocześnie będący jej wnikliwą analizą i próbą określenia dalszej perspektywy badawczej. Przedstawienie najpierw charakteru i granic językowej, literackiej i audiowizualnej komunikacji w Internecie otwarło Jej drogę do prowadzenia pogłębionej refleksji na temat transformacji, jakiej ulegają socjokulturowa tożsamość użytkowników multimedii i tekst przekazu, na temat roli języka angielskiego w „Sieci sieci”, niebezpieczeństw, jakie zagrażają dzieciom w świecie wirtualnym, net-artu, kształtowania nowych kompetencji językowych w edukacji medialnej, racjonalności i hipertekstualnych procedur tworzenia znaczeń, dynamiki dyskursu medialnego, przyszłości „kultury uczestnictwa” (Culture of Participation) oraz zmian podstawowych zachowań komunikacyjnych. W jednym z ostatnich swoich tekstów opublikowanych w tej serii Urszula Żydek-Bednarczuk zastosowała technikę antropologii punktów do analizy porównawczej sposobów wykorzystania

przestrzeni w dwóch Europejskich Stolicach Kultury w 2016 roku, w San Sebastian i we Wrocławiu. Wydawało się, że tym artykułem otworzyła następny rozdział w swoim programie badawczym, który niebawem zapełni się Jej nowymi analizami i przemyśleniami.

O swoich wieloletnich zawodowych poszukiwaniach Urszula Żydek-Bednarczuk pięknie pisała we wstępie do *Spotkania kultur* (2015): „Wymaga to otwartości umysłu, akceptowania odmiennego rozumienia i interpretowania rzeczywistości, wrażliwości wobec innych wartości oraz nienasyconej ciekawości świata. Dzisiaj nie możemy pozwolić sobie na izolację od nowoczesnych systemów przepływu informacji. Nie chodzi tylko o wymianę, lecz także selekcję, zrozumienie i przyswojenie informacji o tym Drugim, Innym, Obcym”. Pani Profesor właśnie taka była – ciepła, życzliwa, zawsze służąca pomocą i takie pozytywne nastawienie do innych ludzi skutecznie przez swoją postawę, swoje publikacje i wykłady przekazywała studentom, współpracownikom i innym badaczom.

Swoją ostatnią, opublikowaną pod koniec 2022 roku tekst, zatytułowany: *Nadawca i odbiorca w komunikacji klasycznej i cyberprzestrzeni – tendencje i zmiany* (2022), zakończyła słowami: „Wobec tak wielkich zmian w komunikacji pojęcia stosowane w literaturze dotyczącej teorii komunikacji wymagają redefiniowania i zmiany. Dzisiaj nie uciekniemy przed nowymi technologiami

i musimy też zrozumieć, że sieć i użytkownicy objęci nowymi technologiami dyktują nam warunki i zasady współczesnej komunikacji”. Przez całe życie zawodowe prof. Urszula Żydek-Bednarczuk zgłębiała wiedzę na ten temat, przekazując ją ogromnej rzeszy studentów kierunków humanistycznych, społecznych i pedagogicznych w Polsce i za granicą oraz inspirując swoimi oryginalnymi badaniami i opiniami licznych językoznawców, kulturoznawców, medioznawców, filozofów i pedagogów. Jej wkład do dorobku naukowego CultMedia-Netzwerk, jak i do kilkunastu innych projektów badawczych, jest bardzo duży i jest doceniany przez liczne grono przedstawicieli różnych nauk.

Jestem przekonany, że dokonania naukowe prof. Urszuli Żydek-Bednarczuk nie przecho- dzą w 2023 roku i przejdą do historii nauki, zawierają bowiem taki potencjał poznawczy, który może dla czytelników Jej tekstów stać się zaczynem głębokiej refleksji nad językiem, mediami i kulturą, a przede wszystkim nad *homo communicans*.

Rozpoznawalne na tle

MACIEJ SZCZAWIŃSKI

Krótko przed śmiercią Konstanty „Kot” Jeleński zobaczywszy prace EWY BŁASZAK użył sformułowań, które w innych ustach mogłyby zabrzmieć ogólnikowo. Padły wówczas słowa takie jak „rozpoznawalne na tle...” i „wyróżniające się”... Umysł tak głęboki i intelekt tak błyskotliwy musiał rozpoznać natychmiast odrębność tonu młodzieńczej wówczas artystki. Odrębność właśnie „na tle”. Słowo tło ma w tym wypadku ważne znaczenie. Oznaczać bowiem może jednocześnie doraźny kontekst jakiegoś zestawu prac (wystawy) różnych autorów, jak i przestrzeń znacznie już szerszą, czyli status quo zjawisk artystycznych tamtego czasu w ogóle. „Kot” był znawcą. Wybrednym koneserem oryginalnych dykcji zarówno w literaturze jak i w sztukach plastycznych. Jego „rentgeniczna” przenikliwość wobec twórczości Lebensteina, Czapskiego, a zwłaszcza dzieł Hansa Bellmera nie pozostawia wątpliwości, że mówiąc „rozpoznawalne na tle” dokonał błyskawicznego wartościowania. Sztuka końca XX wieku – o tym czasie mówimy – stała się rejonem coraz, silniejszej malarskiej ideologizacji. Osobisty wybór, „papilarne linie” pojedynczego gestu, wszelkie „Ja” pragnące wyjawić i dopowiedzieć swój osobisty kontur – były w odwrocie. Musiało być zatem w tych oglądanych przez Jeleńskiego obrazach to coś, co tak zawsze, bez względu na dyscyplinę, cenili i eksponowali: autentyczność gestu. Ton wyłamujący się z reguł tradycji i poetyk. Zmysłowość. Młoda polska artystka-emigrantka Ewa Błaszak miała to niebawem szczęście, o którym setki artystów marzą dzień i w nocy bez względu na czas owych snów: być zauważonym przez Postać Wybitną. To dodaje skrzydeł i wiary w talent. To jest również (nierządkiem) „rakieta nośna” dalszej kariery.

Ewa Błaszak wieść o aprobacie Jeleńskiego zachowała jednak... dla siebie. Rychło miała się zresztą okazać, że pozytywne opinie osób obdarzonych charyzmą i autorytetem będą się mnożyć. Bo urodzona w Katowicach, mieszkająca i tworząca we Włoszech artystka wydeptywała już własną ścieżkę wśród coraz bujniej pleniących się „izmów”.

Intelektualne zaplecze tych prac można precyzować i rozciągać na wiele epok, szkół i filozoficzno-duchowych umocowań. Zabiegi tego typu, chociaż żyżne erudycyjnie i stylistycznie, prędzej czy później zaczynają jednak nużyć. Są nominalne, a więc jałowe. W końcu wszystko można odnieść do istniejących już kategorii i klasycznych reguł myślenia. Ograniczmy się zatem w tym wypadku do ogólnej refleksji: patrząc na obrazy Ewy Błaszak czytamy z nich (i w nich) jakieś wewnętrzne przeświadczenie, że istota rzeczywistości jest nam w poznaniu empirycznym niedostępna. Zmysłowo odbierane kontury, przedmiot, światło, przestrzeń nie są absolut-

nie istotnym bytem. Artysta może zatem wybierać pomiędzy wiernością wobec zmysłów i rozumu (w sensie wiedzy o rzeczywistości) a zaufaniem do instynktu, intuicji, przeczucia, czego konsekwencje są już znacznie bardziej poważne. Ten drugi wariant uruchamia bowiem zawsze coś, czego w przypadku prac Ewy Błaszak nie sposób przecenić: wyjście poza przedmiot. Ale – uwaga – zarówno w sensie jego rzeczywistości jak i tego co zeń (wy)imaginowane. Nie bawiąc się w mistyczne konotacje takich wyborów, wyciągnijmy natychmiastowy wniosek: Ewa Błaszak buduje swoją przestrzeń malarską na wciąż żywej i frapującej tradycji znaczonej m.in. twórczością Kandinskiego, Klee czy Delaunaya. Oto czysta ekspresja bezprzedmiotowych linii, form i barw. Oto dynamiczne układy płam i elementów graficznych. Syntezy kształtów. Najdujemy się w świecie innego rytmu, innej harmonii i dysonansu. Te kompozycje zostały zbudowane najczęściej na zasadzie czegoś w rodzaju lirycznej wariacji, wariacji polifonicznej. Obcujemy z rzeczywistością uwolnioną ze znanej konwencji i reguły. Ze światem niepodległym przewidywalności. Zatem przesterzeń – chciałoby się powiedzieć z emfazą – wyzwolona! Przy tego typu odczytaniach należy jednak zachować umiar i ostrożność. Ewa Błaszak, mimo wszelkich oryginalnych i samostojnych kreacji, mimo zdumiewających i paradoksalnych syntez (kształty organiczne, „ameboidalne”, morfologiczne fantazje, gry przenikań barwnych i płaszczyznowych) proponuje nam przecież – jak ma to miejsce zawsze w przypadku sztuki autentycznej i oryginalnej – świat mocno wewnętrznie zorganizowany. Świat, którym obok ekspresyjnej abstrakcji i imaginacyjnej swobody rządzi swoisty rygor. Bez wahania gotów jestem nazwać ów porządek: to RYTM i KOLOR. O muzyczności obrazów Błaszak można by pisać wiele i długo. Niejedną z tych prac, pomijając subtelne, acz czytelne aluzje (instru-

menty, nuty) jawi się jak swoisty zapis graficzny brzmień, harmonii. Czasem dysonansu. Sama artystka nie ukrywa zarówno „kuchni” malarskiej (zawsze w trakcie pracy towarzyszyła jej i towarzyszy muzyka) jak i konkretnych fascynacji, poczynając od Brahmsa a na Schönbergu kończąc.

Właśnie rytm. To coś, co daje się odczytać ze sposobu prowadzenia linii, kapryśnej a zarazem konsekwentnej, z dynamiki, z ułożenia ręki, z konturu wiodącego napięty dialog z kolorem – porządkuje tutaj wibrację. Odsyła do tej innej, nowej harmonii, jawiącej się zrazu jako celebrowanie „dowolnego” i „przypadkowego”. Ewa Błaszak ujawnia w tym miejscu swą nadzwyczajną umiejętność rysowania. Tak, rysunek to potężny atut warsztatu tej artystki.

No i kolor. Ta cała alchemia sekretnego porządku, nieoczekiwanych konieczności i oczekiwanych paradoksów. Widzimy wyrafinowaną grę kolorem, ściszenie go i amplifikowanie. Raz jest kładziony ostro, z wręcz plakatowym kontrastem, a kiedy indziej jakby wywiedziony z jakiejś tajemnej gramatyki, którą artystka odczytuje w skupieniu i nieśpiesznie ujawnia.

Na obrazach Ewy Błaszak bez względu na technikę, jaką zostały wykonane uwyrażnia się zdumiewająco sugestywny splot dyktansu do empirii, racjonalnie dających się motywować i nazwać impulsów z duchową i stricte artystyczną logiką. Splot intuicyjnych wrażeń i konieczności wynikających z namysłu nad „treścią” przekazu. Ale bodaj najpierwszy jest tu polot i żywy, lekko wzgardliwy wobec wszelkich spętanych „izmów” własny ton.

Mniemam, że właśnie to przesądziło pewnego dnia, przed laty, o tym, że Konstanty „Kot” Jeleński zatrzymał się nagle przed obrazami nieznanej mu polskiej artystki i powiedział: „rozpoznawalne”... „Rozpoznawalne na tle”...

Ewa De Julis Błaszak urodziła się w Katowicach, gdzie ukończyła Liceum Ogólnokształcące imienia Mikołaja Kopernika. Od 1973 przebywa we Włoszech. Uczyła się sztuki malarskiej w pracowniach wybitnych malarzy włoskich takich jak: A. Balistreri, U. Peschi, A. Ciarrocchi.

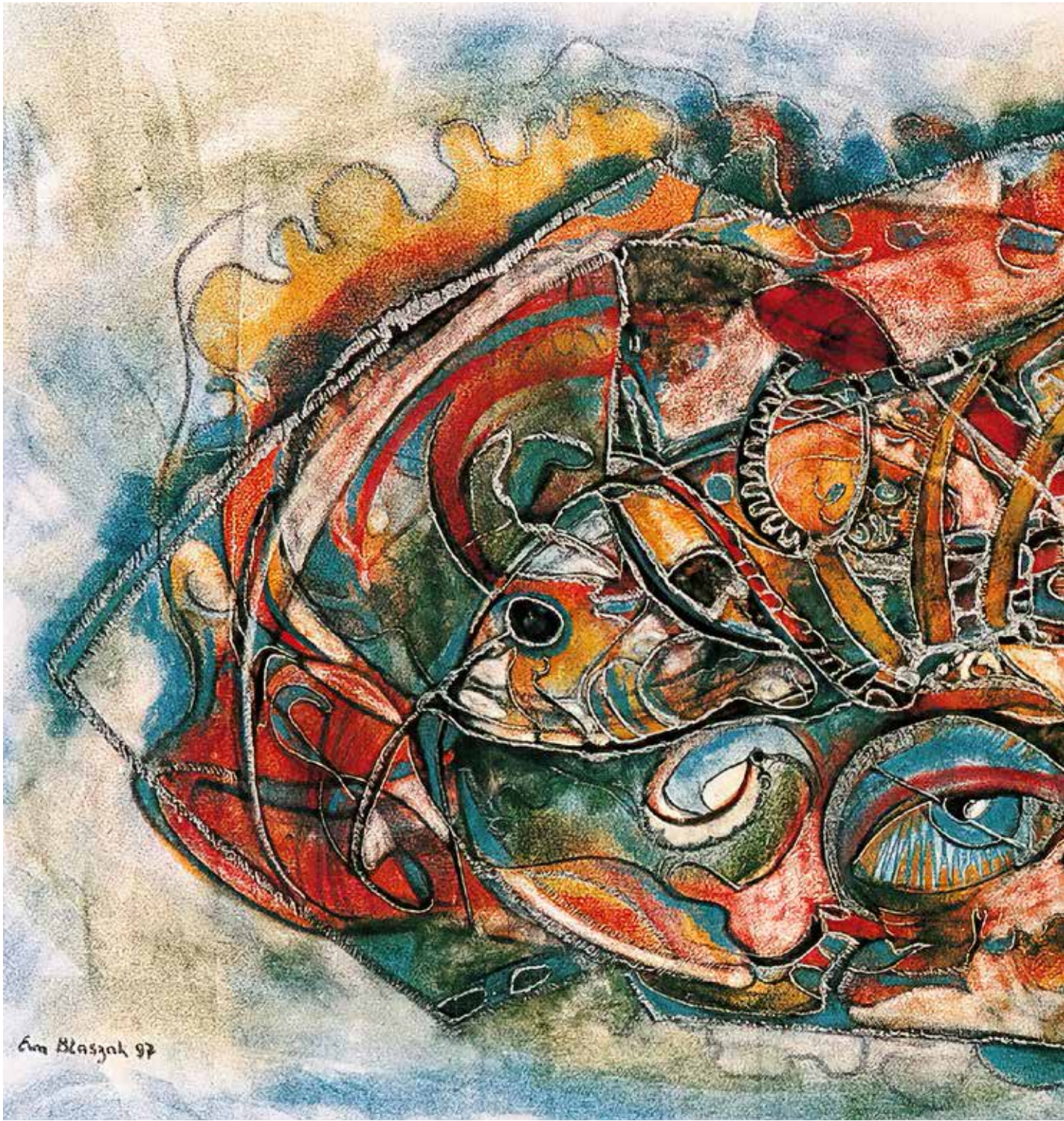
W 1995 roku zorganizowała wraz z mężem G. De Julisem i z prezesem ZPAP w Krakowie, profesorem Adamem Brinckenem, wymianę artystyczną między Regionem Marche i Krakowem, przy czynnej współpracy Instytutu Polskiego w Rzymie oraz Instytutu Kultury Włoskiej w Warszawie i w Krakowie i z tej okazji został wydany katalog „Sztuka Rytownicza w Marche”. Współzałożycielka Związku Kulturalnego „Alberto i Umberto Peschi” w Macerata. Prace jej znajdują się w kolekcjach prywatnych i publicznych we Włoszech i za granicą. Laureatka nagród: Premio Arte d'Avanguardia w Pompejach (1985), Premio Nobel Top w Mediolanie (1986), Piccola Europa w Sassoferato (1994) i Premio Marche (1996). Od czasu pierwszej wystawy indywidualnej w Palazzo dei Priori w Fermo wystawia swoje prace często na wystawach indywidualnych i zbiorowych. W 1988 roku malarstwo Ewy Błaszak zyskuje uznanie krytyka i pisarza Marcelła Venturoli, który zgłasza ją do Katalogu Włoskiej Sztuki Współczesnej Bolaffi.



*Wrażliwość geometryczna,
Sensibilitá geometrica,
olej, 60 x 45, 1991*



Enigma, pastel, 35 x 50, 1993



Bajka, La favola, pastel, 70 x 135, 1997





Dla Katowic, A Katowice, 50 x 70, 2014



Martwa natura, Natura morta, pastel, 50 x 70, 2015

Grajmy!

PIOTR GRELLA-MOŻEJKO



foto: Anna Marysiak

Ewę poznałem w 2006 roku. Aż chce się użyć standardowego „Jak ten czas leci!”. Spotkaliśmy się w kwietniu owego roku na IV Międzynarodowym Festiwalu Saksofonowym w Szczecinie. Pojechałem tam, gdyż Dariusz Samól, pomysłodawca i organizator tej imprezy, wirtuoz, pedagog i animator kultury *extraordinaire* (a teraz serdeczny przyjaciel) zagrał z orkiestrą Opery Szczecińskiej pod dyktando Jacka Kraszewskiego premierę mojego koncertu *Dream Daemon*. Pamiętam jedną z perkusistek, która z obłędem w oczach przemknęła obok mnie, szepnąwszy z wyrzutem: „Co pan na tę marimbę nawypisywał!”. Pomyślałem sobie jak trudno przyjąć własne ograniczenia i jak łatwo innym obarczać odpowiedzialnością za grzechy własne. Przecież w głosie marimby nie było nic nadzwyczajnego, ot, szybkie przebiegi, które każdy niezły student powinien grać bez przeszkód. Potem miały miejsce kolejne wykonania, także za granicą, i jakoś żaden z perkusistów nie narzekał; grali płynnie, nawet radośnie, bo muzyka żywa, nie stroniąca od efektu (nie – efekciarstwa) – tak to sobie zaplanowałem. Szczerze mówiąc nietrudno jest pisać utwory wielkie a ponure, oczywiście „dramatyczne”, skazane na wielkość jeszcze przed narodzinami (później ta wielkość kurczy się jak suchy grzyb, dramatyzm wietrzeje, okazuje się, że te ogromne dzieła to nudy na pudry); znacznie trudniej dać coś lżejszego, tak, weselszego, a przy tym nie prostackiego, jak to się dzisiaj na nieszcześnie coraz częściej dzieje – trzeba się jakoby publiczności przypodobać, odbiorców traktuje się jak stado baranków niezdolnych do zaakceptowania sztuki ambitniejszej. Zła to tendencja, a przecież moje doświadczenia uczą mnie, iż to nie nasze słuchaczki i nasi słuchacze cierpią na estetyczny niedowład, tylko prawdziwe barany, które planują sezony koncertowe. W Polsce jeszcze nie jest tak źle, ale kiedy sobie pomyślę, co się dzieje w tym względzie w Ameryce Północnej i jakie będą – już są! – tego efekty, to aż mnie ciarki przechodzą. Kochamy naśladować Amerykanów, tyle że nie na dobre, a na złe. Niemniej jednak polskiej nacji Bóg nie obdarzył jakąś szczególną muzykalnością (jeśli w ogóle), o czym np. świadczy kariera niejakiego Zenka, o którym nawet film nakręcono (czy wpadłoby komu do głowy zrobić film fabular-

ny o Góreckim? – miał arcyciekawe życie!), więc zawsze popierać należy inicjatywy umuzykalniające – i o jednej z nich chcę kilka słów napisać.

Wróćmy tutaj do Ewy. Nic mi jej nazwisko – Ewa Ruszała – nie mówiło. Do czasu. Kiedy bowiem usłyszałem jak gra, zaniemówiłem, dosłownie. Akompaniowała studentkom i studentom saksofonu w czasie klasy mistrzowskiej Jean-Marie Londeixa, może najwybitniejszego saksofonisty XX stulecia. Nie wszyscy uczestnicy grali bezbłędnie, zdarzały się potknięcia, ale Ewa, najwyraźniej obdarzona szóstym zmysłem, potrafiła wszystko naprawić, ulepszyć, upięknąć. Zaprzyjaźniliśmy się prędko i przyjaźń tę wysoce sobie cenię, ale dopiero niedawno poznałem jeszcze jedną stronę jej działalności. Okazuje się, że Ewa jest wyśmienitą kompozytorką muzyki pedagogicznej! Dodajmy, nie tylko kompozytorką, ale i współautorką niezwykle użytecznej publikacji dla początkujących muzyków, a zatytułowanej po prostu *Grajmy!*

Grajmy! to jedno z najsympatyczniejszych wydawnictw tego typu, które dane mi było dotychczas poznać, jeśli nie najsympatyczniejsze. Dlaczego mówię „najsympatyczniejsze”, a nie na przykład „najlepsze”? Wydaje mi się, iż co istotnym być powinno w przypadkach książek takich jak ta – i tu dochodzimy do sedna rzeczy! – to przyjemność obcowania z nimi, przyjemność obcowania z zawartymi w nich treściami, które nie tylko służyć nam muszą w procesie nauki, ale wręcz zachęcać do wędrowania dalej, do wspólnej podróży w stronę Piękna w sposób przystępny i miły, pozostawiając nam, czytelnikom i czytelnikom – tak, uczniom! – swobodę wyboru ścieżek prowadzących do celu. Moim zdaniem ten właśnie warunek spełnia publikacja *Grajmy!*

Obok szeregu ładnie skomponowanych melodii w różnych gatunkach, stylach i kontekstach kulturowych (od utworów wykorzystujących rodzimy folklor do tytułów typowo latynoskich), po których opanowaniu będziemy w stanie zagrać je z akompaniamentem, nabywając tym samym umiejętności zarówno gry solowej jak zespołowej – wielki walor tej pracy! – znajdziemy w niej dodatkowe atrakcje, jak możliwość kolorowania obrazków towarzyszących muzyce. O ile ja prawdopodobnie nie będę kolorować (choć bardzo mnie kusi!), o tyle najmłodszy muzyk może uznać tę opcję za stymulującą,

bo przecież nawet niby pasywne kolorowanie rozwija wrażliwość: zauważmy jak ważną jest w muzyce barwa!

Grajmy! to publikacja multimedialna. Każdej melodii towarzyszy uprzednio nagrany akompaniament w formacie MP3, dostępny w Internecie.

Kolejną mocną stroną tej świetnej książki jawi się zróżnicowany wyraz kolejnych utworów. Otrzymujemy więc mozaikę nastrojów, wprost niezbędną w trakcie penetrowania uniwersum zwanego Muzyką. Podoba mi się to – i również dlatego polecam ten zbiór wszystkim tym, które i którzy pragną owo uniwersum zwiedzać, do czego gorąco zachęcam. Tak, są na rynku inne publikacje tego rodzaju, nie okłamujemy się, ale akurat kolekcję *Grajmy!* wyróżniają na ich tle urok, bezpretensjonalność – i wielofunkcyjna przydatność.

Zespołowi autorskiemu, w którego skład wchodzi, oprócz Ewy, bardzo dobry kompozytor i aranżer Roman Sobuś oraz zdolny artysta Jacek Pańka, pogratulować trzeba pomysłu i jego spełnienia oraz zachęcić do kontynuowania twórczej roboty. Oby tak dalej. O wadze wydawnictwa świadczy też słowo wstępne, które napisał wybitny amerykański saksofonista i pedagog, prof. Patrick Meighan, a także umieszczone zaraz potem rekomendacje autorstwa dwojga wspaniałych artystów i nauczycieli związanych z katowicką Akademią, Gabrieli Szendzielorz i Andrzeja Jungiewicza. Rekomendacje ich potwierdzają wagę i znaczenie tego zbioru nie tylko z punktu widzenia materiału, który w nim zaprezentowano, lecz również z punktu widzenia potencjalnych muzyków i satysfakcji poznawania przez nich materii dźwiękowej w niewymuszony i nieskrepowany sposób.

Na cóż więc czekać? *Grajmy!*



Edukacja regionalna w kolejnej odśtonie

JOLANTA TAMBOR

Trwa piąta jubileuszowa edycja Podyplomowych Studiów z Wiedzy o Regionie. Rozpoczęła się w październiku 2022, w styczniu 2023 kończy się jej pierwszy semestr. I właśnie w styczniu odbyło się inauguracyjne posiedzenie powołanej przez Marszałka Województwa Śląskiego, Jakuba Chelstowskiego, Rady Naukowej programu edukacji regionalnej II kadencji.

Zarówno Rada Naukowa, jak i same Podyplomowe Studia z Wiedzy o Regionie były i są odpowiedzią na ogromne zapotrzebowanie społeczne w województwie śląskim na uzupełnianie i poszerzanie wiedzy o regionie, czy właściwie regionach, składających się na województwo i na nabywanie kompetencji do przekazywania tej wiedzy. O takie studia dopominali się nauczyciele, muzealnicy, animatorzy kultury, dziennikarze, ale też po prostu pasjonaci i fani regionalności i lokalności. Tu od razu należy oddać hołd niestrudzonej działaczce, fance i promotorce wszelkich działań miejscowych i okolicznych – Łucji Staniczkowej. To ona „wierciła dziurę w brzuchu” władzom rektorskim i dziekańskim Uniwersytetu Śląskiego, ona była „kołem zamachowym” projektu, jeździła do gmin, urzędów miejskich, szkół, wydziałów oświaty i przekonywała, namawiała, tłumaczyła, że warto właśnie teraz trud organizacji tych studiów i potem całego systemu edukacji regionalnej podjąć.

To ogromne przedsięwzięcie mogło się udać wyłącznie dzięki wysiłkowi wielu instytucji i przede wszystkim osób je reprezentujących, którym edukacja regionalna leżała i leży na sercu. Wstępną umowę o współpracy i współdziałaniu w sprawie utworzenia Podyplomowych Studiów z Wiedzy o Regionie na Uniwersytecie Śląskim i sporym dofinansowaniu Zarządu Województwa Śląskiego uczestnictwa w nich dla nauczycieli ze szkół w województwie podpisali wiosną 2018 roku Marszałek Województwa Śląskiego i JM Rektor UŚ. Pieczę nad programem ze strony Urzędu

Marszałkowskiego objął Wydział Kultury, kierowniczką Studiów zostałam ja, Jolanta Tambor, mając do pomocy wiele koleżanek i kolegów z Wydziału Humanistycznego (wtedy Filologicznego) oraz z zaprzyjaźnionych instytucji kultury. Od samego początku Studia miały dwóch sekretarzy: jednego od spraw zajęć stacjonarnych – to dr Tomasz Gęsina, drugiego od zajęć terenowych – dr Krystian Węgrzynek. Bo Studia mają swoją specyfikę: połowa zajęć odbywa się w terenie, poza salą wykładową. Twórcom zależało na tym, by wiedza zdobywana na wykładach przełożyła się na umiejętności, kompetencje, by się unaoczniała, stała się namacalna. Chodzi nam o to, by słuchacze wszystkiego dotknęli, wszystkiego spróbowali, żeby dotarli tam, gdzie jeszcze nie byli, żeby zobaczyli w regionie miejsca nieoczywiste, niekoniecznie najczęściej odwiedzane, a ciekawe, atrakcyjne, pociągające.

Logo Studiów zostało zaprojektowane przez jedną z naszych uniwersyteckich koleżanek, lektorkę i doktorantkę Annę Gawryś-Mazurkiewicz. Długo zastanawialiśmy się nad skrótem, który powinien pojawić się na tle konturów Województwa Śląskiego.

Przystaliśmy na skrót WoR – pozwala na szersze stosowanie go, nawet poza identyfikowaniem tylko samych studiów, oznacza bowiem Wiedzę o Regionie w ogóle. Polacy uwielbiają gry językowe, asocjacje, kalambury i szarady. Zatem ten skrót na pewno różne skojarzenia przywołuje. Ale postanowiliśmy na nie przystać i je zaakceptować. W tym WoRze mieści się bowiem wszystko.

Po pierwsze, studia w planach, projektach i w realizacji były i są studiami interdyscyplinarnymi. Zawierają 5 modułów: dziedzictwo kulturowe regionu, języki i dialekty w województwie śląskim, ukształtowanie regionu: geografia z przyrodą, historyczne i socjologiczne uwarunkowania regionu, sztuka w regionie: literatura, film, teatr. Chodzi bowiem o to, by wiedza zdobywana w czasie Studiów przydawała się wszystkim – nie tylko nauczycielom polonistom, ale też specjalistom z innych dziedzin. Wykładowcy rozbudzają nowe fascynacje, pokazując filmy, spektakle teatralne, czytając ze słuchaczami teksty literackie, podziwiając architekturę i wspinając się na hałdy, wachając kwiatki i obserwując wyrobiska, dotykając kamyków i rozważając rela-



fol. Urząd Marszałkowski Województwa Śląskiego

Sluchacze Podyplomowych Studiów z WoR pod średniowieczną Rotundą w Cieszynie

cje ludzkie. Absolwenci są faktycznymi fachowcami i znawcami regionu w granicach województwa śląskiego.

Po drugie, do tego WoRa wrzucano mnóstwo typów zajęć – są to akademickie wykłady i seminaria, ale również zajęcia w terenie, w czasie których towarzyszą słuchaczom przewodnicy, osoby pracujące w danych obiektach i uniwersyteccy wykładowcy, którzy swoje zajęcia prowadzą w odpowiedniej scenarii. W programie jest Sztolnia Królowa Luiza w Zabrze, GEOsfera w Jaworznie, Instytut Mikołowski, Muzeum Miejskie w Żywcu i Muzeum Miejskie w Żorach z unikatową wystawą „Polskie poznawanie świata”, Jasna Góra, Brama Cukermana w Będzinie, Trójstyk i Centrum Polskiego Szkolnictwa Narodowościowego w Czeskim Cieszyńcu i wiele, wiele innych miejsc.

Po trzecie, co niezwykle istotne, jak sama nazwa wskazuje to Studia z Wiedzy o Regionie. O regionie rozumianym szeroko. Nie da się ukryć, iż spora część zajęć dotyczy Górnego Śląska – w ramach województwa śląskiego spora część ziem to ziemie historycznie bądź współcześnie śląskie, w wielu miejscach trwają śląskie tradycje i etniczne wyznaczniki kulturowe: język, krajobraz, kulturowe postrzeganie rzeczywistości. Jednak zdecydowanie program Studiów nie pomija regionów o innych korzeniach etniczno-kulturowych, które funkcjonują w ramach województwa śląskiego i są z górnośląskim trzonem dość trwale zrośnięte.

Skład wykładowców – a zgodzili się na prowadzenie zajęć najlepsi specjaliści – zapewnia ucztę intelektualną. Słuchacze zyskują wiedzę, umiejętności i kompetencje, które mogą przekazywać dalej – swoim uczniom, swoim bliskim, kolegom. Program edukacji regionalnej już na trwałe zagościł w szkołach i instytucjach kultury województwa śląskiego. Absolwenci Studiów są awangardą tego programu.

Wraz z aktualną, 6. edycją to już ponad setka WoR-owców, osób doskonale przygotowanych do odgrywania roli lidera edukacji regionalnej (które mogą tworzyć autorskie klasy regionalne, programy regionalne i inne formy edukacyjne i promocyjne związane z wiedzą o Śląsku i innych regionach województwa).

27 czerwca 2019 r. – w Sali Błękitnej gmachu Sejmu Śląskiego została podpisana długoterminowa umowa pomiędzy Marszałkiem Województwa Śląskiego i JM Rektorem UŚ. Porozumienie dotyczyło potwierdzenia



Co wiesz o tej ziemi – słuchacze Podyplomowych Studiów z WoR w Centrum Pedagogicznym dla Szkolnictwa Narodowościowego w Czeskim Cieszyńcu

długofalowej współpracy w zakresie prowadzenia Studiów, zagwarantowało także stałe dofinansowanie dla uczestniczących w zajęciach nauczycieli uczących w szkołach na terenie województwa śląskiego. 23 stycznia 2023 w obecności rzecznika, Marszałka i JM Rektora, prof. Ryszarda Koziołka zainaugurowała działalność Rada Naukowa programu edukacji regionalnej, która wyznaczy nowe ramy tejże edukacji, proponuje rozwiązania oparte na najlepszych wzorcach dotychczasowych działań i opracowań. Rada skupia przedstawicieli różnych wydziałów Uniwersytetu Śląskiego (prof. prof. Jolanta Tambor, Grażyna Szewczyk, Marek Szczepański, Tomasz Nawrocki, ks. Arkadiusz Wuwer, ks. Roman Buchta, Krzysztof Pszczołka), Uniwersytetu im. Jana Długosza w Częstochowie (prof. Barbara Szargot), Muzeum Śląskiego (Adam Pastuch), Kuratorium Oświaty (Wiesława Gala), Diecezji Katolickiej Kościoła Ewangelicko-Augsburskiego (bp Marian Niemiec), Muzeum Powstań Śląskich (Andrzej Drogoń), Muzeum Miejskiego w Żywcu (Dorota Firliej), Regionalnego Ośrodka Doskonalenia Nauczycieli WOM (Iwona Kruszewska-Stoły), Biblioteki Śląskiej (Zbigniew Kadłubek, Krystian Węgrzynek). Przedstawicielem Marszałka w Radzie jest Piotr Czarnynoga, przewodniczący Komisji Edukacji, Nauki i Kultury Sejmiku Województwa Śląskiego.

Słuchacze Studiów Podyplomowych z WoR i ich absolwenci stanowią wielką rodzinę. Komunikują się z sobą na FB, biorą udział w niektórych imprezach i wydarzeniach kolej-

nych edycji, piszą do nas, komentują nasze posty, udostępniają je, przysyłają do nas swoich znajomych i przyjaciół, wracają do nas jako wykładowcy. Fascynujący wykład wygłosiła dla swoich kolegów Katarzyna Musioł (specjalistka onkolog i hematolog dziecięca), dzięki której zwiększyła się świadomość ekologiczna uczestników – przedstawiła zagrożenia smogowe dla płuc dzieci w województwie śląskim. Anna Morajko-Fornal, także słuchaczka Studiów, obecnie przyjmuje kolejne edycje na zajęciach metodyczno-dydaktycznych w Domu Śląskim. Kolejna absolwentka, Barbara Kowacek-Jędrasik obecnie prowadzi zajęcia z organizacji wydarzeń kulturalnych jako elementu procesu edukacyjnego. Nazwiska absolwentów Podyplomowych Studiów z Wiedzy o Regionie pojawiają się w informacjach o największych imprezach w województwie, w spisach kierownictw instytucji regionalnych, wśród autorów tekstów regionalistycznych. To największa dumą dla organizatorów, bo nauczyciel jest spełniony wtedy, gdy przerastają go jego uczniowie.

I na koniec wypowiedź jednej ze słuchaczek, której część studiów przypadła na czas pandemii: „Super! Ja jestem ciągle niepokieszona, że pandemia uniemożliwiła mojemu rocznikowi bieganie po hałdach, a nade wszystko właśnie wizytę w Cieszyńcu... Znamy, wiemy, byliśmy nie raz, ale zwiedzanie i przeżywanie tego od nowa z naszymi cudownymi profesorami od podyplomówki, to po prostu inny poziom... Ech, poszłabym raz jeszcze!”

Polski król w pruskich murach. Z historii pszczyńskiego Liceum im. B. Chrobrego

GRZEGORZ SZTOLER

W muzeum powstałym jeszcze po 250-leciu szkoły znajdują się prawdziwe skarby przeszłości: dokumenty, ławki, przybory szkolne, pomoce naukowe no i zdjęcia... Tam trafiamy na starszą panią, która z rozrzwinięciem rozpoznaje jednego z nauczycieli. – Pan też pamięta tego profesora? – dziwi się patrząc na moją młodą posturę. – Znam po prostu historię tej szkoły, bo jestem jej absolwentem – odpowiadam z uśmiechem. I słyszę opowieść o profesorze, który z takim urokiem opowiadał o Syberii – a cudem ją przecież przeżył – o jej śnieżnych, bezkresnych przestworzach – że ona, smarkuła, zakochała się w tym miejscu idiotycznie (a może i odrobinę w samym profesorze). Tu śmiech. To już w końcu 60 lat upłynęło, zdradza jej mąż ku (udawanemu?) oburzeniu dystygowanej pani. Tak, to był profesor Stanisław Cisek.

Koło sekretariatu – teraz na parterze – można wypożyczyć dziennik lekcyjny i przypomnieć sobie oceny, jakie miało się 30, 40 czy 50 lat temu. I to jest chodliwy kącik. Każdy coś przegląda. Obok, w pomieszczeniu biblioteki stos kronik. Nie kilkanaście, a kilkadziesiąt tomów. Z każdych lat, dekad, czy klas. Przeglądam wyrywkowo. Zaurocza mnie jedna z lat 50., kolorowa, starannie kaligrafowana. I jeszcze te z lat 70., wiadomo, dekada sukcesu... Teraźniejsze kroniki, pełne zdjęć niczym z fejsbuka, czy tweetera i maszynowego pisma, mnie nie wciągają. Wolę te tworzone ręcznie – są autorskie i takie amatorskie, z charakterem.



Zacny jubilat od strony ulicy 3 Maja, dawnej Gimnazjalnej

Obchody 280-lecia pszczyńskiego Liceum im. B. Chrobrego, najstarszego na Górnym Śląsku, miały miejsce w ostatni weekend listopada ubiegłego już roku. W piątek rozpoczęto je okolicznościową akademią i sesją naukową, a popołudniem specjalnym koncertem w zamkowej Sali Lustrzanej. W sobotę i niedzielę po okolicznościowych mszach za zmarłych i żyjących absolwentów, pracowników i nauczycieli tej placówki odby-

wały się jubileuszowe spotkania. Przez cały weekend można było odbyć swoistą, sentymentalną podróż w przeszłość. Skorzystało z tego naprawdę sporo osób.

Dyrektorka szkoły, Renata Dyrda, którą spotykam w sekretariacie, wzdycha, kiedy pytam, czy powstaje jakaś jubileuszowa publikacja. – Tak, będzie nowa monografia szkoły – potwierdza. – Ale jeszcze nie jest gotowa. Moja rozmówczyni (kupuję pamiątkową Inianą torbę z logo szkoły – a w niej dwie krowki, licealna pocztówka, zakładka, teczka, długopis i kalendarium historyczne) mówi, że ciężko odczytać te wszystkie niemieckie dokumenty, a potem jeszcze przetłumaczyć. Wiem co mówi, neogotyk przerabiałem na studiach, a książki (przeważnie historyczne) tworzę od dwóch dekad. Taka książka historyczna to co najmniej dwa, trzy lata roboty. Więc pewno na 285-lecie pszczyńskiego Liceum takie dzieło będzie w sam raz.

Wielowątkowa historia

Historia pszczyńskiego liceum jest przebogata. Dość wspomnieć, że pisali o niej m.in. historyk Ludwik Musioł w przedwojennej monografii Pszczyny. Ten ostatni wzorował się na barwnym opisie autorstwa Franciszka Kulisiewicza, który pełnił wtedy obowiązki dyrektora szkoły – zamieszczonym w „Sprawozdaniu gimnazjum za rok szkol-



Pocztówka z pruskim gimnazjum. Tak prezentował się gmach Hochbergianum u progu XX stulecia. Ze zbiorów autora



Strona jednej z kronik z lat 60., też jubileuszowa, która mnie zauroczyła...

ny 1929/30^o. Wyrzykowo dzieje jubilatą porusza również dwutomowa, najnowsza monografia miasta. Na 250-lecie pszczyńskiego LO w 1992 roku ukazała się wyjątkowa, choć skromna rozmiarami publikacja pod red. prof. Wiesławy Korzeniowskiej, z listą absolwentów, opisująca dzieje szkoły od początku jej istnienia (tu m.in. historyk Zygmunt Orlik, dyrektor LO w latach 80. XX w., wspomina o wojennym okresie). Trzeba dodać, że bardzo wartościowe są ustalenia badawcze dr Haliny Noćoń, która zajęła się losami ziemiańskiego internatu prof. Wacława Iwanowskiego w Pszczynie, a także przedwojenną polską inteligencją w powiecie pszczyńskim (a więc także nauczycielami tworzącymi legendę tej placówki). Teraz z niecierpliwością czekamy na monografię, na którą szacownie jubilat – pszczyńskie Liceum Ogólnokształcące im. Bolesława Chrobrego w pełni zasługuje.

Do czego nawiązuje jubileusz pszczyńskiego LO? Do roku 1742. Wtedy właściciel XVIII-wiecznej Ziemi Pszczyńskiej hrabia Erdmann von Promnitz (ur. 22.8.1683, zm. 7.9.1745, rządził w latach 1703–45), na skutek – jak podaje to W. Korzeniowska – intensywne starań prowadzonych od 1709 r., otrzymał zezwolenie króla pruskiego Fryderyka II na otwarcie przy ewangelickim domu modlitwy szkoły umożliwiającej naukę dzieciom ewangelickim. Stało się to w listopadzie 1742 roku, kiedy to założono dwie klasy wyznaniowej szkoły ewangelickiej. Jerzy Polak doprecyzowuje, że zgoda ta – na utworzenie i budowę szkoły ewangelickiej – została wydana już 18 października 1742 r. Zaś 8 grudnia król pruski wydał przywilej zezwalający na ufundowanie przez hrabiego domu modlitwy w Pszczynie. A 26 października 1743 r. Erdmann Promnitz osobiście położył kamień węgielny pod budowę kościoła i szkoły, budowę obu rozpoczęto wiosną roku następnego, jednak nie ukończono jej za jego życia.

Tak opisuje losy placówki w latach 30. XX w. jej dyrektor F. Kulisiwicz:

„Nowozałożona szkoła otrzymała nazwę: Ewangelicka szkoła miejska (Evangelische

Stadtschule). Po objęciu ziemi pszczyńskiej drogą darowizny przez księżąt z linii Anhalt-Köthen w roku 1765 oficjalna jej nazwa brzmiała – Książęca ewangelicka szkoła miejska – (Fürstliche evangelische Stadtschule). Obok tej nazwy spotykamy nazwę – Książęcego ewangelickiego zakładu szkolnego (Fürstliche evangelische Schulanstalt) albo Ewangelickiej szkoły elementarnej – (Evangelische Elementarschule). Przeważnie jednak używają w aktach nazwy – Evangelische Stadtschule – aż do roku 1839, od któ-

rego to roku znika nazwa szkoły miejskiej (Stadtschule) ustępując miejsca – Evangelische Schulanstalt, a to ze względów prawnych, by usunąć wszelki pozór praw komunalnych miasta do tej szkoły, utrzymywanej przez księcia. W roku 1867 szkoła zostaje zamieniona za zgodą władz pruskich na prywatne progimnazjum książęce i otrzymuje oficjalną nazwę – **Evangelische Fürstenschule Hochbergianum** – (**Ewangelicka szkoła książęca Hochbergianum**), który to tytuł, jako dekoracyjny, zatrzymuje szkoła nawet po zamianie jej na progimnazjum książęce i wreszcie na pełne rządowe gimnazjum w roku 1872 (15 VII). Ostatni jej tytuł za czasów niemieckich brzmiał: **Königliches Gymnasium – Evangelische Fürstenschule Hochbergianum**”.

A decydujące o współczesnym, polskim obliczu placówki, rzeczy dokonały się po powstaniach śląskich i plebiscycie:

„Rok 1922 rozstrzyga definitywnie los gimnazjum. Już w dniach od 21 VI czeka

grono niemieckie na niejakiego p. Kaszubę z Huty Laury, który ma odebrać gimnazjum, ale ten się jako nie zjawia. Wreszcie w dniu 24 VI 1922 r. przejął gimnazjum imieniem władz polskich szkolnych obecny dyrektor seminarjum nauczycielskiego w Pszczynie Tadeusz Przysiecki, a o godzinie 4 popołudniu tegoż dnia grono niemieckie odbyło swoją ostatnią konferencję w murach pszczyńskiego gimnazjum i ta stara szkoła przeszła pod zarząd śląskiego W. O. P. [Wydział Oświecenia Publicznego] w Mysłowicach, by zacząć nową erę swego rozwoju, ale już pod opiekunictwem skrzydłami Białego Orła... Już 3 maja 1923 roku zmieniono nazwę ulicy przy której stoi budynek szkolny (oddany do użytku w 1881 r.) z Gimnazjalnej na 3 Maja, na uroczystym posiedzeniu Rady Miejskiej, dla uczczenia polskich tradycji. A 28 listopada 1925 z okazji 900-letniej rocznicy koronacji B. Chrobrego, grono pedagogiczne wystąpiło z wnioskiem o nadanie gimnazjum nazwy: Państwowe Gimnazjum im. Bolesława Chrobrego w Pszczynie. Ministerstwo Oświecenia Publicznego zatwierdziło nazwę szkoły – z nr statystycznym 873 (na polu tarcz gimnazjalistów)”.

Mury te same, sentymentalne...

Mury te same, ale wnętrza nie do poznania. Poza korytarzami, aulą – chyba wszystko się pozmiało... Nie ma już mieszkania wóznego i tego psa, do którego ktoś trafił z kbk-su ćwicząc celność na lekcjach przysposobienia obronnego. Pies nie był groźny, choć przstraszył niejedną licealistkę (i obwąchał)... Patrzymy na okraszone fotografiami korytarze – żal orkiestry prof. Alojzego Kajstury. Szkoda, że ta tradycja – o XIX-wiecznym rodowodzie – nie przetrwała. Tyle osób, rzeczy przemineło... Tylko widok z okna się nie zmienia – z jednej strony Starostwo, a z korytarzowego okna do

* Zachowano pisownię oryginalną – przyp. red.



Przeglądanie starych, szkolnych kronik to pasjonujące zajęcie

strzegam płot przez który się skakało (raz rozdarłem spodnie, pamiętam). Furtkę wtedy ktoś zamknął...

Sala prof. Jana Brudnego, geografa, który uwielbiał się pastwić nad niewiedzą uczniów, straciła swój charakter, jest zupełnie nowoczesna, komputerowa. Nic tu – poza globusem – nie przypomina dawnej pracowni geograficznej. A przecież była tak „stylowa”, że nawet „Wspomnienie niebieskiego mundurka” tu kręcono... Nowoczesna pracownia, słyszę od oprowadzającej nas pracownicy, jest na górze, proszę do niej zajrzeć, mów z dumą. Zaglądamy. Przerazliwie podobna do innych nowoczesnych, w innych szkołach [stąd moje wrażenie, że już to gdzieś widziałem] i te plastikowe krzesła, na których – próbuję – czuję się jak skazaniec... Ty z twoim kręgosłupem, szepce małżonka. Tak, nie wysiedziałybym tu, wołałbym coś wygodniejszego, i odnośzę wrażenie, że te stare krzesła drewniane były wygodniejsze.

Uwiodła mnie klimatem przytulna, choć ciasna klubokawiarnia. Tu – jak zauważyłem na zdjęciach z fejsa – toczyły się absolutnie rozmowy. Płynęły. Przy kawie podobnie jak przy wejściu, koło dawnej szatni (jak tu zastosować przymiotnik „dawny”?).

Przy bibliotece i obecnym sekretariacie można wypożyczyć dziennik i sprawdzić swoje oceny sprzed dekad. – Chcesz coś poprawić? – pytam żonę Urszulę, też absolwentkę (spotykałem ją na szkolnym korytarzu). Nie, akurat spogląda z satysfakcją na oceny koleżanki. Miała tróję z maty, ha... No i odświeża listę nazwisk współtowarzyszek. To była babska klasa. Maturę moja ślubna zdawała rok później niż ja, w 1992 roku. Pamiętam, że wtedy, na 250-lecie chodziła po szkole z koleżanką z ławki, Agatą, taszcząc pamiętkową kronikę I Zjazdu i zdobywając podpisy co znamienitszych absolwentów. Odnajdujemy to bezcenne źródło historyczne wśród szkolnych kronik, wertujemy. Jest efektowny wpis prezenterki Krystyny Loski! Też kończyła pszczyńskiego Chrobrego!

Korzenie sięgają Cieszyna

By jeszcze bardziej zamieszać w tych ewangelickich początkach, na które powołuje się pszczyńskie Liceum im. B. Chrobrego, przypomnijmy, że przed powołaniem w Pszczynie w 1742 roku szkoły ewangelickiej, pan na Pszczynie i Żarach hrabia Erdmann von Promnitz radził sobie – a raczej ewangelickim poddanym w inny sposób. Kulisiewicz w „Sprawozdaniu...”: „hrabia Erdmann ustanowił (...) przy założonym w roku 1709 w Cieszynie kościele ewangelickim pastora dla Pszczyny, wysyłając tam dzieci do szkoły, udzielając im stypendjum, jakoteż odciągając swoim poddanym ewangelickim z Pszczyny dwa dni z robocizny, o ile udawali się na nabożeństwo do Cieszyna...”

Ludwik Musioł, wybitny przedwojenny historyk (ciekawy czy znali się z dyrektorem gimnazjum), przedstawia w monografii Pszczyny rzecz szczegółowej: „Gdy bowiem pod naciskiem szwedzkiego króla



Zdjęcia, zdjęcia, które były wystawione dosłownie wszędzie – i na korytarzach, w klasach, czy na schodach – znakomicie oddawały wielowątkową, ciekawą historię jubilatą

Karola X cesarz niemiecki zezwolił m.in. na wzniesienie zboru ewangelickiego wraz ze szkołą w Cieszynie (1709), **wysyłali rodzice ewangelicy także z Pszczyny swoje dzieci do szkoły cieszyńskiej, gdzie pozostawali w internacie**. Promnicowie, panowie na Pszczynie, wspomagali rodziców ewangelickich w utrzymywaniu dzieci w szkole ewangelickiej w Cieszynie, ustanawiając poważne subwencje na ten cel. Od 1709 r. aż do r. 1730, gdy ewangelicki zakład w Cieszynie zamknięto, przeszła przez tę szkołę wcale pokaźna liczba dzieci ewangelickich tak z Pszczyny, jak i z okolicznych wsi. Na podstawie zachowanych aktów szkoły cieszyńskiej dało się stwierdzić, że z Pszczyny i okolicy przebywali w tej szkole chłopcy w liczbie około 35-ciu, dla których na książki, ubrania i utrzymanie w bursie w Cieszynie nakładał baron pszczyński. Liczba ta uzupełniała się ciągle na przestrzeni lat 1709 do 1739...”

Tak więc w zasadzie tradycje pszczyńskiej szkoły ewangelickiej sięgają korzeniami głębiej – samego serca Śląska Cieszyńskiego, Cieszyna...

Tradycja, czyli kontynuacja

Rybnicka konferencja, w jakiej uczestniczyłem miesiąc wcześniej, w październiku 2022 r. (przebiegająca pod hasłem „Kontynuacja czy nowość? Państwowe szkoły średnie w górnośląskiej części woj. śląskiego po 1922 r.”) udowodniła, że przejmowanie niemieckich placówek oświatowych średniego szczebla (gimnazja) przez władze polskie w 1922 roku, nie przebiegało bezkonfliktowo. Choć starano się, by uczniowie kończyli edukację „gładko”, w klasach, w których rozpoczynali naukę z językiem niemieckim – po niemiecku. Ale jednak dochodziło do gruntownej wymiany kadry nauczycielskiej, zmniejszała się liczba uczniów, a w później-

szych latach utrudniano, czy wręcz uniemożliwiano uczniom ze śląskich rodzin naukę w języku niemieckim (jej kontynuację). Niejednokrotnie okazywało się bowiem w późniejszych latach, iż mimo że młodzi Ślązacy zapisywali się do klas polskich, nic z tej – albo mało co – z tej nauki rozumieli. Stąd listy rodziców do władz szkolnych (zwłaszcza w przemysłowej części regionu, gdzie dominowała niemiecka administracja techniczna i urzędnicza, jak i inteligencja), by przenieść ich do klas z wykładowym językiem niemieckim. Ale w czasach postępującej polonizacji regionu, w czasach nadchodzącej sanacji, takie prośby nie mogły być spełnione. Były odrzucane. Stąd kolejna trudność stojąca przed śląską młodzieżą – wcześniej kształcono ich w języku niemieckim, w następnych latach musiano „przerzucić się” na polski, polskie pojmowanie świata, lektury i język. Rodziło to konflikty, bo nieraz – jak to zobrazowano na rybnickiej konferencji – w polskich szkołach brakowało dobrze wykształconej polskiej kadry nauczycielskiej.

Szkolnictwo polskie odradzało się bowiem w warunkach wyjątkowo trudnych – w Pszczynie, jak we wszystkich miastach górnośląskich dominowali przecież Niemcy i ta opcja wygrała plebiscyt w tych miejscach (to dotyczy zarówno Mysłowic, Rybnika, Katowic jak i reszty). Przejęcie szkół przez stronę polską (patrz wyniki plebiscytu i to, jakie górnośląskie tereny przyłączono po 1922 r. do Polski) oznaczało „wyrugowanie” tej większości (w Królewskiej Hucie przecież aż 75 proc. mieszkańców było za pozostaniem w Niemczech). Jednak mimo powszechnej polonizacji, w Pszczynie – to chyba nie jest wyjątek – zauważyć można pewne poszanowanie tradycji, chęć kontynuacji, choć i tu niemieccy uczniowie i niemiecka kadra byłego Hochbergianum trafiają do naprędce utworzonej książęcej szkoły mniejszościowej.

Hochbergianum zostaje przejęte przez władze polskie w 1922, i jak to pokazano, pracuje się tu nad polskim obliczem tej szkoły (czego wyrazem jest przyjęcie Chrobrego jako imię szkoły). Jednak chęć kontynuacji dobrej tradycji, utrzymywania renomy placówki, jej elitarności zwyciężają. Polscy uczniowie goszczą u księcia pszczyńskiego na herbatkach, nawiązują się uczniowskie przyjaźnie między Ślązakami a napływowymi uczniami, z których część wywodziła się z polskiej arystokracji (były to znane nazwiska: Zamojscy, Sapiehowi, Czetwertyńscy, Radziwiłłowie, Rzewuscy, Kossakowscy, Raczyńscy, Lubomirscy, Ostrowscy). Wreszcie uderzające jest to, że przedwojenny, sanacyjny jakby nie był dyrektor Franciszek Kulisiewicz, z szacunkiem podchodzi i opisuje niemiecką przeszłość i dokonania byłego Hochbergianum. I publikacja ta jak dotąd – najpełniej opisuje jej dzieje – stanowiąc pewien, klasyczny przykład, który dobrze oddaje powiedzenie, iż „na ramionach przodków wzniesiliśmy się o niebo wyżej”.

Bo tak właśnie trzeba.

Inauguracja 3. edycji Przestrzeni Słowa

The Beatles, Piotr Metz oraz odświeżona wersja arcydzieła

23 lutego 2023 o godz. 18 w Auli Zagłębiowskiej Media-teki (ul. Kościelna 11) odbędzie się inauguracja 3. edycji **Przestrzeni Słowa**. W rolach głównych wystąpią: legendarny dziennikarz muzyczny **Piotr Metz**, najważniejszy, najprawdopodobniej, zespół świata **The Beatles** oraz ich klasyczna płyta „Revolver”, która z końcem ubiegłego roku ukazała się w odświeżonej, poszerzonej i zremasterowanej wersji. Spotkaniu towarzyszyć będzie prezentacja nagrań demo, teledysków oraz odsłuchanie, na wysokiej klasy sprzęcie Hi-Fi, nowej wersji albumu „Revolver” oraz wernisaż wystawy poświęconej historii tego legendarnego dzieła. Całość wydarzenia poprowadzona zostanie przez Piotra Metza. Wstęp jest bezpłatny.

PŁYTA REVOLVER (1966)

Przełomowy album The Beatles z roku 1966, który zapoczątkował nową erę eksperymentalnej, awangardowej psychodelii dźwiękowej, przyniósł kulturową zmianę i wyznaczył ważny zwrot w twórczej ewolucji The Beatles. Płyta odzwierciedla coraz silniejsze zainteresowania Lennona LSD oraz fascynację Harrisona muzyką hinduską. Maestrię albumu podkreśla doskonała produkcja Georga Martina, który zastosował przeróżne fascynujące sztuczki i zabiegi, dzięki którym brzmienie „Revolver” jest tak niezwykle i prekursorskie.

PIOTR METZ

Piotr Metz (ur. 1957) – radiowiec. Posiadacz zbyt dużej ilości płyt The Beatles i vintage’owego sprzętu audio oraz barki na Wiśle i pocztówki od Johna Lennona. Kiedyś naczelny „Machiny”, szef muzyczny MTV Polska i autor biografii Voo Voo. Pracował w prawie wszystkich radiach w Polsce, nadawał z BBC. Rozmawiał z Madonną, Mickiem Jaggerem, Prince’em (u niego w domu), Markiem Knopflerem, Jimmim Pagem i Paulem McCartney’em.

PRZESTRZEŃ SŁOWA

3. edycja międzynarodowego i interdyscyplinarnego festiwalowego cyklu Przestrzeń Słowa odbywa się od lutego do października 2023 pod hasłem „Przebudzenie”. Obejmuje comiesięczne wielowątkowe wydarzenia oraz październikowy Festiwal Przestrzeń Słowa (16–29 października). W programie tegorocznej edycji Przestrzeni Słowa pojawi się wielu fascynujących artystów i artystek, którzy stopniowo będą ogłaszani przez organizatorów.

Podczas dotychczasowych dwóch edycji wydarzenia wystąpili m.in. Ewa Lipska, autor legendarnego „Train-spotting” Irvine Welsh (Szkocja), Rod Mengham (Anglia), Jurij Andruchowycz (Ukraina), Chulud Szaraf (Syria), Hatif Janabi (Irak), Marcin Świetlicki, Piotr Metz, Przemysław Czapliński, Tadeusz Sławek, Filip Łobodziński, Filip Zawada, Artur Rojek, Wojciech Bonowicz, Tomasz Różycki, Wojciech Waglewski, Urszula Honek i wielu innych). Koncerty zagrali m.in. Tymon Tymański, Variété, Morświn & Marcin Świetlicki, dylan.pl, Luke De-Sciscio (Anglia), Jurij Andruchowycz & Karbido oraz Kirszenbaum. ■

List do T.

Pani Bogusia otwiera gabinet. Pusty. Na potężnym biurku sterta książek i papierzysek. Na stole porozkładane książki – jakby zaraz szef miał przyjść – słyszę.

Nie przyjdzie. Już nie. Gabinet zostanie pusty – gabinet prezesa Wydawnictwa „Śląsk” (to w pierwszej kolejności), redaktora naczelnego miesięcznika „Śląsk” i prezesa Górnośląskiego Towarzystwa Literackiego. Kto się tu wprowadzi?

Tadeusza nie ma – a przecież widząc ten stoliczek z boku, z fotelikami, mam ochotę usiąść i rozpocząć klachy... [nie przeszkadza mi ten klimat retro, późnego PRL-u, jestem „analogiem”]. No jak to z kim – z Tadkiem. Zawsze tu siadaliśmy. Ja, członek komisji rewizyjnej GTL-u w zaniku (bo ubywało w niej członków) i Tadeusz. Ślązak. Też z pogranicza. Dopiero na pogrzebie mogłem rozejrzeć się po okolicy, w której mieszkał, Bobrownikami, tuż za Piekarami... Pamiętam, że malowniczymi polami, przestrzeniami przejeżdżałem przez Brynicę. Aha, myślę, widzę krajobrazy jak moje, pszczyńskie. Kochaliśmy z Tadeuszem takie tematy – z pogranicza właśnie. Moje, pszczyńskie, dobrze kojarzyłeś (wiem, że byłeś harcerzem-wodniakiem, opowiadałeś mi o nocnym rajdzie z Wisły Wielkiej, gdzieś ku Katowicom, zdaje się). Ujmowało nas pogranicze śląsko-zagłębiowskie. A i te związane z Galicją, Małopolską, Krakusami, bo i tamte środowiska Tadeusz dobrze znał... No też historia katowickiego środowiska literackiego (wspominałeś, że znałeś Szewczyka). Więc nasza znajomość, początkowo formalna, pogłębiała się, z latami. I po tym szmacie czasu mogę powiedzieć o przyjaźni, czy też serdeczności. Ostatnia rozmowa, dwa tygodnie przed odejściem Todka. Serdeczna, na luzie. O przyszłości GTL-u i „Śląska” (Wydawnictwa i miesięcznika też). Żył tymi sprawami. Ale fedrowaliśmy i o kobietach, i o dobrym czeskim piwie, które akurat zażywałem w chorzowskim Rebel Garden, życząc Tadkowi zdrowia. I mając nadzieję, że zejdziemy się jeszcze na klachy, takie prawdziwe.

Bardzo mi brakuje Cię Tadeuszu, nie widziałem Cię chyba z rok... Tak, chorowałeś... Słyszeliśmy się często, to prawda, na ile się dało. Zawsze odpowiadałeś – nawet zdawkowo – na moje maile... Snuiliśmy plany wydawnicze, konkretne. Coś udało się zrobić, czegoś nie. Nieważne.

Liczy się dla mnie tylko chwila spotkania z Tobą. Dziękuję za każdą. Za szczerą, otwartą – za rozmowy, te z humorem, z dystansem. Chyba też dobrze się bawiłeś tą ironią, w spojrzeniu na świat, i to co nas otacza. A czasem i przerasta.

I jeszcze ta lojalność, którą zawsze ceniłem w ludziach, ty ją w sobie Tadeuszu masz, nie chcę pisać – miałeś. Bo póki żyjesz w naszej pamięci, to jesteś. Jeszcze jesteś...

Tęsknimy, ale i dziękujemy. Zrobiłeś dużo, dużo dobrego. Sporo wspaniałych. To też usłyszałem na pożegnaniu, tam na cmentarzu w Bobrownikach...

Strasznie daleko masz stamtąd do kościoła. Rozległe te Bobrowniki. Można się zgubić...

Piękna okolica, piękni ludzie. Tam i tu – w Katowicach. Dlatego tu jestem i dalej będę. W „Śląsku” i przy „Śląsku”. Dla Ciebie Tadeuszu też...

Pozdrawiam

Twój Grzegorz



100-lecie po tarnogórsku

ANDRZEJ JARCZEWSKI

Setną rocznicę przyłączenia części Śląska do Polski najszumniej, najbardziej widowiskowo i naukowo obchodzono w Tarnowskich Górach. Miesięcznik „Śląsk” publikował informacje o niektórych imprezach, a w numerze listopadowym (11/2022) przedstawiliśmy barwne sprawozdanie z jubileuszu. Teraz pora na kilka słów o najpiękniejszym na Śląsku albumie, jaki pozostał po tej rocznicy. Mowa o książce Marka Wrońskiego, wydanej przez Instytut Tarnogórski dzięki współfinansowaniu ze środków miasta Tarnowskie Góry. Należy tu odnotować, że wspomniany Instytut – a także Muzeum Instytutu Tarnogórskiego – to placówka prywatna, założona i prowadzona z imponującym rozmachem przez dra hab. inż. arch. Marka Wrońskiego.

Mamy więc kolorowy, 120-stronicowy album dużego formatu (A4), zawierający setki zdjęć archiwalnych, w tym bezcenne fotografie z dnia wkroczenia wojsk polskich, zachowane przez Leszka Waligórę. W reprodukcjach tych zdjęć utrzymano oryginalny kolor sepii. Z kolei dokumentacja wydarzeń rocznicowych (akurat panowała słoneczna pogoda) zachwyca nie tylko kolorami, ale i entuzjazmem fotografowanych uczestników różnych uroczystości. Młodszych i starszych, bo w grach, warsztatach i konkursach startowały dzieci, a w grupach odtwarzających dawne wojsko można było dostrzec bardzo siwe brody na tle wierzni odwzorowanych mundurów z epoki.

Część albumowa poprzedzona jest obszernym, 30-stronicowym wprowadzeniem popularno-naukowym, które zaskakuje kompletnie zapomnianymi i wręcz – poza gronem zawodowych historyków – lekceważonymi informacjami. Jakoś tak utrwaliło się mniemanie, że Polacy są mistrzami improwizacji, a gdy trzeba coś porządnie zorganizować, wypadamy słabo. Ten schemat myślowy nie dotyczy jednak roku 1922 na Górnym Śląsku. Marek Wroński zaczyna swą książkę od przypomnienia niezwykle starannych i precyzyjnych przygotowań.

Najbardziej zaskoczyła mnie informacja, że przed wkroczeniem polskiego wojska na Górny Śląsk przewidziano nie tylko to, co się później faktycznie wydarzyło, ale i to, co się... nie wydarzyło! Właśnie po to, by się nie wydarzyło.

Oto imiona pociągów pancernych, które podążały za polską piechotą i kawalerią nie po to, żeby walczyć, ale żeby zniechęcić Niemców do kolejnych prowokacji: „Bartosz Głowacki”, „Gen. Sosnkowski”, „Czarnecki”, „Danuta”, „Górnośląski Nr 1 i Nr 2”, „Sarnecki”, „Paderewski”, „Piłsudczyk”, „Poznańczyk”.

Wymieniam te nazwy, bo kwestie onomastyczne są przez Wrońskiego traktowane z największą powagą również w innych publikacjach, w tym w „Zeszytach Tarnogórskich”, których omawiany album jest numerem 85. O pociągach pancernych wiemy sporo, ale Wroński przypomina fakt mało znany. Otóż podczas przejmowania ziemi śląskiej w czerwcu 1922 – lokomotywy tych pociągów stały „pod parą” i zostały wygaszone dopiero pod koniec lipca. O powadze tych przedsięwzięć świadczy również obecność Pociągu Sanitarnego Nr 92 z Krakowa i kilku karetek, zwanych wówczas autami sanitarnymi. Nie przydały się w akcji, ale przecież nie były niepotrzebne.

Na Śląsku też trwały przygotowania. W wielu miejscowościach zbudowano ok. 200 bram powitalnych, z czego 20 na podejściu do Tarnowskich Gór i w samym mieście. Co bardziej okazałe obiekty, nazywane niekiedy ‘łukami triumfalnymi’, znamy ze zdjęć (nasz miesięcznik w numerze 5/2022 pokazał kilka takich bram, w tym najsłynniejszą z Królewskiej Huty). O skromniejszych łukach niestety zapomnieliśmy i nawet nie wiemy, gdzie je postaviono. Ale wtedy zadbano o całą oprawę, nawet o jakość mundurów. A były to czasy, gdy po wojnie z bolszewikiem polskie wojsko dopiero zaczynało odtwarzać zużyte oporządzenie. Jednakże na Śląsk wjechały oddziały ubrane jak od krawca. Pierwszy polski dzień na Śląsku miał wyglądać solidnie i elegancko.

Potwierdzają to zachowane zdjęcia i opowieści. Reprodukowana obok okładka albumu jest ciekawym fotomontażem. Na drugim planie stoi prawdziwy konny pluton cekaemów z roku 1922, a przed ułanami – kolorowe postacie, sfotografowane dokładnie 100 lat później, 26 czerwca 2022. To piechur, artylerzysta i ułan z Towarzystwa Edukacji Historycznej i Patriotycznej „Semper Fidelis” z Wrocławia i Nysy w mundurach Legionów Polskich.

Dlaczego akurat legionści Piłsudskiego, których wtedy na Śląsku nie było?



Początkowo przypuszczałem, że inne informacje nie były zdolne wystawić tak wspaniale odzianych grup rekonstrukcyjnych, ale w omawianej książce znajdziemy zupełnie inne uzasadnienie.

Wspomniałem o nazwach pociągów pancernych, ale nie wymieniłem nazwisk dowódców wojsk przyjezdnych i organizatorów uroczystości na miejscu. Najważniejsze nazwiska i tak znamy, a pełna lista zasłużonych jest zbyt długa, by ujmować ją w tak krótkiej prezentacji.

Nie zabraknie jednak tu szczypty soli. Otóż ten wspaniały album pozbawiony jest tak elementarnego narzędzia, jakim powinien być indeks nazwisk. Tam nie ma nawet – o zgrozo – spisu zrealizowanych imprez, na którym mogłyby się wzorować organizatorzy innych jubileuszów.

Książka składa się z trzech łatwych do zaakceptowania części: Wprowadzenie, Rok 1922 i Rok 2022. Te części zostały nawet odmiennie opracowane pod względem redakcyjnym, a zwłaszcza ilustracyjnym. Moją krytyką dotyczy nieuwzględnienia długiego życia takiej pozycji. Akurat ja nie mam żadnego równorzędnego opracowania roku 1922 na Górnym Śląsku. Wiem, że do tej książki będę wielokrotnie powracać, bo każdy fakt, dzień, a nawet numer pułku jest wiarygodnie udokumentowany. To będzie również źródło wiedzy zapisanej i sfotografowanej dla przyszłych pokoleń. Jak odnaleźć atomy tej wiedzy bez indeksu i bez spisu treści? Więcej już nie wybrzydzam, bo otrzymaliśmy dzieło i piękne, i cenne. Podobnych książek oczekiwaliśmy po innych miastach. Mało ich... ■

Marek Wroński, Tarnowskie Góry 26 czerwca 2022 roku. W 100. rocznicę przyłączenia części Górnego Śląska do Rzeczypospolitej Polskiej, Tarnowskie Góry 2022, s. 120.



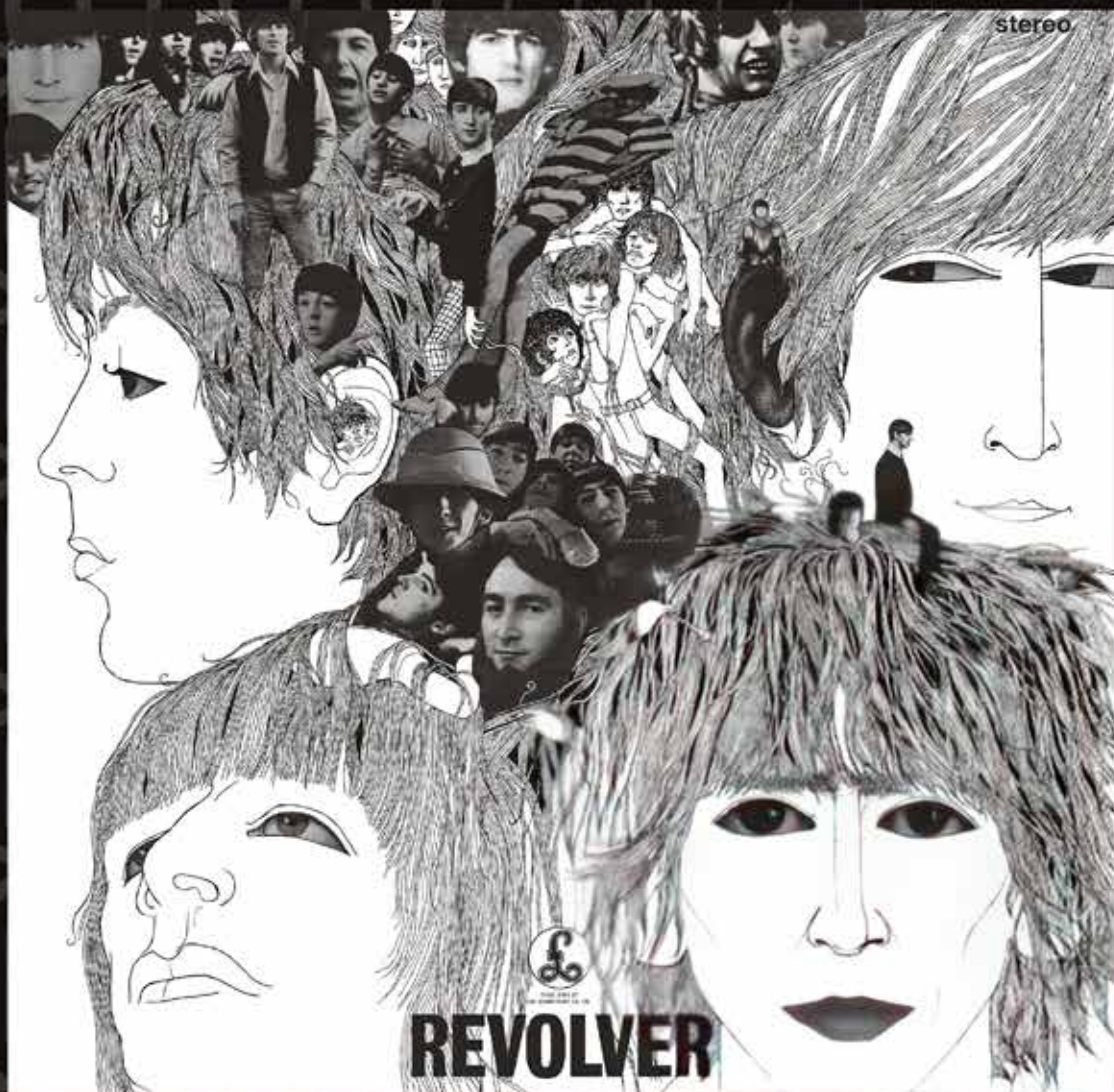
*Tarnowskie Góry w 100. rocznicę przyłączenia części Górnego Śląska do Rzeczypospolitej Polskiej.
Zdjęcia z archiwum Muzeum Instytutu Tarnogórskiego*





PRZESTRZEŃ SŁOWA

23 lutego 2023 /czwartek/ - godz. 18.00



THE BEATLES **PIOTR METZ** REVOLVER muzyka - słowo wideo - wystawa



Miejska
BIBLIOTEKA
Publiczna w Sosnowcu

ZAGŁĘBIOWSKA MEDIATEKA
Sosnowiec, ul. Kościelna 11 **wstęp wolny!**

ZNAJDZIESZ NAS NA: www.biblioteka.sosnowiec.pl mbpsosnowiec bibliotekasosnowiec mbp_sosnowiec mbp_sosnowiec mbpsosnowiec



Prezydent Miasta Sosnowca
Arkadiusz Chęciński
Mł. Rektor Uniwersytetu Śląskiego
prof. dr hab. Ryszard Koziołek

